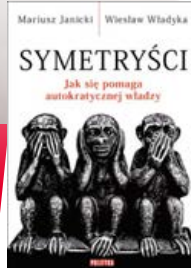


Jak zagłosują **niezdecydowani** | **Listy PiS:** kto w górę, kto w dół
Wołoszański show | **UFO** na serio | Beatyfikacja **Ulmów**

Szukaj
„Polityki”
z książką



POLITYKA.PL

POLITYKA

TYGODNIK, nr 37 (3430), 6.09–12.09.2023

Cena 11,90 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195

Tusk Giertychem w Kaczyńskiego

Starcie po latach

ILUSTRACJA EMILIA FIEDOROWICZ

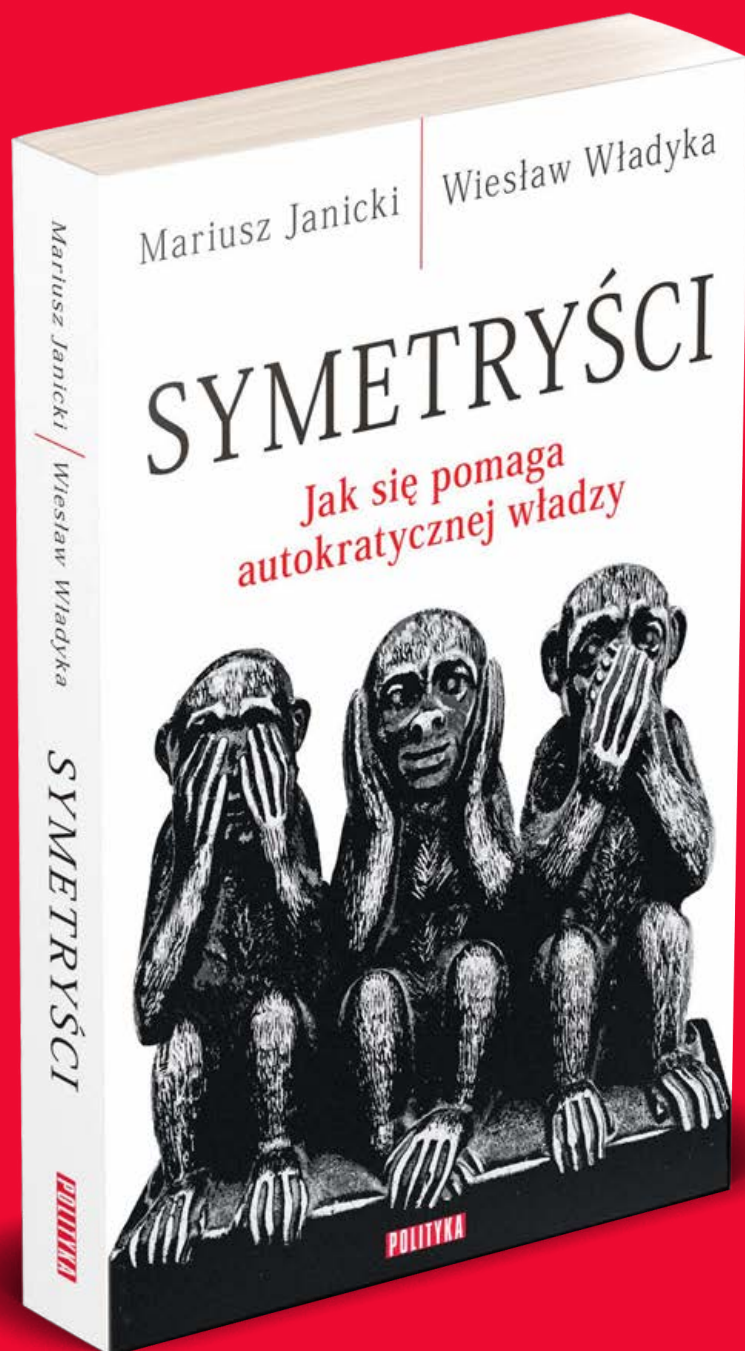
USA 4,60 USD; KANADA 4,69 CAD; WIELKA BRYTANIA 2,50 GBP; SZWECJA 30 SEK; CZECHY 75 CZK; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO



„Nie straszcie PiS-em”

„PiS-PO – jedno zło”

„Opozycja nie ma programu”



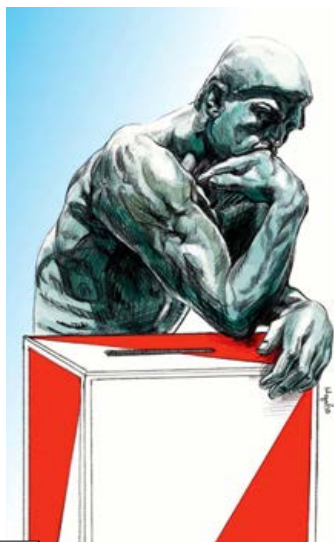
Analiza zjawiska
symetryzmu
dokonana
przez autorów
tego pojęcia

Nowa książka
Mariusza Janickiego
i Wiesława Władyki,
zawierająca
niepublikowany
wcześniej materiał

Do 19 września w sprzedaży
w salonach prasowych
z tygodnikiem

POLITYKA

Dostępna także w księgarniach
i na sklep.polityka.pl oraz jako e-book.



12 Jak zagłosują niezdecydowani



22 Wołoszański: sensacja z Piotrkowa



38 Świat w obiektywie Milacha

Temat tygodnia

12 Edwin Bendyk **Wahanie nad urną**

Polityka

- 16 Anna Dąbrowska, Wojciech Szacki
Co można wyczytać z list wyborczych PiS
- 19 Rafał Kalukin **Giertych wraca do gry**
- 22 Agnieszka Sowa **Czy Wołoszański zdekonspiruje Macierewicza**
- 26 Przemysław Szubartowicz
OGLĄD I POGLĄD
O micie normalizacji



Społeczeństwo

- 28 Katarzyna Kaczorowska
Okrojona lista chorób genetycznych
- 31 Eugene Medvedev
Co Białorusini robią nad Wisłą
- 34 Jakub Halcewicz **Ulmowie – święta polska rodzina**
- 38 NA WŁASNE OCZY
Rafał Milach, jedyny Polak w prestiżowej agencji Magnum Photo, o tym, że Wschód jest w nas

Rynek

- 42 Ryszarda Socha
Zalew apartamentów nad Bałtykiem



- 46 Łukasz Wójcik
Skubanie gęsi, czyli podatek od nadmiarowych zysków

Świat

- 48 Ziemowit Szczerek ROSJA
Polityka prosto z podręcznika
- 51 Agnieszka Sowa EGIPT
15 mln bezdomnych psów



- 54 Aleksandra Lipczak HISZPANIA
Bunt piłkarek
- 56 Marek Orzechowski NIEMCY
Jak AfD rośnie na migrantach

Nauka/projektpulsar.pl

- 58 O nowej fascynacji kosmitami mówi **Mick West**, badacz zjawiska UFO
- 61 Karol Jałochowski **Kwantowy wszechświat Hawkinga i Hertoga**
- 64 Marta Alicja Trzeciak
Na co nam żywy mamut

Historia

- 66 Edwin Bendyk
Ukraina według Hrycaka

- 69 Dariusz Łukasiewicz **Jak walczone z chorobami wenerycznymi**

Kultura

- 76 Piotr Sarzyński **Galerie sztuki konserwatywnej**
- 79 Rebecca Makkai o swojej nowej powieści kryminalnej „Mam do pana kilka pytań”
- 82 Michał Wieczorek
Igor Spolski i jego nepalska orkiestra
- 84 Aleksandra Żelazińska
„Przegryw”: świat mężczyzn odrzuconych przez kobiety
- 86 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**

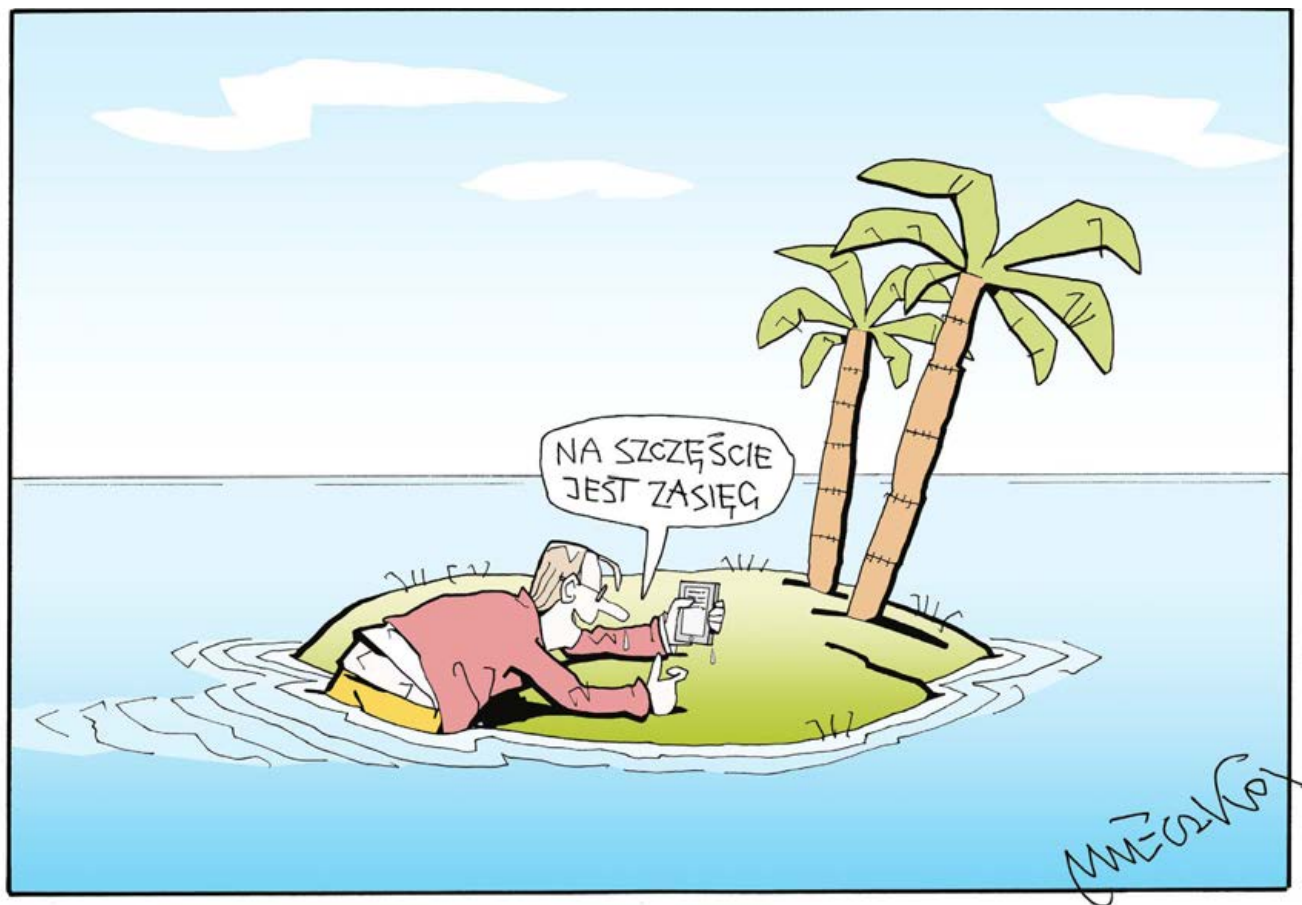


Ludzie i style

- 92–97
- O bezdechu ekranowym
 - Platformy na cenzurowanym
 - Na czym przycebuli?
 - Herosi z kapitałem
 - Versace, rewolucjonista mody
 - Biwak po stońsku
 - Buraczane kopytka na bure dni

Stałe rubryki

- 4 Mleczko i Mizerski
- 6 Przypisy • 7 Ludzie i wydarzenia
- 72 Afisz • 87 Koziołek • 88 Wicha
- 89 Chutnik i Plebanek
- 90 Do i od redakcji
- 98 Polityka i obyczaj



SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Inteligencja zabiera głos

Koalicja Obywatelska rzuciła do walki wyborczej z PiS sztuczną inteligencję najnowszej generacji. Zdaniem niektórych – najwyższy czas, ponieważ sondaże pokazują, że w propagandowej walce z PiS tradycyjna inteligencja średnio daje sobie radę. W najnowszych spotach KO sztucznej inteligencji użyto do wygenerowania głosów Morawieckiego i innych czołowych polityków PiS po to, żeby „czytały” maile tych polityków, stanowiące zawartość tzw. skrzynki Dworczyka. W PiS nie kryją oburzenia z tego powodu.

Dla premiera Morawieckiego nie do przyjęcia jest zarówno to, że wytworzonego przez sztuczną inteligencję głosu nie da się odróżnić od głosu, który on sam na co dzień wytwarza, jak i to, że w prezentowanych spotach ten niewytworzony przez niego głos „czyta” jego własne maile ze skrzynki Dworczyka, które – jak ustaliła ABW – nie wiadomo przez kogo zostały wytworzone ani jak się w tej skrzynce znalazły. Według Morawieckiego nie ma takiej inteligencji, która udowodniłaby, że autorem maili podpisanych przez niego i wysłanych z jego adresu jest akurat on, a nie np. służby Kremła czy jakieś rosyjskie trolle, dlatego uważa, że wkładanie mu

tych kłamliwych maili w usta za pomocą jego własnego głosu, który nie jest głosem wytworzonym przez niego, to zwykłe fałszerstwo.

Odmiennego zdania jest wiceprzewodniczący KO Borys Budka, który chwali spoty. Uważa, że mówiący wyraźnie, pełnymi zdaniami Morawiecki wypada w nich zdecydowanie bardziej autentycznie niż na swoich konferencjach prasowych. Według mnie tymi spotami sztuczna inteligencja pokazała również, że na głowę bije skromną inteligencję redaktorów „Wiadomości” TVP, która zdołała wygenerować jedynie topornego Donalda Tuska, do znudzenia powtarzającego „Für Deutschland, für Deutschland”.

Nawiasem mówiąc, uważam, że skoro sztuczna inteligencja przejęła kontrolę nad kampanią KO, mogłaby także spróbować przejąć kontrolę nad ruchem pociągów w Polsce. Ostatnie wydarzenia pokazują, że tego ruchu nie kontroluje obecnie żadna inteligencja, jedynie grupka krótkofalowców, być może kontrolowanych przez obce mocarstwo, na co jednak nie ma żadnych dowodów.

Policja zatrzymała na razie kilka osób, m.in. tajemniczego policjanta, który ze swojego mieszkania wysyłał pociągom sygnały radio-stop. Niektórzy mieli nadzieję, że chodzi o komendanta głównego policji Jarosława Szymczyka, znanego m.in. z odpalenia granatnika we własnym gabinecie, ale okazało się, że tym razem to nie on.



Zachwycająca Sri Lanka

Plantacje herbaty, urzekające stare świątynie, wizyty w lokalnych wioskach, wyjątkowy Park Narodowy Udawalawe oraz wypoczynek na plaży nad Oceanem Indyjskim.

Program wycieczki: **Dz. 1** Wylot z Warszawy. **Dz. 2** Przylot do Colombo. Zakwaterowanie i zwiedzanie miasta. **Dz. 3** Colombo – Sigiriya. Skalna twierdza Sigiriya. **Dz. 4** Sigiriya – Polonnaruwa – Sigiriya. Wycieczka do średniowiecznej stolicy Polonnaruwa. **Dz. 5** Sigiriya – Hiriwadunna – Sigiriya. Obiad u lokalnej rodziny i Złota Świątynia w Dambulla z listy UNESCO. **Dz. 6** Sigiriya – Matale – Kandy. Ogród przypraw i ogród botaniczny. **Dz. 7** Kandy. Wycieczka po mieście tuk tukiem, Świątynia Zęba i występ taneczny na rozżarzonych węglach. **Dz. 8** Kandy – Nuwara Eliya. Przejazd pociągami z Kandy do Nuwara Eliya. Plantacje herbaty i piękne krajobrazy. **Dz. 9** Nuwara Eliya – Park Narodowy Udawalawe. Safari w parku obfitującym w dzikie zwierzęta i bujna przyroda. **Dz. 10** Park Narodowy Udawalawe – Galle – Kolombo. Wycieczka po mieście Galle i kolacja pożegnalna. **Dz. 11** Colombo – Warszawa. Powrót.

11-15 dni | Wyloty z Warszawy 04/11, 28/02 2024

od **9.998,-**



Bałkany z Albatrosem

Program wycieczki: **Dz. 1** Lot Warszawa – Dubrownik. Średniowieczne miasto Budva, Czarnogóra. **Dz. 2** Królewskie miasto Cetynia, lokalna produkcja szynki, wspaniała trasa widokowa i spacer po Kotorze. **Dz. 3** Budva – Trebinje – Blagaj – Mostar. Degustacja wina i klasztor derwiszów w Blagaj. **Dz. 4** Mostar – Konjic – Mostar. Tajny bunkier Tito w Konjicu i zwiedzanie miasta Mostar. **Dz. 5** Mostar – Delta Neretwy – Dubrownik. Rejs statkiem z muzyką i lunchem, przyjazd do Dubrownika. **Dz. 6** Dubrownik. Spacer po mieście i czas do własnej dyspozycji. **Dz. 7** Dubrownik. Dzień do własnej dyspozycji lub wycieczka do Konavle, zakupy lokalnych produktów, zwiedzanie zabytkowego młyna wodnego i pożegnalna kolacja. **Dz. 8** Przelot Dubrownik – Warszawa.

8 dni | Wyloty z Warszawy
21/05, 03/10 2024

6.998,-



Izrael z Jordanią w 8 dni

Program wycieczki: **Dz. 1** Wylot z Warszawy do Tel Awiwu. **Dz. 2** Jezioro Galilejskie. Kafarnaum. Kibuc Shaar Hagolan. Nazaret. **Dz. 3** Yardenit – miejsce chrztu Jezusa. Przejazd do Jordanii. Jerash – „rzymskie miasto”. **Dz. 4** Petra wpisana na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Amman. **Dz. 5** Przejazd przez most Allenby do Izraela. Jerycho - Góra Kuszenia. **Dz. 6** Jerozolima – Brama Jaffy, „Sciana płaczu”, Wzgórze Świątynne, Droga krzyżowa – Via Dolorosa, Bazylika Grobu Świętego, Wieczernik. **Dz. 7** Betlejem – Kościół Narodzenia Pańskiego. Kąpiel w Morzu Martwym. Masada. **Dz. 8** Wylot z Tel Awiwu do Warszawy.

8 dni | Wyloty z Warszawy
25/01, 14/03 2024

od **9.498,-**

UWAGA!
Zmiana
adresu
biura



albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81

Katowice, Silesia City Center, ul. Chorzowska 107 | Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.

Kod reklamy: PL34

Kampania wrześniowa



Łukasz Lipiński

Skończyły się wakacje, dzieci i rodzice zjechali do domów, a w ślad za nimi do pracy wyruszyli politycy. Z początkiem roku szkolnego zaczyna się na całego kampania przed wyborami do Sejmu i do Senatu, które odbędą się 15 października. PiS jako ostatnia duża partia ujawnił swoje listy, choć zapowiadana z pompą konferencja z prezentacją jedynek okazała się marnym spektaklem. Prezes czytał nazwiska z kartki, co jakiś czas się myląc, a na koniec zdezorientowany poprosił dziennikarzy o pytania. Rzecznik partii musiał go wyprowadzać z błędu, że „na tym etapie” żadnych pytań nie będzie, będzie za to rodzinne zdjęcie.

Atmosfera tworzenia list Zjednoczonej Prawicy musiała być rzeczywiście rodzinna, ale raczej jak ze starej piosenki „Rodzina słowem silna” – opolskiej jedyńki PiS Pawła Kukiza (do odsłuchania przez osoby o naprawdę silnych nerwach ze względu na liczne wulgaryzmy). Dokonywane do ostatniej chwili rozszady (Kaczyński w Kielcach, Kamiński w Chełmie, Ziobro w Rzeszowie itd.) miały zgodnie z badaniami pozwolić na maksymalizację wyniku wyborczego partii, ale towarzyszący im chaos pokazuje raczej partię władzy w rozsypce. Prezes ułożył „listy śmierci” wymuszające ostrą rywalizację między kandydatami, zdegradował część ludzi premiera, pospuszczał w dół ziobrystów, ukarał niektórych ministrów czy posłów, awansował wiernych z „zakonu PC” – od razu widać, że PiS stanowi „kochającą się biało-czerwoną drużynę”. Nie wspominając o zenujących kandydatkach w rodzaju Roberta Bąkiewicza czy Łukasza Mejzy, których wystawienie miało pokazać, że jak będziesz wiernie służył partii, to partia o tobie nigdy nie zapomni (o układaniu list PiS piszą Anna Dąbrowska i Wojciech Szacki na s. 16).

Kaczyński rozpoczął kampanię w swoim nowym okręgu od senu nienawiści wobec Tuska i KO, do wcześniejszych epitetów typu „wróg Polski” czy „szkodnik”, dorzucając „partię zewnętrzną” mającą „ośrodki decyzyjne poza Polską” jak kiedyś komuniści. Dużo dalej poszedł Mateusz Morawiecki w Katowicach, który opowiadał o szykowanym przez opozycję „piekle kobiet”, „gwałtach, rabunkach, morderstwach”, „szturmujących granice młodych, wykorzystanych imigrantach”, których „setki tysięcy hasały po Polsce”, gdyby nie PiS (o kampanii pisze na Polityka.pl Karolina Lewicka).

Dzień po tej brunatnej przemowie, 3 września, Morawiecki nagle przypomniał sobie o Sierpniu 1980 i nazwał PiS „depozytariuszami ideałów Solidarności”. To efekt wiecu Donalda Tuska, który 31 sierpnia w Gdańsku mówił, że wiele postulatów stoczniowców sprzed ponad 40 lat można by powtórzyć i dziś, a żądania „wolności słowa” czy „doboru kadry kierowniczej na zasadach kwalifikacji, a nie przynależności partyjnej” stały się znów aktualne. Tusk przemawiający tuż obok historycznej bramy nr 2 Stoczni Gdańskiej pokazał, kto „stoi tam, gdzie stoczniowcy”, a kto „tam, gdzie stało ZOMO”, cytując słowa klasyka.

Sam Tusk musiał się uporać ze skutkami swojej decyzji o wzięciu na listy Romana Giertycha. Inne transfery, w tym Michała Kołodziejczaka z AgroUnii, politycy i elektorat KO przyjęli dość gładko,

ale już start mecenasa z ostatniego miejsca kieleckiej listy – przeciwko Kaczyńskiemu – został odebrany z dużo mniejszym entuzjazmem, szczególnie w bardziej progresywnym skrzydle KO (więcej o Giertychu pisze Rafał Kalukin na s. 19). Tusk musiał „wytłumaczyć się z Giertycha” opozycyjnej młodzieży podczas niedawnego Campusu Polska Przyszłości w Olsztynie. I choć kryzys został zażegnany, to decyzja o wzięciu na pokład byłego neoendeka jeszcze bardziej uwypukliła to, że Tusk, podejmując jednoosobowe decyzje w tych wyborach, bierze na siebie jednoosobową odpowiedzialność za wynik KO.

W weekend swoje kampanie rozpoczęły mniejsze ugrupowania demokratyczne: Trzecia Droga i Lewica. Oba w dużym stopniu widzą swoje szanse w „małej polaryzacji”, czyli w walce z Konfederacją – bez której PiS nie ma szans na większość w przyszłym Sejmie („duża polaryzacja” to walka PiS–PO). Sojusz ludowców i partii Szymona Hołowni wziął na swoje listy Ryszarda Petru („senny koszmar Sławomira Mentzena”) czy eks-Konfederatę Artura Dziambora, który ma wzmocnić kampanię wobec przedsiębiorców. Robert Biedroń zapowiedział, że Lewica będzie „tarczą przeciwko Konfederacji”, a Włodzimierz Czarzasty przestrzegał przed ugrupowaniami oferującymi „proste odpowiedzi na skomplikowane problemy”. I Trzecia Droga, i Lewica zapowiadają, że chcą się ścigać z konfederatami o trzecie miejsce, a to dobra wiadomość dla całej opozycji, bo do przejęcia władzy od PiS potrzebuje ona dobrych wyników trzech partii. Na razie sondaże przynoszą trochę optyizmu: Konfederacja wyraźnie osłabła, a Trzecia Droga zatrzymała spadki, choć niewiele ponad 8-proc. progami.

Ten tydzień ma upłynąć pod hasłem propozycji programowych: PiS od poniedziałku pokazuje swoje (zaczął od planu rewitalizacji bloków z wielkiej płyty), a Koalicja Obywatelska w weekend ma przedstawić „100 konkretów na 100 dni”. Swoje pomysły prezentują też pozostałe ugrupowania. To ważne, bo do przyciągnięcia jest wciąż wielka „partia niezdecydowanych” stanowiąca łącznie niemal połowę wyborców (badania na ich temat opisuje Edwin Bendyk na s. 12).

Co ciekawe, w tych wyborach dużo bardziej zmotywowany wydaje się elektorat KO – tylko nieco ponad 10 proc. wyborców nie jest pewna swojego głosu, w PiS to nawet jedna trzecia. Z badań wynika, że zdaniem wielu wyborców *in spe*, w tym także niedawnego elektoratu prawicy, Polska jest krajem, który nie działa. Żeby ich przekonać do głosowania, potrzebne są konkretne, wiarygodne propozycje poprawy sytuacji w najbardziej uwierających ich kwestiach, łączące się w jakąś wizję lepszej Polski. To od mobilizacji tej „partii niezdecydowanych” może zależeć wynik tych, co warto ciągle przypominać, najważniejszych wyborów od 1989 r.

Jan Koza



© JAN KOZA



Ziobro walczy o wolne sądy

Zauważam narastający problem upolitycznienia polskiego sądownictwa – stwierdził Zbigniew Ziobro na zwołanym na jego żądanie posiedzeniu neoKRS. A więc minister zauważył, że po ośmiu latach jego wysiłki, by upolitycznić sądownictwo, przynoszą owoce. Zaskakujące jednak, że upolitycznienie widzi teraz jako problem, a nie jako sukces. Tak czy inaczej Ziobro jako bojownik o wolne sądy to zjawisko warte odnotowania. Chociaż to, co mówił do członków neoKRS, brzmiało na starą nutę: „Są sędziowie, którzy kwestionując uprawnienia innych sędziów do orzekania (...) decydują się uchylać wyroki, co szczególnie drastyczne jest w sprawach karnych”. Równie znajomo

brzmiały gromy na sędziowskie stowarzyszenia Iustitia i Themis oraz sędziów liderów ruchu oporu przeciwko polityzacji sądownictwa.

Wreszcie minister przeszedł do sedna: wyroku uniewinniającego aktywistę LGBT, który zaatakował homofobus, oraz drugiego – skazującego nacjonalistkę Marię, której (na podstawie prawa uchwalonego staraniem ministra Ziobry) sąd wymierzył karę trzech lat więzienia za zaatakowanie na Marszu Równości dziewczyny z tęczaową torbą.

„Trudno mówić o niezawisłości sędziowskiej w sytuacji, gdy sędzia nie potrafi oddzielić swoich własnych poglądów od stosowania prawa w trakcie wydawania wyroków” – stwierdził Ziobro. Zapomniał, że sędziowskie przyrzeczenie mówi, że sędzia sądzi nie tylko w oparciu o prawo, ale też

„własne sumienie”, czyli ocenę stopnia winy własnym systemem wartości. Cóż, zapewne problem powstaje, gdy wartości te nie rymują się z wartościami ministra Ziobry.

NeoKRS przejęła pałeczkę i wydała oświadczenie o „standardach bezstronności i niezawisłości sędziowskiej”: „Nieobiektywne orzeczenia podważają zaufanie do całego wymiaru sprawiedliwości. (...) Nie ma niezależności sądów bez oderwania ich od uprzedzeń na tle ideologicznym czy zapatrywań politycznych. Nie ma też niezawisłości sędziów, jeśli nie potrafią separować sprawowania sprawiedliwości od swoich politycznych poglądów”.

NeoKRS, której członkowie są, jak wiadomo, wzorem apolityczności, natychmiast pokazała, jak rozumiem sędziowską niezależność: ogłosiła wszczęcie lustracji sądów, gdzie zapadły wyroki w sprawach, które zbulwersowały ministra Ziobrę. Można się spodziewać dyscyplinarek dla sędziów, którzy je wydali. I odsunięcia ich od orzekania pod pretekstem toczonego się postępowania dyscyplinarnego.

Całość ukoronował komentarz wicepremiera Kaczyńskiego wygłoszony 26 sierpnia w Sokołowie Podlaskim: „Praworządność jest dziś bardzo często deptana przez te sądy, które są tak bronione. (...) My to zmienimy. Tym razem nikt nas nie zatrzyma”. O tym jednak zdecydują wyborcy.

EWA SIEDLECKA

Rolnik zamiast psychologa

Kolejny szumnie ogłaszany program Ministerstwa Edukacji i Nauki okazuje się fasadą. Jak ustaliła Sekcja Oświaty Ogólnopolskiego Związku Zawodowego Psychologów, na stanowiskach psychologów szkolnych zatrudniani są studenci, magistry zarządzania, teologii czy techniki rolniczej, nauczyciele przedmiotów zawodowych, czasem dorabiający kwalifikacje, czasem nie. – *Z prośbą o konsultację m.in. do naszego Związku zgłaszały się osoby, które zaczynają pracę jako psychologowie, a skończyły tylko roczne studia podyplomowe z psychologią w tytule – mówi Patrycja Orłowska, szefowa Sekcji Oświaty OZZP. – Początkowo myślałam, że to pomyłka, ale takich spraw zaczęło przybywać po tym, jak resort edukacji zdecydował, że szkoły mają zatrudnić dodatkowych specjalistów, w tym psychologów. 12 kuratoriów oświaty, które przekazały informacje Związkowi, wydało w ubiegłym roku szkolnym ponad 250 zgód na zatrudnienie w charakterze psychologów*



studentów – i ponad 270 zgód dotyczących osób po innych studiach.

Minister Czarnek ogłaszał w ostatnich miesiącach, że tylko w 2023 r. przeznaczył aż 2 mld zł na stworzenie 20 tys. nowych etatów specjalistów. Gołym okiem widać, że to kolejna jego manipulacja. Oznaczałoby to bowiem, że resort przeznaczył na jeden etat 100 tys. zł, czyli ponad 8 tys. zł miesięcznie. W szkole publicznej takich kwot nie zarabia prawie nikt, a z pewnością nie nowo zatrudniony psycholog. Wynagrodzenia na poziomie płacy minimalnej to jeden z głównych powodów, dla których nie ma chętnych do pracy. Drugi powód jest taki,

że aby psycholog mógł pracę zacząć, w świetle prawa powinien nabyć osobne uprawnienia pedagogiczne, czyli skończyć kolejne trzyletnie studia (oczywiście płatne).

To właśnie ogłoszenia o poszukiwaniu psychologa należały w ostatnich tygodniach do najliczniejszych na stronach kuratoriów – latem było ich 3,5 tys. Fundacja Growspace, monitorująca m.in. kwestie zdrowia psychicznego nastolatków, alarmowała, że w 450 gminach wszystkie stanowiska psychologów szkolnych są nieobsadzone. Teraz okazuje się, że nawet tam, gdzie nie rażą w oczy wakaty, pomoc psychologiczna bywa dostępna dla dzieci czysto formalnie, na papierze.

Aktualny wysyp kryzysów zdrowia psychicznego tworzy dla tej sytuacji dramatyczne tło. Dobrze wyszkolony specjalista może i powinien wychwycić depresję, początek psychozy, zapobiec próbie samobójczej i innym tragediom. Z kolei przypadkowa osoba może zaszkodzić. Na pierwszej linii frontu nie działa zasada, że lepiej zatrudnić kogośkolwiek. Zwłaszcza że na dalszych liniach jest tylko gorzej. Według najnowszych ustaleń Growspace kolejki do psychiatry dziecięcego sięgają już ponad pięć lat. (CIEŚL.)



Nadzieje z Campusu

Dosyć nietypowy był tegoroczny Campus Polska Przyszłości. Z silną emocją polityczną, wynikającą z bliskości wyborów. Tyle że oficjalnie wytlumioną przez organizatorów, którzy zmuszeni byli odgrodzić się od formalnej kampanii. Bo chociaż goszczący w Olsztynie już po raz trzeci młodzieżowy festiwal jest bez wątpienia imprezą polityczną, to jednak niepartyjną, finansowaną z niezależnych źródeł, integrującą różne środowiska. Każdy z ponad tysiąca uczestników musiał więc podpisać deklarację, że nie będzie uprawiać agitacji, a w trakcie campusowych debat moderatorzy dodatkowo dyscyplinowali zanadto rozemocjonowanych.

Zakaz nie dotyczył jedynie oficjalnie uprawnionych do agitowania liderów opozycyjnych ugrupowań, którzy w duetach

prezentowali się publiczności. Nieoczekiwanie najgoręcej zostali przyjęci liderzy Lewicy Robert Biedroń i Włodzimierz Czarzasty, skądinąd świetnie do występu przygotowani, z precyzyjnym planem. Szymon Hołownia i Władysław Kosiniak-Kamysz poszli z kolei w polityczny coaching, z aktorskim zacięciem odgrywając energię i żywotność, co oczywiście miało rozpraszać defetyzm co do wyborczych szans Trzeciej Drogi. Paradoksalnie napięcie najbardziej siadło akurat tam, gdzie spodziewano się kumulacji. Finałowa debata z **Donaldem Tuskiem** i gospodarzem Campusu **Rafałem Trzaskowskim** wlokła się niemiłosiernie, a najbardziej zapamiętano Emilię z Krakowa, której premier Morawiecki nie pogratulował sukcesów.

Campus to jednak w pierwszej kolejności bogactwo dyskusji na najbardziej istotne tematy współczesności. Z udziałem znakomitych panelistów, ale też świetnie wyedukowanych i wyrobionych obywatelsko młodych uczestników. Polityczny kaganiec dodatkowo pomógł w tym roku uwypuklić charakterystyczne dla elity tego pokolenia oczekiwanie merytokratycznej polityki, prowadzonej „po coś”, bardziej kompetentnej i zorientowanej na rozwiązania, z oddzieleniem okresu kampanii od codziennego rządzenia, jasnym podziałem ról. Z wiarą w możliwość realizacji takiej polityki nie jest co prawda najlepiej, niemniej Campus jest właśnie po to, żeby dawać nadzieję.

Wachlarz wielkich nazwisk jak co roku był imponujący. Z noblistką Olgą Tokarczuk na otwarcie, jak zawsze słuchanym z najwyższą uwagą Marianem Turskim, merem Kijowa Witalijem Kliczką, ambasadorem USA Markiem Brzezińskim oraz jego poprzedniczką Georgette Mosbacher, wieloma uznanymi intelektualistami, pisarzami, aktorami i celebrytami. Było więc na czym oko i ucho zawiesić, chociaż bywa na Campusie i tak, że najciekawiej robi się w sektorach oddalonych od centrum zdarzeń. Kto w tym roku załapał się na fenomenalną dyskusję o prawie ucznia do używania w szkole telefonu komórkowego, ten z pewnością wie, o co chodzi.

RAFAŁ KALUKIN

Nowy rejestr PiS

Od nowego roku szkolnego wszystkich uczniów od IV klasy aż do końca edukacji czekają obowiązkowe testy sprawnościowe na lekcjach wufeu. Szkoły będą też zbierać informacje o wadze i wzroście uczniów. Wszystkie dane mają trafić do ewidencji ogólnopolskiego programu „Sportowe talenty”, skąd – na wniosek – będą udostępniane klubom sportowym i związkom sportowym. A te po przejrzeniu wyników uczniów będą mogły – przez dyrektorów szkół – kontaktować się z rodzicami najbardziej zdolnych dzieci.

Czemu ma służyć taka ewidencja? Rząd PiS przekonuje, że taki system pomoże nie tylko w wyszukiwaniu największych sportowych talentów, ale również w... walce z otyłością. Wątpliwości są jednak spore. Przede wszystkim dlatego, że nikt nie będzie pytał ucznia ani jego rodzica o zgodę na umieszczenie danych w ogólnopolskiej bazie. Resort sportu i turystyki twierdzi, że dane mają być anonimowe, ale przecież konkretnego ucznia będzie nietrudno zidentyfikować, zwłaszcza w mniejszych miejscowościach.



Raz stworzona baza danych może posłużyć później do innych celów, np. poboru do wojska. Szczegóły na temat stanu zdrowia uczniów mogą również stać się gratką dla ubezpieczycieli. Zawsze istnieje także ryzyko wycieku wrażliwych danych.

– Tworzenie kolejnej bazy oczywiście generuje zagrożenia, które „afera Niedzielskiego” pokazała najlepiej: bez względu na deklarowane powody ich tworzenia, informacje z publicznych baz danych mogą być wykorzystane w celach politycznych,

partyjnych. Ale to prowadzi przede wszystkim do wniosku, że potrzebujemy silnego i niezależnego prezesa Urzędu Ochrony Danych Osobowych, który skutecznie sprzeciwi się nadużyciom – komentuje Wojciech Klicki z Fundacji Panoptikon, ekspert od uprawnień policji i służb specjalnych oraz relacji praw człowieka i bezpieczeństwa.

Aby wdrożyć nowe rozwiązania, zmieniono podstawę programową wufeu – ale część z nich znajdzie się w planowanej ustawie o ochronie małoletnich przed dostępem do treści nieodpowiednich w internecie, czyli tej, która ma utrudnić dzieciom wchodzenie na strony pornograficzne. Ścieżki legislacyjne obu projektów skrzętnie omijały konsultacje ze środowiskami związanymi z ochroną praw człowieka i obywatela oraz prawami dzieci. To prawda, że polskie dzieci tyją najszybciej w Europie, ale zawodowy sport i codzienna aktywność fizyczna to dwie różne sprawy. W podstawie programowej wciąż brakuje konkretnych wskazówek na temat tego, co można zrobić, żeby zachęcić dzieci do ruchu. Nie wspominając o diagnozie, skąd się w ogóle bierze niechęć polskich dzieci do sportu. (AGSZCZ)

Komisja Cenckiewiczza jak komisja McCarthy'ego

Anna Siewierska-Chmaj

Profesor Uniwersytetu Rzeszowskiego, politolożka, była rektorka WSE



No i słowo ciałem się stało. Poznaliśmy skład komisji ds. badania wpływów rosyjskich i od razu rozwiano wszelkie wątpliwości, co do rzeczywistego przeznaczenia tego organu. W komisji znalazł się bowiem historyk prof. Sławomir Cenckiewicz, ilustrator Lecha Wałęsy oraz ulubieniec Antoniego Macierewicza, który wraz ze swoim protektorem likwidował WSI i doprowadził do ujawnienia tajnych danych wywiadu i kontrwywiadu wojskowego, w tym informacji o aktualnej agenturze. Wśród członków ówczesnej komisji był, jak się później okazało, rosyjski szpieg, a i na publikacji przygotowanego wtedy raportu zyskała głównie Rosja. Nie można zatem Cenckiewiczowi zarzucić, że na rosyjskich wpływach się nie zna, bo i owszem – zna się i to z autopsji.

W skład komisji, nie bez przyczyny zwanej lex Tusk, weszli także inni ludzie Macierewicza, m.in. socjolog prof. Andrzej Zybortowicz, kolejny likwidator WSI, i gen. Andrzej Kowalski, którego polscy żołnierze szczerze znienawidzili po tym, jak Bartłomieja Misiewicza – rzecznika MON i pupila Macierewicza – kazał witać w nieprzystojącymi mu honorami i tytułować ministrem. Szanse na to, że komisja w takim zestawieniu znajdzie cokolwiek, poza wątpliwą sławą i wysokimi zarobkami, są zatem niewielkie. Tym bardziej że podlegające Mariuszowi Kamińskiemu służby specjalne – których roczny koszt utrzymania wynosi niemal 2 mld zł – niczego obciążającego Donalda Tuska nie znalazły. A jest więcej niż pewne, że co najmniej od ośmiu lat intensywnie i wszelkimi metodami szukały.

Tyle że przecież nie chodzi o to, żeby dociekać jakiegokolwiek prawdy, ale by narzucić określoną narrację, którą prorządowe media usłużnie podchwycą i wzmocnią. Do tego nie trzeba nawet żadnego

raportu, który zresztą przed wyborami na pewno nie powstanie, bo samo zdobycie certyfikatów dostępu do informacji niejawnych dla członków komisji zajmie około miesiąca. Trudno w tym miejscu uciec od skojarzenia z niechlubną komisją ds. działalności nieamerykańskiej powołaną przez Josepha McCarthy'ego w latach 50. XX w. w USA. Mimo że w tamtym okresie amerykańskie instytucje rządowe rzeczywiście były mocno zinfiltrowane przez rosyjskie służby, komisja McCarthy'ego niewiele w tym względzie zdziałała, skoncentrowała się bowiem na zastraszaniu znanych

osób i tworzeniu powszechnej atmosfery podejrzliwości. Podczas gdy pod nosem służb nieniekpokojeni przez nikogo działali prawdziwi sowieccy agenci, trwała w najlepsze kampania oskarżeń i pomówień, która wielu ludziom złamała kariery, a niektórym także życie.

Bruksela już w czerwcu ostrzegła Polskę, że komisja lex Tusk jest niezgodna z prawem UE, a sprawa może się skończyć przed TSUE. Jednak nie należy się spodziewać, aby rząd zrezygnował z tego narzędzia propagandy wyborczej i to utrzymywanego przez polskich podatników. Tym bardziej że dla wielu polityków prawicy jesienne wybory to „być albo nie być”, a nawet „siedzieć albo nie siedzieć”. A czym większa determinacja do utrzymania władzy, tym większa jej podłość.

Co zatem zrobić z tym śmierdzącym jajem, podrzuconym opozycji przez rządzących? Otóż moja rada jest prosta – nie ruszać. Cały koncept tej poronionej komisji opiera się bowiem na założeniu, że zarówno opozycja, jak i wolne media nadal niczego się nie nauczyły, wobec czego zareagują aktywnie i nerwowo. W ten sposób narracja komisji i prorządowych mediów będzie się przebiła do antyrządowej „bańki”, a część osób mniej lub bardziej świadomie ulegnie narastającej atmosferze podejrzliwości i zacznie wątpić. Jeśli nawet nie w uczciwość Donalda Tuska i innych polityków opozycji, to w sens pójścia do wyborów. I to będzie jedyny, ale za to destrukcyjny dla naszego kraju sukces komisji ds. badania wpływów rosyjskich. A wtedy będzie jak za czasów komisji McCarthy'ego. Faktycznie wygra Rosja.

Ministerstwo Obchodów Narodowych

Wojsko będzie jeszcze bardziej na pokaz, przynajmniej do wyborów. PiS wyczuł, że pokazy, defilady, pikniki, koncerty i inne przedsięwzięcia z mundurowym tłem dobrze sprzedają się w kampanii, więc zaserwuje nam jeszcze więcej tego samego. MON właśnie ogłosił, że przez cały miesiąc trwać będą obchody świąt jednostek wojskowych w całym kraju, czyli nastąpi powtórka formuły piknikowej, znanej z sierpniowego długiego weekendu. Jednostek różnego szczebla wojsk operacyjnych i WOT jest coraz więcej, więc okazji do świętowania co niemiara. MON zachęca: „Obchody świąt naszych jednostek wojskowych, przysięgi dobrowolnej zasadniczej służby wojskowej i przysięgi WOT będą także dobrą okazją do pokazania siły Wojska Polskiego, a także do prezentacji nowoczesnego uzbrojenia, które trafia na wyposażenie jednostek wojskowych”. Kumulacja wydarzeń nastąpi 17 września, gdy w rocznicę sowieckiej agresji na Polskę MON zorganizuje na poligonie w Orzyszu wielkie widowisko, nazwane dla niepoznaki otwartymi ćwiczeniami

„Jesienny ogień”. To miejsce zna podobne imprezy. Przed pandemią, dzięki współpracy lokalnych władz i wojska, odbywały się tam w lipcu pokazy zwane „walką czołgów”.

Teraz format został scentralizowany i ma być głównym wojskowym akcentem rocznicy, która w wojennych realiach nabrała powagi większej niż przez ostatnie dekady. I nigdy nie była powodem organizowania



z rozmachem obchodów – nowej specjalności MON. Ale **Mariusz Błaszczak** chce kolejnej masówki, militarnego show. Tłumy, jakie przyciągnęła sierpniowa defilada i radoskie Air Show, pokazały, że Polacy wciąż spragnieni są spotkań z żołnierzami i oglądania wojskowego sprzętu. Schemat jest więc podobny: piknik, wystawa i koncert, oczywiście z transmisją w TVP i obowiązkową rozmową z Błaszczakiem.

Nad oprawą występów ministra czuwa jego prawa ręka Agnieszka Glapiak, formalnie wiceszefowa KRRiTV. – *Jej chodzi tylko o kadr w telewizji* – mówią ludzie z MON. Stojący w centrum tego kadru Błaszczak otrząsnął się z wizerunkowych kłopotów po odkryciu rosyjskiej rakietki pod Bydgoszczą. Nie zaskodziła mu też powietrzna parada białoruskich śmigłowców nad Białowieżą ani zgubienie zapalnika przez polski śmigłowiec. Błaszczak obronił nie tylko status kampanijnego frontmana, ale i swój podwarszawski okręg wyborczy. Minister spraw wewnętrznych Mariusz Kamiński został wysłany przez prezesa Kaczyńskiego na ścianę wschodnią do Chełma, mimo iż zawsze kandydował z Warszawy. Być może przez incydent z policyjnym śmigłowcem. (M5)



Wstrząs w Kijowie

Prezydent Wołodymyr Zełenski w niedzielę odwołał ministra obrony Ołeksija Reznikowa, stojącego na czele resortu przez cały okres wojny i będącego twarzą skutecznej dyplomacji zbrojeniowej Ukrainy. O jego odejściu mówiło się już kilka razy, ostatnio latem. Tłem miało być nieopanowanie korupcji w zamówieniach obronnych i wojskowej administracji, co sprawiło, że pieniądze wyciekały, a od walki na froncie można się było wykupić łapówką. Zełenski już wcześniej pozbył się urzędników na niższym szczeblu, ale teraz najwyraźniej postanowił dokręcić śrubę od góry. Reznikowa zastąpi o ponad 15 lat młodszy **Rustem Umerow**, z pochodzenia krymski Tatar, który nie tylko skutecznie negocjował z Rosją wymianę jeńców z Azowstalu, ale wypalał korupcję w państwowej agencji prywatyzacyjnej. Wobec odwołanego ministra nie zostały sformułowane żadne zarzuty, a przewidziane stanowisko ambasadora w Londynie wskazuje na aksamitne rozstanie. Ale to, że Zełenski równocześnie aresztował własnego patrona sprzed lat, oligarchę Ihora Kołomojskiego, świadczy o głębszym wstrząsie w Kijowie, który wywoła pytania o stan ukraińskiego przywództwa, tak jak przebieg ofensywy wywołuje na Zachodzie rosnący sceptycyzm. Krytyki nie wytrzymał szef dyplomacji Dmytro Kułeba. Na spotkaniu w Hiszpanii rzucił, że każdy, kto pisze o powolnych postępach, pluje w twarz ukraińskim żołnierzom. Mądrali z bezpiecznych foteli Zachodu zaprosił, by wzięli karabin do ręki i sami odzyskali choć jeden centymetr ukraińskiej ziemi.

Ukraińska ofensywa na głównym kierunku po zajęciu wsi Robotyne przesunęła front o kilka kilometrów dalej. Postęp jest niewielki, ale szybszy niż dotychczas. Daje Ukraińcom możliwość ostrzeliwania artylerią połowę Tokmaku – węzła kluczowego dla zaopatrzenia rosyjskich wojsk w Zaporozżu i na Krymie. Żołnierze mówią, że miasto widać z zajętych wzgórz. Rosja chyba zorientowała się, że obrona się kruszy, bo ze stutysięcznego zgrupowania na północy Donbasu ściga na południe rezerwy i wysadza podłożone na przedpolu obrony miny. Przełamanie pierwszej linii pod Robotyne zajęło ukraińskim brygadam trzy miesiące i jeśli Tokmaku nie uda się zdobyć szybciej, zima może być bardzo ciężka. Dlatego Ukraina nie patyczkuje się też na innym froncie. Uderzenia powietrzne na ważne i odległe, głównie wojskowe, cele w Rosji stają się normą. Lotnisko w Kursku, sąsiadujące z elektrownią jądrową miasto Kurczatów, ponownie Moskwa i oddalony o 700 km Psków. BBC podlicza, że przypisywanych Ukrainie ataków w Rosji i na Krymie było w tym roku już 190. Straty Rosji to kilka dużych i kosztownych samolotów na tydzień. To fenomen, że w czasie wojny i bez jawnego udziału zachodniej technologii Ukraina stworzyła narzędzia walki łączące skrytą taktykę i zaawansowaną technikę. Obrona powietrzna Rosji coraz częściej nie daje rady. Na wszelki wypadek samoloty na odległych lotniskach okłada się samochodowymi oponami, by wytrzymały atak ukraińskich dronów.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI

Gdzie się kończą Chiny?

Chiny odebrały Rosji kawałek terytorium. Na razie tylko na mapie, za to oficjalnej, wydanej przez ministerstwo zasobów naturalnych, odpowiadające za aktualizowanie chińskiego standardu kartograficznego. Według materiałów opublikowanych przez resort leżąca pod Chabarowskiem 350-kilometrowa wyspa została włączona do obszaru ChRL. Trudno by był to przypadek, skoro okolica pozostaje źródłem chińsko-rosyjskich zadrażnień od XIX w. W 1969 r. nad graniczną rzeką Ussuri padły strzały, były co najmniej setki ofiar śmiertelnych.

Rosja przyjęła przesunięcie bardzo spokojnie. Jej z reguły wojowniczy MSZ przypomniał jedynie, że oba państwa nie zgłaszają wobec siebie roszczeń terytorialnych, a przebieg ich granic został ostatecznie wytyczony. Tak pojednawczy ton objaśniany jest potrzebami Rosji, liczącej na chińskie wsparcie w obliczu międzynarodowej izolacji po agresji na Ukrainę. Wiosną władze w Moskwie bez emocji przyjęły wykładnię tego samego ministerstwa o zmianach nazw dawnych chińskich ziem podbitych przez carską Rosję, w tym o porzuceniu np. nazwy Władywostok na rzecz Haishenwai czy zamianie Chabarowska na Boli.

Za to gorący sprzeciw ministerialna mapa wzbudziła w Indiach, w którym nie podoba się, że za chińskie zostały uznane cały stan Arunachal Pradesh oraz region Aksai Chin na Wyżynie Tybetańskiej. Protesty budzą instrukcje o „schińszczeniu” nazw kilkunastu indyjskich miejscowości. Niewykluczone, że to przez te zdecydowane pretensje przywódca ChRL Xi Jinping nie pojawi się na szczycie grupy G20, odbywającym się w Indiach 9 i 10 września.



Mapa objęła także morza, ukazując chińskie pretensje do wód i wysp, które za własne uznają m.in. Malezja, Wietnam i Filipiny. Chińskie linie bez oglądania się na zasady prawa międzynarodowego tną po uważaniu wody terytorialne, łowiska i tereny roponośne. Zainteresowani nie przepuszczają żadnej okazji, by udowodniać swoje racje. Ich czujność obudził nawet kinowy hit mijającego lata – śladu chińskich kresek na mapach dopatrzono się w filmie „Barbie”, w przypadku czegoś, co wyglądało jak mapa świata narysowana dziecięcą ręką. Z tego powodu w Wietnamie zakazano pokazywania „Barbie”, a na Filipinach po ostrej debacie wyświetlano ją pod warunkiem zamazania kontrowersyjnej mapki.



Moment Bonapartego

Gabon jest kolejnym afrykańskim krajem, w którym armia przejęła władzę. Od początku 2020 r. na kontynencie doszło do co najmniej dziewięciu udanych wojskowych zamachów stanu i sześciu prób, w paru państwach kilkakrotnie. Tę serię polityczną ubrali w koncepcję pasa przewrotów, bo odsunięto cywili głównie w Sahelu, w długim na ponad 5 tys. km łańcuszku sąsiadujących ze sobą państw, ciągnącym się od Gwinei po Sudan. Teraz dochodzi Gabon, położony w równikowej części Afryki.

Pucze te miały różne preteksty. Rządy w Burkina Faso, Mali i Nigrze nie dały rady zwalczyć powstań dżihadystów. W Czadzie rebelianci zabili prezydenta, władzę przejął jego syn w stopniu generała. W Sudanie wojnę domową toczą skłócone frakcje sił zbrojnych. W Gabonie poszło o sfałszowane wybory, którymi skorumpowany prezydent próbował załatwić sobie trzecią kadencję. I choć armie dawały rozmaite uzasadnienia, to przepis wszędzie był podobny. Przede wszystkim znaleźli się ambitni oficerowie gotowi na podjęcie ryzykownej akcji, wywodzący się m.in. z gwardii prezydenckich, znający kulisy dworskich intryg. Ich wysyp Thierry Vircoulon, ekspert z IFRI, Francuskiego Instytutu Stosunków Międzynarodowych, opisuje jako afrykański moment Bonapartego – przed odważnymi wojskowymi, w tym szefem gabońskiej junty gen. **Bricem Oligu-
im Nguemą**, rysują się świetlane kariery.

Armii ośmieliło zmęczenie społeczeństw, poirytowanych brakiem codziennego bezpieczeństwa lub – jak w Gabonie, teoretycznie jednym z najbardziej zamożnych państw Afryki Subsaharyjskiej – oczekujących sprawiedliwej dystrybucji wpływów z eksploatacji surowców. To także starcie pokoleniowe: przeciętny wiek Afrykanina ledwo przekracza 19 lat, przywódców 63 lata. Przyczyn zasiedzieli liderzy weryfikowani przez pucz okazują się niekompetentni, a ich pozornie stabilne reżimy zupełnie wyczerpane. „Nie wiem, co się dzieje”, lamentował z aresztu domowego wyraźnie zdezorientowany gaboński prezydent Ali Bongo Ondimba.

Paszportowa gorączka

Granatowy amerykański paszport to potęga: otwiera bezwizowo drzwi do 184 państw (nr 8 w światowym rankingu dokumentów podróży). Ale trzeba go najpierw mieć. I z tym jest problem: czas oczekiwania na paszport wynosi obecnie od 10 do 13 tygodni (a za dopłatą 60 dol. od 7 do 9 tygodni). Co pokrzyżowało wiele planów wakacyjnych, a były one bardzo ambitne. Po dwóch straconych covidowych latach i skromnym ubiegłym Amerykanie masowo ruszyli za granicę, bardzo wielu do Europy, a szczególnie wielu do Paryża,



tropem Emily z serialu Netflix; ten rok będzie równie udany jak 2019 r., a może nawet go przebijie. Stąd korek z paszportami. W marcu wpływało tygodniowo 560 tys. wniosków o wydanie nowego lub przedłużenie starego, obecnie 430 tys. – i terminy ledwie drgnęły. Również dlatego, że z powodu covidowego zastój zmniejszono administrację paszportową i trudno ją teraz odbudować, a na domiar złego zamknięta została OPR, aplikacja online do przedłużania dokumentów, i w pełni sprawna będzie dopiero pod koniec roku.

Tak oto kończy się letni horror: wiszenie godzinami na infolinii, próby umówienia się na osobistą wizytę w biurze paszportowym – często wolne miejsca były gdzieś

w odległym kącie kraju, a przede wszystkim systematycznie wydłużały się terminy, co burzyło plany. W zgodnej opinii kongresmenów kwestie paszportowe stały się teraz głównym tematem skarg wyborców. Kryzys wzięt na klatę sekretarz stanu Antony Blinken, bo jego departament odpowiada za zaistniałą sytuację. Odwiedził nawet największe biuro paszportowe w Nowym Jorku i meldował, że wszyscy „dwoją się i tróją”. I idą na rekord: 25 mln paszportów. Można się pocieszać, że za granicą w amerykańskich placówkach konsularnych sytuacja jest jeszcze gorsza. Np. w Izraelu czekało się na przedłużenie jankeskiego paszportu 360 dni. W Delhi na rozmowę z konsulem w sprawie wizej stoi się w kolejce 560 dni, w Mexico City – 750, a w Bogocie rekordowe 801 dni.

Londyn kontra auta

Stolica Zjednoczonego Królestwa, jak zresztą wiele innych europejskich metropolii, w samym centrum miała dotychczas tzw. strefę niskiej emisji, w której każdy smrodzący pojazd musiał płacić. Teraz lokalne władze, z burmistrzem Sadikiem Khanem na czele, rozciągnęły ową strefę, znaną pod skrótem ULEZ, na obszar całego miasta razem z przedmieściami, tzw. Greater London, włączając do niej 5 mln ludzi. W efekcie londyński ULEZ stał się największą tego typu strefą na świecie.

Wszystkie poruszające się tu pojazdy, również motocykle, które nie spełniają określonych limitów emisyjnych, obciążone są opłatą 12,5 funta (65 zł) dziennie. Kara za brak opłaty wynosi 180 funtów; 90 funtów, jeśli uiszcza ją w 14 dni. Limity emisji określone są na podstawie standardów Euro 4, 5 i 6 – w przybliżeniu chodzi o auta benzynowe sprzed 2006 r. i diesle sprzed 2016. Wyjątki stanowią taksówki, dostawczaki i pojazdy dla osób niepełnosprawnych. Władze miasta

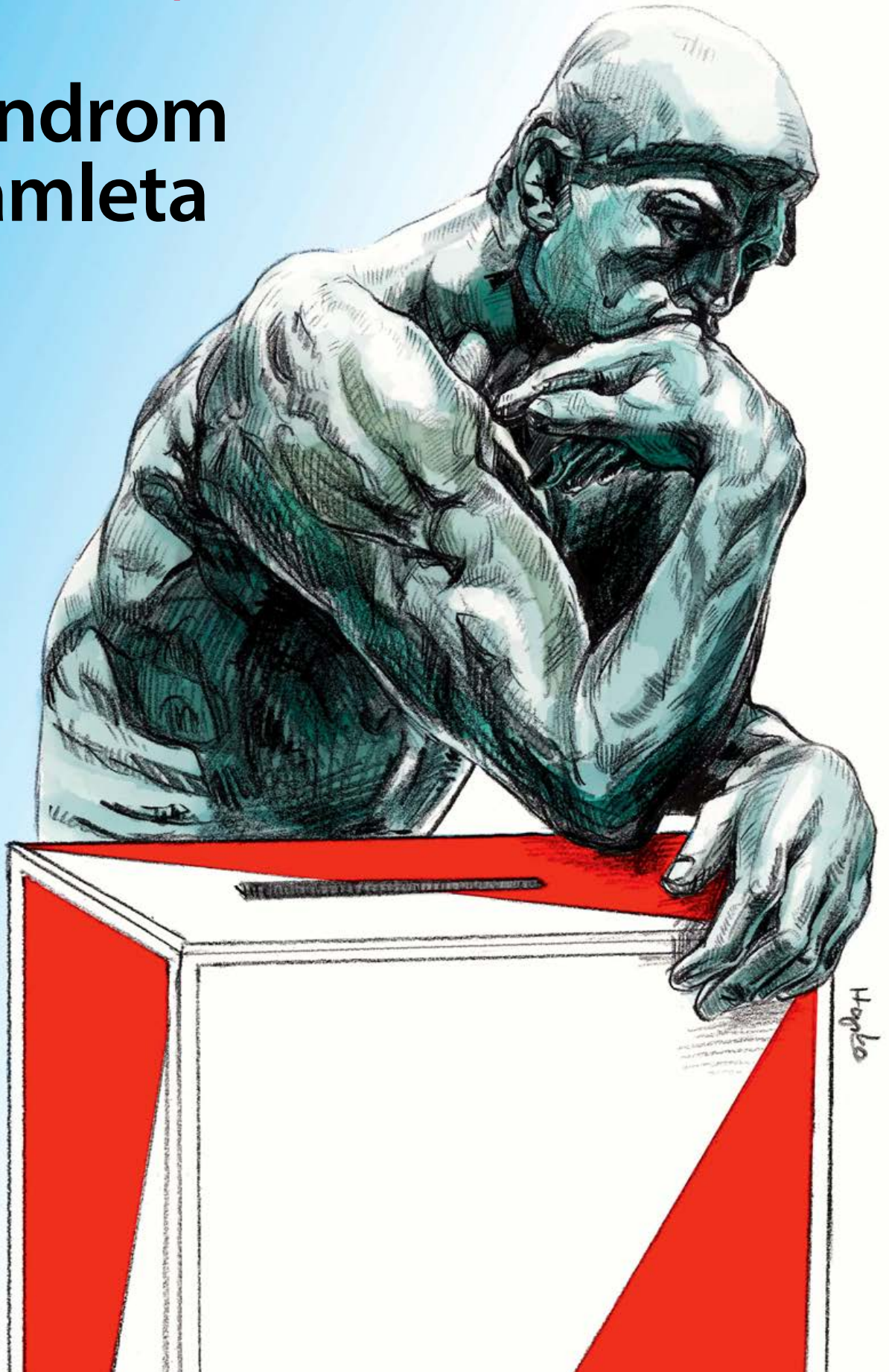
twierdzą, że w sumie to co dziesiąty pojazd poruszający się po Londynie, stołeczny urząd transportu, TfL – że co szósty. Jednocześnie dla mieszkańców miasta, których auta przekraczają limity, władze zaoferowały dopłatę na ich dostosowanie lub zakup nowych w wysokości 2 tys. funtów.



Burmistrz Khan przekonuje, że wprowadzenie ULEZ w centrum Londynu cztery lata temu obniżyło tam stężenie dwutlenku węgla o 44 proc. A jako zadeklarowany astmatyk dodaje, że zanieczyszczenie powietrza zabija dziś na Wyspach więcej ludzi niż rak płuc wywołany przez palenie. Mimo to ULEZ

nie jest zbyt popularny – według sondażu More in Common ostatnie rozszerzenie strefy popiera 39 proc. pytanym londyńczyków, 35 proc. jest przeciwn. Ci drudzy organizują liczne demonstracje, często odwołując się do protestów francuskich żółtych kamizelek. Wskazują, że transport publiczny na nowo objętych strefą obszarach jest rachityczny i drogi, np. podróż w tę i z powrotem z Uxbridge na przedmieściach do Westminsteru kosztuje 10 funtów. A ścieżek rowerowych, których pełno w centrum, jest tam jak na lekarstwo. Radykalowie posuwają się nawet do niszczenia kamer, które rejestrują poruszające się po mieście pojazdy.

Syndrom Hamleta



ILUSTRACJA ARKADIUSZ HAPKA

Polacy źle oceniają stan spraw w kraju i wiedzą, że za tę sytuację odpowiada rząd PiS. Opozycja demokratyczna nie może być jednak pewna zwycięstwa. Wszystkie partie są bowiem zakładnikiem największej siły w tych wyborach – niezdecydowanych. To niemal połowa ogółu wyborców. Fundacja im. Stefana Batorego przyjrzała się, kim są.

P

EDWIN BENDYK

rawo i Sprawiedliwość przez lata mogło się pochwalić najbardziej lojalnym i skonsolidowanym elektoratem. Doceniał on, że partia realizuje obietnice – sztandarowym przykładem obiecany w 2015 r. program 500+ i zrealizowany szybko po wygranej przez rząd Beaty Szydło. W nagrodę w wyborach w 2019 r. PiS zdobył prawie 44 proc. głosów. To już jednak przeszłość. Partia Jarosława Kaczyńskiego ciągle plasuje się na czele przedwyborczych sondaży, co otwiera drogę do wygranej, ale bez szansy na samodzielne rządy.

PiS ma dziś wielu wyborców, którzy nie są przekonani, że oddadzą swój głos na partię, z którą tak mocno, wydawałoby się, są związani. W zależności od badań swego głosu nie jest pewnych między 28 a 34 proc. wyborców PiS, co przy frekwencji szacowanej na 55 proc. przekłada się na 2 mln głosów.

Koalicja Obywatelska może liczyć na bardziej zdyscyplinowaną bazę wyborczą, niepewnych swojego głosu ma w swoich szeregach 20 proc. (według badania Agencji Datapraxis). Co z tego, skoro cały czas odbija się od sufitu, jaki ustawił PiS, trzymając się uparcie na pozycji lidera. Czy ma skąd dobrać dodatkowe głosy? Pierwszym łowiskiem są elektoraty innych ugrupowań demokratycznych, zdecydowanie bardziej rozchwiane w swych wyborczych postanowieniach. Łącznie blisko jedna trzecia elektoratu opozycji demokratycznej nie jest pewna swego głosu, co w przeliczeniu na realne liczby daje 2,4 mln głosów.

Koalicja Obywatelska w swym dążeniu do hegemonii na opozycyjnej scenie nie jest jednak skazana jedynie na „kanibalizację” elektoratu opozycyjnego, czyli przejmowanie wyborców Lewicy czy Trzeciej Drogi. Taki proces mógłby prowadzić do pyrrusowego zwycięstwa, kiedy dobry wynik w dniu elekcji okupiony byłby zepchnięciem innych ugrupowań poniżej progu wyborczego. Ciągle jednak do zagospodarowania jest blisko jedna piąta zdecydowanych wzięć udział w wyborach, którzy nie wiedzą jeszcze, na jaką partię zagłosują. Jest o co walczyć i zapewne wszystkie partie patrzą na niezdecydowanych, zastanawiając się, jak ich do siebie przekonać.

W tej grupie to Koalicja Obywatelska wywołuje bardziej pozytywne emocje niż PiS (15 do 13 proc.). Badania agencji Datapraxis, przeprowadzone w czerwcu na dużej, liczącej ponad 2,7 tys. respondentów próbie, pokazały, że wtedy największą zdolność przekonywania niezdecydowanych miała

Konfederacja. Jednak coraz silniejsze wewnętrzne napięcia, wynikające z niespójności wyborczej bazy i rosnącego kontrastu między poglądami wyborców a radykalnymi przekonaniami liderów Konfederacji, powodują, że siła tej formacji topnieje (co potwierdzają wyniki kolejnej, sierpniowej fali badań Datapraxis).

Koalicja Obywatelska powinna być w stanie pozyskać co najmniej jedną piątą wyborców niezdecydowanych, niewiele gorzej wyglądają w tym segmencie możliwości „połowe” Trzeciej Drogi.

Segmenty i segmenciki

Niezależnie od strategii kampanijnych partii o ostatecznym wyniku zadecyduje wyborcza frekwencja oraz jak licznie poszczególne grupy wyborców ruszą do urn. Już więc toczy się zjadła walka zarówno o mobilizację własnych elektoratów, jak i zniechęcenie potencjalnych wyborców partii konkurencyjnych. Fundacja im. Stefana Batorego postanowiła przyrzeć się dokładnie wyborcom niezdecydowanym i ich sposobowi myślenia. Agencja badawcza Difference na zlecenie Fundacji przeprowadziła wśród przedstawicieli wyborców niezdecydowanych serię wywiadów pogłębionych. Badacze na podstawie badań ilościowych agencji Datapraxis wytypowali pięć segmentów wyborców, odpowiadających ok. 41 proc. dorosłej części społeczeństwa:

Wycofani – największa z tych grup to ok. 20 proc. elektoratu. Zniechęceni do polityki, mało nią zainteresowani, jednak odrzucający obecne rządy. Nie wykluczają żadnej partii oprócz rządzącej. Przeważają tu kobiety (56 proc.), dominują osoby w wieku 18–49 lat.

Popierający partię rządzącą, ale rozczarowani obecnymi rządami i nie do końca pewni swojego poparcia. Przeważają osoby powyżej 50 lat i kobiety (56 proc.), 77 proc. mieszka na wsiach i w miastach do 100 tys.

Odrzucający partię rządzącą oraz Konfederację, ale także rozczarowani największą partią opozycyjną. Przeważają kobiety (60 proc.) i osoby w wieku 18–59 lat (83 proc.), mieszkają głównie w średnich i dużych miastach.

Wahający się między partiami, biorą pod uwagę wszystkie ugrupowania oprócz formacji rządzącej. Przeważają osoby młode (poniżej 39 lat ma 52 proc. grupy) i kobiety (58 proc.).

Wyborcy młodzi, odrzucający PiS, w tym idący do wyborów po raz pierwszy.

Niezależnie jednak od grupy dominuje wysoki poziom frustracji, zniechęcenia, niepewności, lęku o przyszłość. Te nastroje dobrze korespondują z wynikami badań ilościowych More in Common Polska. W sondażu przeprowadzonym w kwietniu na próbie 4 tys. osób 64 proc. badanych ►

► twierdziło, że sprawy w Polsce idą w złym kierunku. Wśród osób niezdecydowanych, na którą partię zagłosują, podobnie myślało 65 proc. Ta zdecydowana przewaga ocen negatywnych utrzymała się od pierwszej edycji badania More in Common Polska w grudniu 2021 r. I utrzymuje nadal, co pokazuje z kolei lipcowy sondaż CBOS (tu 55 proc. twierdzi, że sprawy idą w złym kierunku).

Powszechna frustracja

Rozmowy z niezdecydowanymi, przeprowadzone na potrzeby badania, ujawniły, że niezależnie od grupy i politycznych sympatii największym dla wszystkich problemem jest drożyzna. Doskonale ten nastrój wyraża zanotowana wypowiedź dotychczasowej zwolenniczki PiS, dziś rozczarowanej swoją partią: – *Na tle Unii Europejskiej i innych krajów to zarobki są bardzo słabe i jeszcze przy tej drożyznie jakoś człowiek przeżyje, ale żeby sobie zbierać, odłożyć coś, żeby zapewnić sobie czy dziecku byt na przyszłość, to słabo.*

Można stwierdzić, że mało zaskakujące stwierdzenie wobec rzeczywiście wysokiego poziomu inflacji. Przecież nawet w znacznie zasobniejszej Francji wybory prezydenckie i kampanię wyborczą w ub.r. zdominował jeden temat – koszty życia. To on przykrył kwestie, na które liczyła np. skrajna prawica, choćby problem migracji. W Polsce jest podobnie – tematy, które działały w 2019 i w 2020 r. podczas kampanii parlamentarnej i prezydenckiej (jak haniebna nagonka na środowiska LGBT+), dziś nie wzbudziłyby szerszych emocji.

Doświadczenie drożyzny mocno pobudza krytycyzm wyborców niezdecydowanych. Najważniejsze sformułowane zarzuty dotyczą „rozdawnictwa” – to słowo najczęściej pojawiało się, gdy respondenci podejmowali kwestię transferów socjalnych. O ile opinie o sensie redystrybucji były podzielone, o tyle powszechne okazało się przekonanie, że istniejący system jest niesprawiedliwy, bo nie łączy świadczeń takich jak 500+ z pracą.

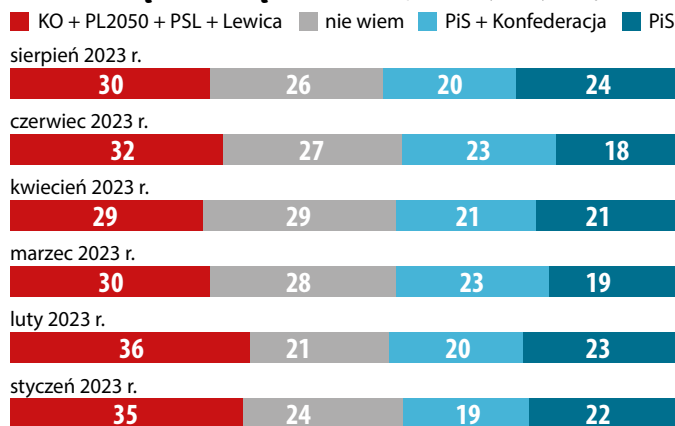
Tu znamieną jest wypowiedź wyborczyni z Piotrkowa Trybunalskiego, rozczarowanej PiS: – *Ja wiem, że dużo rodzin, dzieci zyskało, dużo dzieci pojechało pierwszy raz na wakacje, kolonie, ale dla mnie to jest karmienie matek socjalnych, wyciąganie ręki po prostu, bo im się należą. Podam przykład sąsiadów, oni myślą, że zrobili dzieci i rząd musi im dawać, i tylko narzekanie, że wszystko jest drogie i rząd musi im dać. I on bluźni, ona siedzi, i tylko latają i załatwiają zasiłki, finalnie się okazało, że mają więcej niż my, ludzie pracujący. Tak to jest, że ludzie, którzy nie do końca na to zasługują, nie zdają sobie sprawy, że jeszcze ich prawnukowie będą to spłacać, im się łatwo bierze, ale nie myślą przyszłościowo, nie skupiają się na tym, żeby te pieniądze przeznaczyć na dzieci, bardziej to idzie w kierunku przepustania, a później pokolenie kolejne będzie to spłacało.*



Pęknięty filar

Wypowiedź ciekawa, bo potwierdza, że jeden z filarów sukcesu PiS, polityka transferów socjalnych, dzieli elektorat tej partii i ważna jego część (według badań More in Common Polska 27 proc. wyborców PiS) uważa, że program 500+ przyniósł więcej szkód niż korzyści. Odkrywają związek pustki w swoim portfelu z kosztami transferów oraz zaczynają dostrzegać, że dzisiaj podjęte zobowiązania

Kto zdobędzie większość? – opinie niezdecydowanych (w proc.)



ŹRÓDŁO: DATAPRAXIS

trzeba będzie spłacić. Innymi słowy, że to nie Jarosław Kaczyński ani Adam Glapiński są źródłem dystrybuowanej gotówki, tylko podatki. Warto odnieść te opinie do danych ilościowych – badanie Datapraxis pokazało, że wśród osób niezdecydowanych, na jaką partię zagłosują, 39 proc. poparło podwyższenie 500+ na 800+, ale taki sam odsetek był przeciwny.

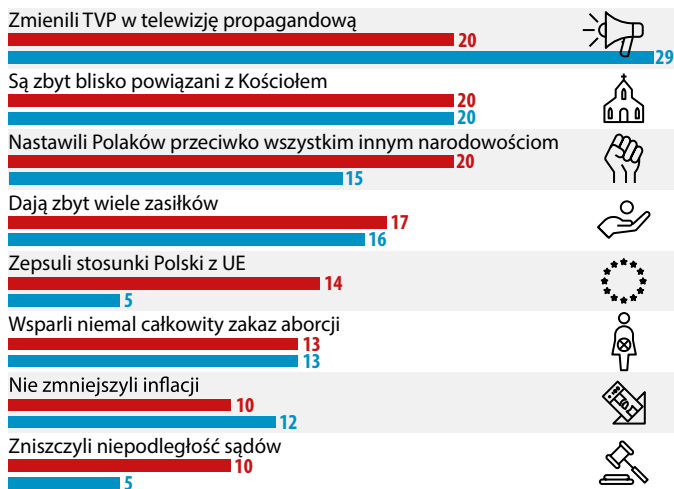
Inne niewygodne pytanie dotyczy transferów dla emerytów w postaci kolejnych emerytur. Nabrzmiwia przekonanie, że choć emerytom należą się wypracowane w czasie życia zawodowego świadczenia, to stają się oni coraz bardziej roszczeniowi i oceniają rząd tylko przez pryzmat kolejnych wypłat, a nie konsekwencji tych działań dla reszty społeczeństwa. To niezadowolone wobec osób starszych ujawnia znacznie poważniejszy problem. Gdy w 2005 r. PiS po raz pierwszy obejmował władzę, liczba wyborców w wieku 20–29 lat odpowiadała liczbie wyborców w wieku powyżej 60. roku życia: 6,42 mln do 6,56. W 2023 r. grupa 60+ powiększyła się do prawie 10 mln, grupa 20–29 lat zmalała do 3,9 mln. Ta dysproporcja będzie się powiększać, zmieniając na zawsze zarówno sytuację w gospodarce, jak i w polityce. Najgorszy scenariusz to przełożenie nierównowagi międzypokoleniowej na otwarty konflikt.

To ryzyko znajduje wyraz w wyobraźni badanych przez Fundację Batorego. Ich wypowiedzi można zebrać w uwspólnione przekonanie, że Polska to kraj dla ludzi niepracujących i emerytów. I jednocześnie nie jest krajem dla ludzi młodych, dla pracujących, przedsiębiorców i w szczególności dla młodych kobiet. Kwestia aborcji i obowiązującego w Polsce prawa antyaborcyjnego oraz konsekwencji jego stosowania oburza również część elektoratu PiS. Głos rozczarowanej wyborczyni PiS, tym razem z Lublina, dobrze ilustruje te emocje: – *Mogę się wypowiedzieć na temat tych sytuacji, które drężyą się z kobietami, które nie zyskują w ciąży pomocy ze strony szpitala, bo im nie pozwala na to prawo, bo tak je pozmieniali, że porobili u nas średniowiecze w Polsce – no to troszeczkę jest nie halo, żeby takie rzeczy działy się w dzisiejszych czasach. To też jest takie oburzające.*

Warto tu spojrzeć na badania ilościowe. Z danych Datapraxis wynika, że aż 47 proc. wyborców PiS jest za przy-

Opinie związane z rządami PiS (w proc.)

■ wszyscy respondenci ■ niezdecydowani – dawni wyborcy PiS



© LECH MAZURCZYK

wróceniem „kompromisu aborcyjnego”, a badanie Ipsos dla OKO.press z czerwca br. pokazało, że dla 42 proc. wyborców tej partii w szpitalach publicznych nie powinna obowiązywać klauzula sumienia. Wśród wyborców niezdecydowanych aż 72 proc. jest przeciwnych zakazowi aborcji. Odmienne stanowisko zajmuje tylko 12 proc.

To nie jest kraj dla...

Fragmety opisu rzeczywistości przedstawiane przez uczestników wywiadów pogłębionych składają się na obraz Polski, która jako państwo nie działa. Dostrzega to również duża część dotychczasowych wyborców PiS. Konkretne sprawy – jak drożyzna, przekonanie, że transfery socjalne w obecnym kształcie są niesprawiedliwe, nie-ludzka opresja wobec kobiet, marginalizacja ludzi młodych – układają się w coraz bardziej spójny negatywny opis państwa. Dominuje opinia, że obecna partia rządząca koncentruje władzę, ale nie wykorzystuje tej siły do rozwiązania problemów, tylko do umacniania systemu, nazywanego przez niektórych badanych wprost dyktaturą.

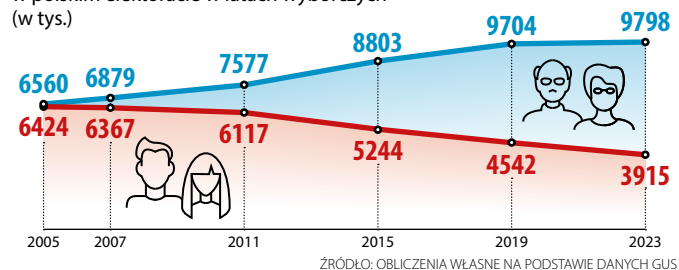
Badanie CBOS z sierpnia br. analizujące wizerunek polskich partii pokazało, że choć PiS ciągle jawi się jako formacja skuteczna (47 proc.), to dla większości ankietowanych jest partią „dbającą przede wszystkim o partyjne interesy” (57 proc.), „nie ma kompetentnych ludzi do rządzenia” (51 proc.), „jej politycy są nieuczciwi, myślą tylko o własnych korzyściach” (54 proc.), „jest konfliktowa, nie szuka kompromisów” (54 proc.).

Dotychczasowy opis – odwołujący się zarówno do badań jakościowych, jak i ilościowych – pokazuje, że wynik październikowych wyborów powinien przesądzić o PiS powinien stracić władzę. Coraz mniej powodów do głosowania na tę partię widzi nawet duża, licząca blisko jedną trzecią elektoratu część wyborców PiS. Nawet główne hasło wyborcze PiS, przedstawiające tę partię jako gwaranta bezpieczeństwa, przekonuje coraz mniej wyborców. Na dodatek PiS ma też mniejszy niż opozycja potencjał mobilizacji wyborców niezdecydowanych. Ich emocje w większości



Starzejący się elektorat

Oszacowania grup osób **młodych (20–29 lat)** i **dojrzałych (60+)** w polskim elektoracie w latach wyborczych (w tys.)



ŹRÓDŁO: OBLICZENIA WŁASNE NA PODSTAWIE DANYCH GUS

lokują się po stronie antyPiS. Wyborcy pytani, kto będzie rządził po wyborach, w pierwszej kolejności wskazują na partię opozycji demokratycznej (30 proc. wskazań w sierpniowej fali badań Datapraxis). O samodzielnych rządach PiS fantazjuje 24 proc. badanych, koalicję PiS z Konfederacją wskazuje 20 proc.

Respondenci (w badaniu Fundacji Batorego) nie mieli wątpliwości, że już najwyższy czas na zmianę partii władzy. I jednocześnie zastanawiali się, czy zmiana na lepsze jest możliwa? W tej wątpliwości sumują się trzy obawy.

Po pierwsze, że PiS robi wszystko, by nie oddać władzy. Po drugie, że nawet jak odda władzę, to nie ma formacji zdolnej posprzątać pozostawiony bałagan.

Po trzecie, nie ma wiarygodnej alternatywy politycznej godnej wyboru. To właśnie dość szerokie przekonanie, że PiS już nie powinien rządzić, ale nie ma na kogo zagłosować, powoduje, że wyborcy niezdecydowani są w tych wyborach grupą szczególnie trudną. Odkryli bowiem, że jedną z opcji jest rezygnacja z głosowania.

Na tę właśnie demobilizację najbardziej liczy PiS. Na wahających się, którzy jednak nie widzą w opozycji demokratycznej alternatywy, liczy Konfederacja. Czy w takim razie opozycja demokratyczna jest w stanie zaproponować skuteczną strategię mobilizacji niezdecydowanych? Inaczej niż w 2007 r. mobilizacja młodych wyborców nie odegra już takiej roli, bo jest ich po prostu o wiele mniej. Ale też gdyby się udało ich pozyskać w stopniu takim, jak w 2019 lub 2020 r., to przełożyłoby się na dodatkowe 4–5 pkt proc. dla opozycji. Sama tylko mobilizacja kobiet w wieku 18–29 lat do poziomu jak przed trzema laty przełożyłaby się na dodatkowe 3 pkt. Jak o te pojedyncze, ale decydujące punkty walczyć? Badania podpowiadają, że potrzebne są

konkretne, wiarygodne propozycje poprawy sytuacji w najbardziej uwierających wyborców kwestiach. Ale to nie wystarczy: potrzebna jest także opowieść przedstawiająca wizję Polski lepszej niż ta dzisiejsza. Potrzebni są też politycy i polityczki, nowe lub przynajmniej „niezużyte” twarze, uosabiające polityczną ofertę. W końcu partie opozycyjne muszą przekonać, że gdyby odniosły sukces i utworzyły koalicję, potrafią rządzić i realizować program, a nie się kłócić. Oto najprostsza – i trudna – recepta na lepszy wynik w wyborach.

EDWIN BENDYK

Raport „Polacy gotowi na zmianę. Wynik wyborów rozstrzygną niezdecydowani” jest dostępny na stronie Fundacji im. Stefana Batorego: <https://www.batory.org.pl>

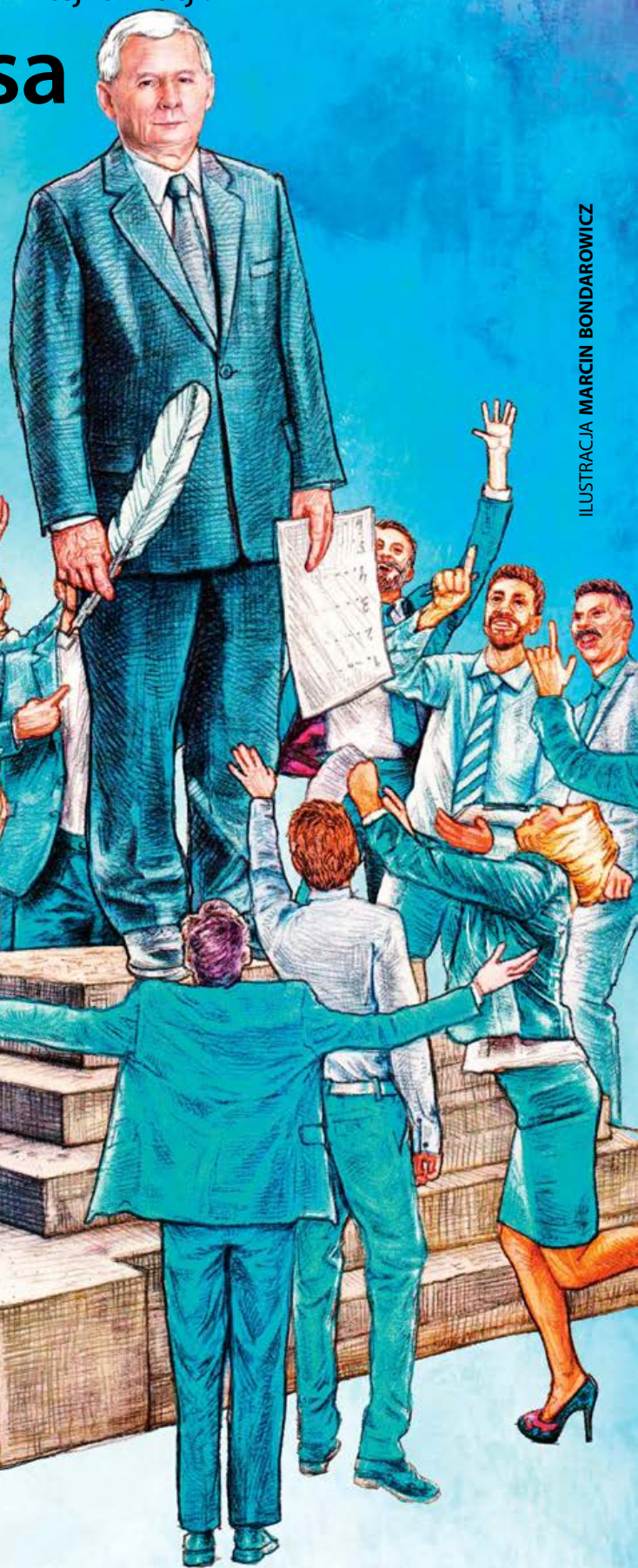
Jarosław Kaczyński ułożył listy wyborcze. Co można z nich wyczytać o układzie sił w Zjednoczonej Prawicy, a także o nastrojach w tej formacji?

Drużyna prezesa

ANNA DĄBROWSKA, WOJCIECH SZACKI

K

ońcówka tworzenia list wyborczych PiS okazała się całkiem interesująca. Jarosław Kaczyński czekał z ogłoszeniem jedynek niemal do ostatniej chwili, by niezadowoleni z miejsc posłowie nie zrobili mu jakiegoś numeru na posiedzeniu Sejmu 30 sierpnia. Nazwiska liderów list prezes wyczytał w końcu w czwartek 31 sierpnia. Potem w weekend odbyły się prezentacje kandydatów z dalszych miejsc w 41 okręgach.



ILUSTRACJA MARCIN BONDAROWICZ

– Z tymi jedynekami na ostatniej prostej działo się sporo – opowiada nasz rozmówca. – Było tak: wiceprezes partii i minister spraw wewnętrznych Mariusz Kamiński nie ucieszył się z trzeciego miejsca w Warszawie, więc miał się przenieść na pierwsze do Olsztyna, na co zresztą też nie miał ochoty. W okręgu chełmskim jedynekę szykowaliśmy dla Zbigniewa Ziobry, a w Rzeszowie – dla europosła Tomasza Poręby. Ale Poręba zadzwonił do prezesa i powiedział, że on jednak nie chce kandydować, więc zwolnił się Rzeszów. Tam trafił Ziobro. Kamiński dostał zatem Chełm, a do Olsztyna przetruciliśmy ministra cyfryzacji Janusza Cieszyńskiego, który miał kandydować z Piły, bo wcześniej nie udało mu się wywalczyć biorącego miejsca we Wrocławiu. W tej sytuacji jedyneką w Pile miała zostać nowa minister zdrowia Katarzyna Sójka, ale krótko przed briefingiem na Nowogrodzkiej oznajmiła, że woli jednak być dwójką w Kaliszu. I tak liderem w Pile pozostał miejscowy poseł Krzysztof Czarnecki, choć na wyświetlanej w siedzibie PiS prezentacji widniało jeszcze nazwisko Sójki – objaśnia polityk koalicji.

Ci odlatują, ci zostają

Obecność prezesa próbowali wykorzystać politycy odstawieni na boczny tor. Na Nowogrodzką przyjechał szef komisji zdrowia Tomasz Latos (w 2019 r. był jedyneką w Bydgoszczy), ale nic mu to nie dało – nie dostał się na listę w ogóle, choć cztery lata temu miał ponad 60 tys. głosów. Podobna przykrość spotkała też ponad dziesięciu innych posłów z dalszych miejsc, m.in. Jacka Żalka, Lecha Kołakowskiego, Piotra Wawrzyka, Wojciecha Murdzka, Adama Gawędę czy Teresę Hałas.

Mimo wyraźnych chęci debiutu w Sejmie nie będą kandydowali także minister klimatu Anna Moskwa, która szykowała się do startu w Radomiu, oraz szef Rządowego Centrum Analiz Norbert Maliszewski, który od miesięcy prowadził kampanię w okręgu olsztyńskim. Kandydaturę Moskwy utracił Marek Suski – podobno powiązał ją personalnie z tzw. spółdzielnią, frakcją w dawnej AWS, której nie znosił Kaczyński. W przypadku Maliszewskiego jakiś życzliwy kolega przypomniał ponoć prezesowi jego wypowiedzi z czasów koalicji PO-PSL, gdy Maliszewskiemu zdarzało się chwalić Donalda Tuska.

Wielu posłów zostało zdegradowanych i muszą walczyć o mandat z dalszych miejsc niż w 2019 r. Status jedynek stracili m.in. minister w Kancelarii Premiera Michał Dworczyk (trójka w Wałbrzychu, efekt afery mailowej i wojenek w dolnośląskim PiS), wiceminister w Kancelarii Premiera Jan Dziedziczak (trójka w Kaliszu, wyprzedziły go panie minister Marlena Małag i Sójka), wiceminister funduszy Marcin Horała (czwórka w Gdyni, niezadowolone centrali z postępów CPK), były minister rolnictwa Jan Krzysztof Ardanowski (piątka w Toruniu, podpadł krytyką polityki rządu wobec rolników) czy wiceminister edukacji Dariusz Piontkowski (szóstka w Białymstoku, kłopoty z zarządzaniem partią w okręgu). Z drugiego na 11. miejsce w okręgu chełmskim spadł Sławomir Zawisłak, który zaszkodził sobie m.in. głosowaniem przeciwko tzw. piątce dla zwierząt.

Zdecydowana większość posłów dostała jednak od Kaczyńskiego szansę na reelekcję, a nawet ci przesunięci na dalsze miejsca nie są skazani na porażkę.

Kaczyński wymienił jedynek w 21 z 41 okręgów. Najgłośniejsza była jego własna przeprowadzka z rodzinnej Warszawy do Kielc. Stała za tym raczej nie obawa przed Tuskiem (zresztą prezes PiS od lat przegrywa w stolicy), lecz wiara w to, że w okręgu świętokrzyskim uda się zmobilizować prawicowy elektorat i obronić 10 mandatów, które PiS zdobył tu w 2019 r. Partia rządząca zrobiła badania siły głosu w poszczególnych okręgach i wyszło jej, że w Warszawie nawet bez Kaczyńskiego zdobędzie cztery

mandaty, a w Kielcach groziła jej utrata jednego–dwóch miejsc w Sejmie.

Następca Kaczyńskiego na czele – bardzo słabej zresztą – listy warszawskiej został Piotr Gliński, który w 2019 r. kandydował z Łodzi. Tam z kolei jedyneką został minister spraw zagranicznych Zbigniew Rau, po którym trudno się spodziewać sprawnej kampanii i dobrego wyniku. Wielu ważnych polityków PiS kandyduje z okręgów bardziej przyjaznych partii rządzącej. Kamiński w Chełmie (59,5 proc. dla PiS w poprzednich wyborach), minister aktywów państwowych Jacek Sasin w Białymstoku (52 proc.), Antoni Macierewicz w Piotrkowie Trybunalskim (56,2 proc.), szef klubu Ryszard Terlecki w Nowym Sączu (65,8 proc.). Terlecki intensywnie szukał zresztą bezpiecznego dla siebie okręgu, bo nie wspomina najlepiej kampanii z 2019 r., gdy z drugiego miejsca w Krakowie zdobył zaledwie 10,3 tys. głosów (liderka Małgorzata Wassermann – 140,7 tys.). Stało na Nowym Sączu, gdzie Terlecki zepchnął na drugie miejsce wiceministra spraw zagranicznych Arkadiusza Mularczyka.

Minister obrony Mariusz Błaszczak startuje tradycyjnie w okręgu podwarszawskim, tzw. obwarzanku, a marszałek Sejmu Elżbieta Witek otwiera listę w Legnicy. W Katowicach jedyneką ponownie został Mateusz Morawiecki. Minister edukacji Przemysław Czarnek awansował na pierwsze miejsce w Lublinie (w 2019 r. kandydował z dwójki).

Jedynek utrzymało wielu weteranów – Leonard Krasulski w Elblągu (73 lata), Bolesław Piecha w Rybniku (69 lat), Bożena Borys-Szopa w Gliwicach (69 lat), Czesław Hoc w Koszalinie (69 lat), Marek Kuchciński w Krośnie (68 lat) czy Stanisław Szwed w Białymstoku-Białej (68 lat).

– Jarosław chce mieć pewność, że ci najbardziej zaufani będą z nim na Wiejskiej. To dla niego szczególnie ważne na wypadek, gdybyśmy znaleźli się w opozycji. Oni na pewno będą trwać przy prezie. Nie dadzą się nikomu podkupić za miejsce w spółce Skarbu Państwa – tłumaczy nasz rozmówca. – Kaczyński sam chętnie korzysta z takich możliwości, wyciągając posłów z innych klubów, a kiedy będzie w opozycji, nie będzie miał narzędzi, aby ludzi przy sobie zatrzymać. Dlatego stawia na tych sprawdzonych, lojalnych i pewnych. I takich, których zresztą nikt podkupić mu nie będzie chciał – dodaje.

Młodsze pokolenie jedynek reprezentują rzecznik rządu Piotr Müller w Słupsku (34 lata), Kacper Płażyński w Gdańsku (34 lata) czy Cieszyński (35 lat). Średnia wieku liderów list PiS to 56,5 roku, dwa lata więcej niż w wyborach 2019 r. Kobiet jedynek jest 10, mężczyzn 31 i te proporcje niespecjalnie się zmieniły od 2019 r.

Każdemu wedle zasług

Nasi rozmówcy podkreślają, że listy zostały ułożone tak, by nikt nie czuł się ani specjalnie wygrany, ani przegrany. W przyszłym Sejmie znajdzie się pewnie trochę posłów bliskich Morawieckiemu. Kandydują Müller, Cieszyński, Dworczyk, szef gabinetu premiera Krzysztof Kubów (czwórka w Legnicy), wiceminister spraw zagranicznych Paweł Jabłoński (dwójka w Rybniku), sekretarz stanu w Kancelarii Premiera Adam Andruszkiewicz (trójka w Białymstoku), a także wiceminister rozwoju Olga Semeniuk-Patkowska (piątka w Olsztynie) i wiceminister rolnictwa Anna Gembicka (czwórka w Toruniu). Raczej spokojny o reelekcję może być też trzymający z Morawieckim minister rozwoju Waldemar Buda (dwójka z Łodzi). Blisko Morawieckiego jest także Krzysztof Szczucki, szef Rządowego Centrum Legislacji i autor programu PiS, który otwiera listę w Toruniu.

Lokalni politycy PiS w niektórych okręgach są poirytowani. – Nasz okręg padł ofiarą tego, że ludziom premiera prezes musiał dać jakieś miejsce. Cieszyński i Semeniuk to spadochroniarze, ►

► *my na nich pracować tu nie będziemy* – zapowiada wieloletni działacz PiS z Olsztyna. Dodaje, że szefowa okręgu i wieloletnia posłanka Iwona Arent dostała dopiero trzecie miejsce.

Swoich ludzi wprowadzą zapewne także niechętni Morawickiemu Witek, Sasin i Beata Szydło. Z naszych informacji wynika, że marszałek Sejmu chciała usunąć z list Dworczyka (co się nie udało, a jedynką w Wałbrzychu został jeden z jego przyjaciół, mało znany poseł Marcin Gwóźdź), ale bliscy jej posłowie Paweł Hreniak i Agnieszka Soin dostali drugie i trzecie miejsce we Wrocławiu.

Do Sejmu wejdą zapewne co najmniej dwaj współpracownicy Sasina. Ryszard Madziar ma dwójkę w Chełmie i już od dawna intensywnie się tam promuje – wręcza czeki, występuje na piknikach i niemal każdego tygodnia pokazuje się w regionalnej TVP. Z kolei trójką w Elblągu będzie prawnik i wiceminister aktywów Andrzej Śliwka. Trudniejsze zadanie czeka szefa gabinetu politycznego Sasina Piotra Rycerskiego, który dostał 20. miejsce w Krośnie.

Liczni kandydaci z Małopolski są zaś związani najbliższymi z Szydło. To np. rzecznik PiS Rafał Bochenek (jedynek w Chrzanowie), Anna Pieczarka (otwiera listę w Tarnowie) oraz minister infrastruktury Andrzej Adamczyk (dwójka w Krakowie).

Swoich ludzi nie dał skrzywdzić szef sztabu wyborczego Joachim Brudziński – na jedynkach znaleźli się, jak w 2019 r. Czesław Hoc (Koszalin) i Marek Gróbarczyk (Szczecin). Dwójką w Koszalinie jest wiceminister spraw wewnętrznych Paweł Szefernak.

Do Sejmu kandydują też trzej współpracownicy Andrzeja Dudy. Pewniakiem jest szef gabinetu prezydenta (i zarazem zaufany współpracownik Szydło) Paweł Szrot, który został jedynką w Bydgoszczy. Nie wiadomo natomiast, jak w rywalizacji z miejscowymi posłami wypadną szef Biura Polityki Międzynarodowej Marcin Przydacz (czwórka w Sieradzu) oraz doradca prezydenta Paweł Sałek (czwórka w Piotrkowie Trybunalskim).

Łupy dla udziałowców

Spośród koalicjantów PiS najwięcej kandydatów – co nie zaskakuje – ma największa Suwerenna Polska. Ziobryści wystawiają 27 osób (24 mężczyzn i trzy kobiety). Miejsca na listach dostali wszyscy obecni posłowie z wyjątkiem Aleksandry Łapiak. Jedynkę ma tylko Ziobro, ale Michał Wójcik dostał się na dwójkę w Katowicach, Janusz Kowalski na czwórkę w Opolu, a Sebastian Kaleta to szóstka w Warszawie. Z puli ziobrystów startują Dariusz Matecki (szóstka w Szczecinie), który za sprawą radykalnych poglądów i metod działania ma wrogów nawet w PiS, oraz organizator Marszu Niepodległości, narodowiec Robert Bąkiewicz (18. miejsce w Radomiu). Bąkiewicz na jednym z wieców mówił: „Dzisiejsze elity ani słowem nie mrukną, kiedy Żydzi chcą ograżyć naszą ojczyznę”, ale antysemicka retoryka nie była dla PiS przeszkodą, żeby ozdobić Bąkiewiczem swoją listę.

Kandydatami Suwerennej Polski są też wiceministrowie sprawiedliwości Marcin Romanowski (siódemka w Chełmie) i Piotr Cieplucha (szóstka w Łodzi), a także dyrektor Lasów Państwowych Józef Kubica (dziesiątka w Gliwicach).

Wielu ziobrystów ma dość odległe miejsca, ale doświadczenie uczy, że ze wsparciem Ziobry część z nich ma szansę na mandat; wygląda więc na to, że minister sprawiedliwości zachowa w Sejmie kilkunastoosobową reprezentację.

Suwerenna Polska ma Mateckiego i Bąkiewicza, a Partia Republikańska Adama Bielana – Łukasza Mejzę (jedenaste miejsce w Zielonej Górze). Mejza to były wiceminister sportu, który został zmuszony do dymisji, gdy okazało się, że miał firmę, która obiecywała ciężko chorym niesprawdzone medyczne terapie.

Mejza ma niewielkie szanse na mandat. Republikanie dostali zresztą znacznie mniejszy kawałek tortu niż ziobryści, ale kilku

posłów zapewne wprowadzą. Minister sportu Kamil Bortniczuk otwiera listę w Płocku, Włodzimierz Tomaszewski to czwórka w Łodzi, Arkadiusz Czartoryski wyładował na piątce w Siedlcach, a Michał Cieślak – na ósemce w Kielcach.

Także pozostali udziałowcy Zjednoczonej Prawicy coś dostali – Paweł Kukiz jest jedynką w Opolu (PiS liczy, że przyniesie głosy innego niż pisowski elektoratu), a jego dwaj posłowie startują z list PiS w swych dotychczasowych okręgach. W Warszawie kandyduje zaś były poseł Marek Jakubiak. PiS przygarnął też trójkę posłów z koła Polskie Sprawy – Zbigniew Girzyński dostał nawet trójkę w Toruniu.

Partia większa, miejsc mniej

Kandydaci PiS są tacy, jaki jest PiS po ośmiu latach u władzy. Nie ma żadnego odświeżenia i odmłodzenia partii. Niewielu jest młodych kandydatów z szansami na mandat, a jak są – jak 28-letni szef biura prezydielnego PiS Michał Moskal (dwójka w Lublinie), to zawdzięczają to raczej możliwym patronom niż swoim dokonaniom.

Przykłady Mejzy – ale także Norberta Kaczmarczyka czy Michała Cieślaka – pokazują, że nawet w pełni zasłużone dymisje z funkcji ministra czy wiceministra nie blokują wstępu na listy. Kaczyński najwyraźniej postanowił, że spłaci swoje długi z tej kadencji, gdy posłowie ci karnie wspierali rząd w głosowaniach.

Gdy spojrzysz się na te listy bliżej, widać, że stoi za nimi logika wzmocnienia ich tam, gdzie PiS i tak jest już mocny, a odpuszczania tam, gdzie nie może raczej liczyć na dobry wynik. To przykłady Poznania i Warszawy. W stolicy Wielkopolski – gdzie PiS liczy na trzy mandaty – trójce liderów (minister ds. europejskich Szymon Szykowski vel Śek, poseł Bartłomiej Wróblewski i była wicepremier Jadwiga Emilewicz) nikt z dalszych miejsc nie zagrozi.

Także w Warszawie lista PiS jest bardzo osłabiona. Nie ma Kaczyńskiego, nie ma Kamińskiego, a za jedynką Glińskim mamy wielu słabo rozpoznawalnych kandydatów.

Typowe listy PiS wyglądają jednak całkiem inaczej. W partii mówi się o nich „listy śmierci”, bo kandydatów z realnymi szansami na mandat jest znacznie więcej niż miejsc biorących. Na takiej liście obok obecnych posłów PiS są wojewodowie i ich zastępcy, samorządowcy, urzędnicy, reprezentanci koalicjantów, byli posłowie czy senatorowie. Kandyduje też jeden europoseł (Zbigniew Kuźmiuk w Radomiu). Jak się komuś nie uda, to pewnie wystartuje za parę miesięcy w wyborach samorządowych.

Taki układ – z aktualnymi posłami PiS w wielu okręgach zepchniętymi nieco niżej – ma wymusić ostrą wewnętrzną rywalizację. Kandydaci są poza tym dobierani tak, by reprezentowali różne powiaty i trafiali w ten sposób do różnych grup wyborców. Pozwala na to rewolucja, jaką PiS przeszedł w ostatnich latach – z partii kadrowej liczącej kilka tysięcy osób stał się potężną strukturą liczącą ponad 40 tys. członków. Może więc na większą skalę robić to, z czego przez lata słynął PSL, czyli tworzyć listy w taki sposób, by poza liderem wiele głosów przyniosili kandydaci z dalszych miejsc.

Kampania PiS toczy się zarówno na poziomie centralnym, gdzie rządzą wielkie opowieści o zdrajcy Tusku i złych Niemcach, jak i w terenie, gdzie uzbrowieni w tekturowe czeki od rządu kandydaci PiS chwalać się inwestycjami w gminach i powiatach. Przy słabnym PSL i dość dalekiej od tych spraw Koalicji Obywatelskiej, przy łatwiejszym dostępie do lokalnych mediów (oddziały TVP i Polskiego Radia, gazety Polska Press) przewaga Kaczyńskiego rysuje się dość wyraźnie. Partie opozycyjne muszą nadrabiać wyjątkową aktywnością w „terenie”, także w mediach społecznościowych, oraz zręczną kampanią centralną.

ANNA DĄBROWSKA, WOJCIECH SZACKI

Joker

Protoplasta ministra Czarnka, władca opozycyjnego internetu, wyborczy pistolet Tuska. **Roman Giertych** to jedna z najbardziej kontrowersyjnych postaci naszego życia publicznego. Właśnie wraca do gry.

RAFAŁ KALUKIN

O powrocie Romana Giertycha do czynnej polityki mówiło się właściwie od chwili, kiedy z niej wypadł. Sam zresztą nie raz dawał do zrozumienia, że jego kariera adwokacka to w jakiejś mierze aktywność zastępcza na czas politycznej posuchy. Tyle że posucha trwała już ponad półtorej dekady i Giertych coraz bardziej się niecierpliwił. Nie interesowało go wieczne statystowanie, chciał wreszcie dostać jakiś konkretny polityczny przydział. Długo nie było chętnych na zagospodarowanie kontrowersyjnego mecenasa z trudną biografią. Zgłosił więc gotowość samodzielnego startu do Senatu w „biorącym” okręgu pod Poznaniem, co miało wyrzucić presję na ugrupowania opozycyjne, żeby dopuściły go do paktu senackiego. Sprawa wciąż nie była prosta, gdyż Lewica zwalczała kandydaturę Giertycha wręcz doktrynalnie, a nie budził też wielkiego entuzjazmu w szeregach KO.

Ostatecznie wszystko jednak zależało od Donalda Tuska. Szef Platformy oficjalnie zachowywał w sprawie Giertycha powściągliwość, chociaż nie było tajemnicą, że po cichu sprzyjał staraniom mecenasa. Chodziło tylko o znalezienie optymalnej formuły jego startu oraz wstrzelenie się we właściwy moment ze zgłoszeniem kandydatury. Tyle że Giertych jak na petenta był mało elastyczny, czym niespecjalnie Tuszkowi pomagał. Nie chciał słyszeć o kandydowaniu w którymś z trudniejszych okręgów senackich, wołał sam stawiać warunki. I coraz mocniej rozpychał się za kulisami, posiłkując się imponującymi zasięgami w sieciach społecznościowych.

Aż w końcu przesadził, podsycając spór kampusowej ekipy Rafała Trzaskowskiego ze społecznością fanów Tuska spod szyldu #SilniRazem o panel symetrystów. Co Tusk miał potraktować jako próbę ingerowania w podległe mu poletko i chwilę później okazało się, że Giertych jednak się nie załapał do senackiego paktu. W tej sytuacji nie pozostało mu nic innego, jak wycofać się również z deklaracji samodzielnego startu. Wydawało się, że temat „Giertych” został już na dobre zamknięty.

Tusk nie byłby jednak sobą, gdyby nie zaskoczył kolejnym zwrotem akcji. Zawsze najbardziej lubił wyciągać z kapelusza akurat te króliki, których opinia publiczna najmniej się spodziewa. I tak było też tym razem. Podczas kampanijnego wiecu w Sopocie w ostatnią sierpniową niedzielę szef PO ni stąd, ►

© MICHAŁ WOZNIAK/EAST NEWS

► ni zowad ogłosił, że niby już skreślony Giertych jednak wystartuje. Tyle że do Sejmu, z ostatniego miejsca świętokrzyskiej listy KO. I to specjalnie teraz namaszczony na osobistego rywala Jarosława Kaczyńskiego, który chwilę wcześniej przesiadł się na tamtejszą listę PiS. „Podobno ma dla ciebie dużo ciekawych informacji i jest gotów przeprowadzić arcyciekawą kampanię. Będziesz miał debatę z Romanem Giertychem w Górach Świętokrzyskich” – bezpośrednio zwrócił się Tusk do przywódcy rządzącej partii.

Decyzję o reaktywacji Giertycha podjął samodzielnie, z nikim jej wcześniej nie konsultując. Być może Tuska faktycznie natchnęła przewodniczka Kaczyńskiego do okręgu świętokrzyskiego, chociaż równie dobrze mógł to być tylko pretekst. Bo z punktu widzenia wyborczej pragmatyki chyba już lepiej byłoby przesunąć do rolniczego regionu Michała Kołodziejczaka. Tym bardziej że – co pokazały wewnętrzne badania zamówione przez Platformę – szef AgroUnii jest dla wyborców KO dużo strawniejszy niż Giertych. Mecenas widział na listach jedynie twardy platformerski elektorat, którego jednak nie trzeba już bardziej mobilizować. Ale już w grupach bardziej umiarkowanych, szczególnie wśród kobiet, trudno mówić o akceptacji.

Tyle że Tusk zawsze miał raczej swobodne podejście do badań i teraz też zawierzył własnej intuicji. Giertych po prostu mu pasował jako figura w wojnie psychologicznej z Kaczyńskim. Zarazem wystawienie mecenasu zwiększa możliwości manewrowe samego Tuska. Do tej pory osobiście zarządzał skrajnym biegunem w spolaryzowanej kampanii, co wiązało mu ręce na innych frontach. Teraz to głównie Giertych będzie wchodził w zwarcia z Kaczyńskim, żeby lider całego obozu mógł prowadzić bardziej zbalansowaną kampanię. Co już widać po pierwszych filmikach i twitterowych wpisach mecenasu po ogłoszeniu nominacji. Opatrzony zjadliwym „Jarku” mają na celu testować psychiczną odporność prezesa PiS, stale prowokować go do wejścia w pyskówkę.

Obaj z Tuskiem znają się od dwóch dekad. Kiedyś byli zajadłymi politycznymi wrogami, ale po odejściu Giertycha z polityki zaczęli się do siebie zbliżać. W towarzyską orbitę PO wciągnął go Radek Sikorski, a później Tusk wynajął stawiającego pierwsze kroki w zawodzie mecenasu do reprezentowania syna Michała w sprawie o zniesławienie. W kolejnych latach Giertych jeszcze wiele razy będzie wspierał byłego premiera i jego bliskich w sądowych bataliach. I być może zbudowana

na takim gruncie osobista relacja też miała wpływ na decyzję o politycznej reaktywacji Giertycha.

Co swojskie dla szefa, niekoniecznie już jednak dla jego formacji. Kiedy Tusk zaczynał swoje wystąpienie pod so-pockim molem, z głównej areny Campusu Polska Przyszłości w Olsztynie właśnie schodzili gorąco fetowani przez młodą publiczność Włodzimierz Czarzasty i Robert Biedroń. Kupili salę umiejętnym podkreśleniem różnic pomiędzy otwarciem progresywną Lewicą i częściej lawirującą w tematach równościowych Platformą. Gospodarz imprezy Rafał Trzaskowski nie był tym specjalnie zachwycony, a kiedy nadeszły jeszcze wieści o Giertychu, twarz prezydenta Warszawy wręcz stężała. Nie dało się opowieści liderów Lewicy zilustrować lepszym przykładem. Jesz-



cze bardziej przeżyła to blisko związana z Trzaskowskim Barbara Nowacka, która specjalnie na sopocki wiec wyrwała się na jeden dzień z Campusu. Usłyszała tam, że chociaż Tuskuwi bliżej do jej poglądów, to kampanijne konieczności zmuszają go do postawienia na Giertycha. Wróciła do Olsztyna wyraźnie roztrzęsiona, przez chwilę mówiło się nawet o jej rezygnacji z kandydowania.

Podobny nastrój ogarnął też młodych uczestników Campusu. W końcu to oni przed rokiem wymusili na Tusku deklarację dopuszczenia na listy KO wyłącznie kandydatów popierających prawo do aborcji na życzenie do 12 tygodnia. Jak pogodzić z tym start Giertycha, który do tej pory opowiadał się za restrykcyjnym zakazem? Ostrzono więc sobie zęby na zapowiedziany przyjazd Tuska w ostatnim dniu Campusu. Szef Platformy nie zamierzał jednak biernie czekać na trudną dla niego konfrontację. Kazał swoim ludziom wystosować do Giertycha oficjalne ultimatum, żeby opowiedział się w sprawie aborcji. Ten odpowiedział na godzinę przed przyjazdem Tuska na Campus. Konserwatywnej cnoty przy tym nie tracąc, gdyż

opowiedział się za zrujnowanym przez trybunał Przyłębskiej kompromisem. Ale politycznego rubelka mimo wszystko zarabiając, bo ostatecznie Tuska musiała zadowolić deklaracja Giertycha, iż będzie „lojalnym i przestrzegającym dyscypliny członkiem klubu”. Młodych w Olsztynie może nie aż tak, niemniej trochę napięcia zeszło, a resztę rozbroił ze sceny sam Tusk. Przyznawał, że kandydatura Giertycha też go uwiera, ale ktoś musi brać na siebie „ciemniejszą stronę polityki”, bo ostatecznie liczy się skuteczność. „Odczuwa część z was dyskomfort? Ja też. Ale jeszcze większy odczuwa Jarosław Kaczyński, więc rachunek jest prosty” – mówił Tusk. Już następnego dnia zarząd Platformy „klepnął” kandydaturę Giertycha bez głosu sprzeciwu.

To nie pierwszy w dziejach Platformy transfer z prawicy, chociaż pod wieloma względami szczególny. 52-letni obecnie Roman Giertych wkraczał do świata polskiej polityki od nietypowej dla Tuska i Kaczyńskiego strony, gdyż spoza solidarnościowego świata, jako epigon przedwojennej tradycji endeckiej. Jego dziadek Jędrzej Giertych za młodu blisko współpracował z Romanem Dmowskim i do końca życia pozostał wierny jego przekonaniom o konieczności sojuszu z Rosją, choćby sowiecką. W hurtowo publikowanych emigracyjnych broszurach reprodukował też antysemitki i antymasońskie obsesje swojego dawnego patrona. I takie też poglądy głosił młody Roman, czego świadectwem jest jego książka manifest „Kontrewolucja młodych” z 1993 r.

Stał wtedy na czele Młodzieży Wszepolskiej, którą reaktywował za namową dziadka krótko po przełomie '89. W wielkiej polityce zameldował się w 2001 r., wchodząc do Sejmu z listy Ligi Polskich Rodzin. Początkowo była to sklepiona i wypromowana przez ks. Rydzyską zbieranina prawicowo-katolickich radykałów, pomyślana jako polityczne ramię Radia Maryja. Z takimi postaciami jak Antoni Macierewicz, Zygmunt Wrzodak, Jan Łopuszański, Gabriel Janowski, którzy sami ze sobą ścigali się na skali prawicowego obskurantyzmu. Głównym postulatem LPR było zablokowanie wejścia Polski do UE.

Trzydziestolatek Giertych początkowo wyróżniał się na tym tle jedynie wzrostem, ale szybko okazało się, że jest też politycznie najzręczniejszy. A że umie grać twardo i nie ma skrupułów, pokazał jako śledczy w komisji orlenowskiej w końcówce rządów SLD. Mając zagwarantowaną bezkarność, mnożył absurdalne hipotezy na temat badanej afery, gardząc zdrowym

rozsądkiem i poczuciem przyzwoitości. Ale jego głównym atutem było zdyscyplinowane środowisko rodem z Młodzieży Wszechpolskiej, przy pomocy którego krok po kroku odbierał Rydzikowi kontrolę nad LPR. Po wyborach 2005 r. to już była jego partia, tyle że poparciem toruńskiej rozgłośni powoli zaczynało się już cieszyć PiS. W niedalekiej przyszłości skończy się to dla Giertycha fatalnie.

Tymczasem jednak kuł żelazo, póki było gorące. Najpierw wsparł mniejszościowy rząd PiS, aby w połowie 2006 r. stać się już pełnoprawnym koalicjantem. To wtedy został wicepremierem i ministrem edukacji, który na wiele lat przed Czarnkiem użył szkoły jako narzędzia krucjaty ideologicznej. Po latach pamięta mu się głównie mundurki oraz usuniętego z listy lektur Gombrowicza, chociaż rejestr jego „osiągnięć” jest znacznie dłuższy. Ze szczególną zapiekłością zwalczał „promocję homoseksualizmu”, co niekiedy wyglądało na osobistą obsesję. Słowa urzędującego ministra edukacji o „wstrętnych pederastach” rozniosły się zresztą po całej Europie, budząc powszechną zgrozę. Drugim jego żelaznym tematem była aborcja, której Giertych chciał zakazywać nawet zgwałconym i noszącym zdeformowane płody kobietom. Jako polityczna figura szybko stał się tak bardzo odpychający, że zmobilizował przeciwko sobie masowe protesty uczniowskie.

Wtedy jednak najbardziej z pewnością zabolęła Giertycha przegrana rozgrywka z Jarosławem Kaczyńskim. Stojąc na czele radykalniejszej od PiS prawicy, od początku był dla prezesa celem, chociaż nie od razu się zorientował. Kaczyński bezpośrednio zresztą uderzył w drugiego z koalicjantów – Andrzeja Leppera, co wykołowało całą koalicję i doprowadziło do przyspieszonych wyborów. A w nich na dobre już pozbawiona „moherowego” wsparcia Liga Polskich Rodzin poszła na dno. Na odchodne Giertych zdążył jeszcze pomścić krzywdę widowiskowym zaoraniem Jacka Kurskiego i kilku innych posłów PiS w swoim ostatnim jak dotąd sejmowym wystąpieniu (które wciąż jest na YouTube i budzi wesołość, jak niezły kabaret), ale już za chwilę zmuszony był szukać nowego pomysłu na siebie.

Przez kolejnych kilkanaście lat pracowicie zacierał ślady po prawicowym obłędzie tamtych lat. Ze skutkiem umiarkowanym, co pokazuje, jak silne emocje potrafił rozbudzić. Najszybciej zrewidował stosunek do UE, a następnie wykonał spektakularny gest odcięcia się od antysemitkiej tradycji rodzinnej, kiedy

jako wicepremier pochylał głowę w miejscu spalonej stodoły w Jedwabnem. Ale już w takich tematach jak aborcja bądź prawa LGBT pozostawał twardym konserwatystą, chociaż na ogół przestrzegał poprawności językowej. Niemniej parę razy zdarzało mu się strofować Tuska, że pozwala Platformie znosić się na lewo. Sam dopiero w ostatnich miesiącach zaczął się odklejać od prawej ściany, najwyraźniej pod kątem legalizacji w szerokim opozycyjnym froncie. Nie wszyscy jednak uwierzyli w kreowanie się na dyskretnego przyjaciela tęczywych społeczności, podobnie zresztą jak w niedawną deklarację lojalności w sprawie aborcji.

Trudno bowiem Giertychowi pozbyć się łatki skrajnego cynika, jakkolwiek jednego z najinteligentniejszych w świecie polskiej polityki. Jego zaangażowanie w obronę praworządności państwa po 2015 r. jest niewątpliwe, ale już motywacje bywa-

**Zaangażowanie
Giertycha w obronę
demokracji po 2015 r.
jest niewątpliwe, ale już
motywacje niejasne.
Nawrócił się, czy chce się
odegrać na Kaczyńskim?**

ją przedmiotem dyskusji. Nawrócił się na tę demokrację czy tylko chce się odegrać na Kaczyńskim? A może jego dawna endeckość to też tylko odziedziczony po przodkach kostium, a tak naprawdę celem Giertycha od początku była władza? Takie pytania od wielu lat towarzyszą karierze mecenasa.

Bo też można odnieść czasem wrażenie, że w tej postaci mieszczą się dwie zupełnie różne osoby. Szeroka opozycyjna opinia ogląda przede wszystkim doktora Jekylla, który nie marnuje okazji, żeby uprzykrzyć życie pisowskiej władzy. Pierwszy się zgłasza, kiedy trzeba zapewnić opiekę prawną poszkodowanym przez reżim. Robi użytek z pozyskanej dzięki temu wiedzy, nagłaśniając kolejne przekręty PiS – ze słynną sprawą „dwóch wiez” na czele. W mediach wytrwale punktuje każde potknięcie rządzących, pracując na coraz szersze zasięgi. I sam też jest ofiarą pisowskiego państwa, które zaatakowało go Pegasusem. To nie Tusk stworzył zatem Giertycha jako osobistego wroga Kaczyńskiego. Mecenas sam na to zapracował.

Ale gdzieś w ciemności chowa się również ponury pan Hyde. Czyli metody Gier-

tycha, który w walce politycznej w sposób wyrachowany posługuje się insynuacją, plotką, przesadą. Jako prawnik wie zresztą doskonale, w którym miejscu się zatrzymać, żeby nie ponieść konsekwencji. Szczerym demokratom raczej też nie przypadłby do gustu krąg nadal stojących za Giertychem jego dawnych wychowanków z Młodzieży Wszechpolskiej, z takimi postaciami jak znany przed laty Wojciech Wierzejski. Niby już tylko towarzyski, niemniej wciąż lojalny wobec dawnego lidera i przede wszystkim czujący politykę. O ile jednak da się jeszcze uwierzyć w demokratyczną konwersję samego tylko mecenasa, to czy można poważnie rozważać nawrócenie całego środowiska?

Niezdrowe emocje budzi również utkana przez Giertycha sieciowa społeczność, z jednej strony obsługująca twarde antypisowski przekaz i gorąco kibicująca Tusko wi, z drugiej ochoczo angażująca się w krucjaty przeciwko pozostałym opozycyjnym formacjom (szczególnie Lewicy) i sięgająca w tym celu po teorie spiskowe. A to nie pomaga budować zaufania po stronie demokratycznej. Skądinąd najważniejszym człowiekiem Giertycha w sieci jest od wielu lat Jan Piński, kiedyś dziennikarz związany ze środowiskami skrajnej niepisowskiej prawicy, od jakiegoś czasu komunikujący się głównie ze zwolennikami demokratycznej opozycji, chociaż wciąż radykalny w środkach wyrazu.

Pozostaje wreszcie kwestia zarzutów, które postawiła Giertychowi prokuratura. I nie chodzi o błahostkę, tylko wyprowadzenie kilkudziesięciu milionów złotych z wielkiej spółki deweloperskiej. Opozycyjna opinia zazwyczaj dopatruje się w tym politycznej zemsty, domyślnie zakładając niewinność Giertycha. Grożące mecenasowi konsekwencje na razie są jednak realne, co też uczyniło go swego rodzaju politycznym uchodźcą. Od ponad dwóch lat mieszka bowiem we Włoszech, w obawie przed zatrzymaniem, unikając wizyt w kraju. Ale może teraz podejmie ryzyko? Zdalną kampanią poprzez kanały społecznościowe trudno będzie podtrzymać efekt „wow”. Do pewnego stopnia może też chronić Giertycha już sam fakt kandydowania, bezpośredniej rywalizacji z Kaczyńskim. W tej sytuacji aresztowanie go, a nawet widowiskowe zatrzymanie w celu przesłuchania, byłoby dla PiS politycznie ryzykowne. To zresztą w ostatnich dniach najgorętszy przedmiot dociekań i spekulacji. I jak to najczęściej bywa w przypadku Giertycha, pozostają one nierozstrzygnięte.

RAFAŁ KALUKIN

Sensacje z Piotrkowa

AGNIESZKA SOWA

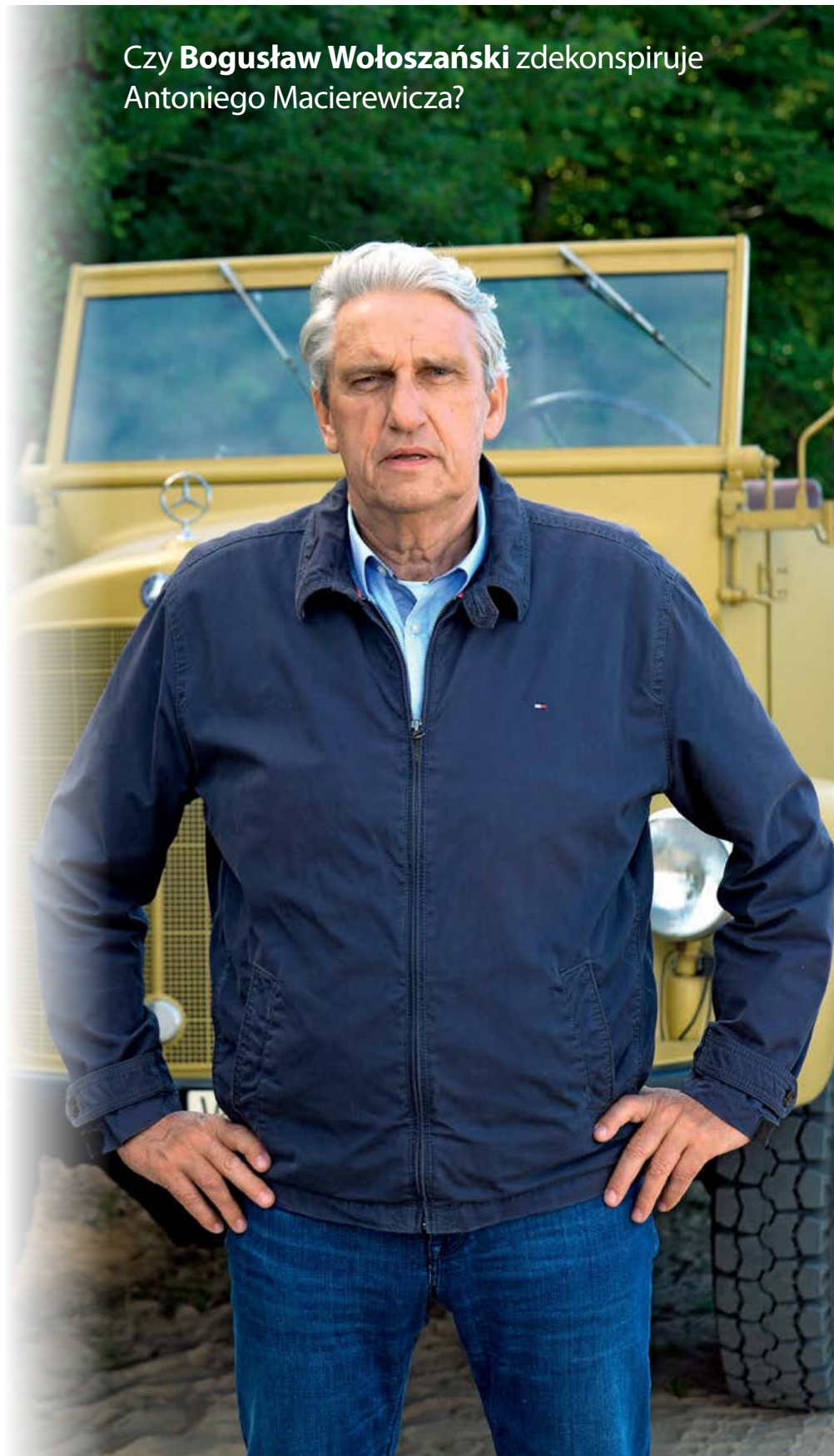
Czy **Bogusław Wołoszański** zdekonspiruje Antoniego Macierewicza?

Kiedy Donald Tusk ogłosił, że znany dziennikarz, popularyzator historii, autor wielu książek historycznych i kultowego programu „Sensacje XX wieku”, poprowadzi listę Koalicji Obywatelskiej w regionie piotrkowskim, w PiS zawrzało. Jedyneką PiS w Piotrkowie ma być Antoni Macierewicz, który kampanię chciał oprzeć na swojej teorii zamachu smoleńskiego. Wołoszański będzie w stanie pomieścić mu szyki.

W PiS pojawiły się nawet głosy, by Macierewicza przesunąć do Senatu. A potem ruszył atak na Wołoszańskiego. Rządowa telewizja zdjęła z ramówki TVP Historia powtórkę jego programów, uzasadniając to startem autora w wyborach: „dodatkowa promocja jego osoby byłaby nieuczciwa w stosunku do innych kandydatów”. Prezes Instytutu Pamięci Narodowej Karol Nawrocki przypomniał (bo fakt znany jest od 2007 r.), że Wołoszański współpracował z wywiadem w okresie PRL. Wieczorne „Wiadomości” TVP w materiale o Wołoszańskim nawet nie wspomniały, że przez lata emitowały jego programy. Na pasku pojawiło się słowo „kapuś”, a reporter poinformował, że Wołoszański w maju 1988 r. doniósł bezpiece, że mający go zastąpić na stanowisku korespondenta w Londynie kolega jest homoseksualistą. Tygodnik „Gazeta Polska” opublikował okładkowy artykuł „Jak Wołoszański ujawniał SB homoseksualistów”. A tygodnik „Sieci” artykuł „Kiepski agent z telewizji” Piotra Gontarczyka z IPN, tego samego, który w 2007 r. w „Rzeczpospolitej” ujawnił fakt współpracy Wołoszańskiego ze służbami specjalnymi PRL.

Inny kaliber

28 lat temu Bogusław Wołoszański przyznał się do współpracy z wywiadem PRL. Zastrzegł jednak, że zajmował się jedynie tzw. białym wywiadem i na nikogo nie doniósł. Nie brał też pieniędzy za współpracę. Czasem otrzymywał jedynie zwrot niektórych kosztów. Tłumaczył, że traktował to jako „okazję do poznania tajników pracy służb specjalnych”. Chciał zobaczyć, jak to wygląda od środka. I nie



ukrywał, że przede wszystkim chodziło o jego karierę zawodową.

– W 1983 r. dostałem nieoczekiwaną propozycję od prezesa Radiokomitetu Mirosława Wojciechowskiego – mówi dziś POLITYCE Bogusław Wołoszański. – Szukał ludzi, którzy, jak mówił, będą ciężko pracować, a nie tylko przebywać za granicą. Najpierw pojechałem na trzy-miesięczny staż i widocznie dowiodłem swojej wartości, bo następnie przysłała propozycja wyjazdu już jako korespondent. Uznałem, że to moja ogromna szansa zawodowa, to mi dawało możliwość dotarcia do fenomenalnych materiałów, poznania miejsc, w których powstawała historia, spotkań z ludźmi, którzy tę historię tworzyli. Nie mogłem z tego zrezygnować, a warunkiem było, niestety, podpisanie zgody na współpracę, czego bardzo żałuję i za co bardzo moich widzów przepraszam, ale wtedy nie było innej możliwości. To była cena robienia programów, które od 40 lat są powtarzane i które wciąż są lubiane.

Wołoszański dodaje, że wywiad nie był zadowolony z wyników jego pracy. Po zakończeniu pobytu w Londynie dziennikarz odmówił dalszej współpracy. Podczas ostatniej rozmowy z oficerem prowadzącym usłyszał jeszcze zawołaną groźbę. Esbek powiedział mu, że przekazuje jego teczkę do archiwum, „a ty wiesz najlepiej, że archiwa przeciekają”.

Dziś jednak prawicowi publicyści wysuwają oskarżenia zupełnie innego kalibru – o donosicielstwo, w dodatku na kolegów. Co jeszcze gorsze, o ujawnianie peerelowskim służbom homoseksualistów. Temu Wołoszański stanowczo zaprzecza.

– Widziałem moją teczkę w IPN i takich notatek oficera prowadzącego na mój temat tam nie było – twierdzi dziennikarz. – A to znaczy, że uzupełnili dowody. Nie jest trudno sfalszować takie dokumenty. Dla fachowca to godzina roboty.

Widać, że PiS obawia się Wołoszańskiego, i chyba słusznie. W okręgu piotrowskim Koalicja Obywatelska zdobywała do tej pory tylko jeden mandat. Sondaże zrobione już po tym, jak Donald Tusk zaprezentował kandydaturę Wołoszańskiego, pokazują dla KO co najmniej dwa. – To oznacza, że otworzyłem furtkę do drugiego mandatu – mówi Wołoszański. – Trudno się dziwić, że nasi przeciwnicy polityczni się zdenerwowali. Sądzę, że kiedy zorientowali się, że sama informacja o tym, że podpisałem zobowiązanie do współpracy, nie działa, musieli wymyślić coś mocniejszego. A co może być mocniejszego niż donosicielstwo?

Startujący do Sejmu z tej samej listy co Wołoszański kandydaci Koalicji Obywatelskiej w okręgu 10. są dobrej myśli. Joanna Kulig z Nowoczesnej, radna ze Skierniewic, jest na miejscu 6. – Zbieram teraz podpisy i ludzie pytają się o niego, komentują przychylnie – mówi. – Jest bardzo dobrze rozpoznawalny i budzi sympatię. Ludzie pamiętają, że jest stąd, z Piotrkowa. Wielu oglądało jego programy. Nie interesuje ich, co być może podpisał prawie 40 lat temu.

Czarna kurtka

„Sensacje XX wieku” były hitem nie tylko w PRL. Gdy w 1999 r. czytelnicy POLITYKI wybierali najlepszy program polskiej telewizji, wygrały właśnie „Sensacje”. Powtórki odcinków transmitowane „do wczoraj” na TVP Historia też miały bardzo dużą oglądalność. W latach 90. widownię programu stanowili zarówno ludzie starsi, którzy przeżyli historię pokazywaną przez Wołoszańskiego, jak i młodzież. Także nastoletni chłopcy zafascynowani wojenną techniką, której w „Sensacjach” było zawsze dużo. To oni przychodzili tłumnie na spotkania autorskie z dziennikarzem. Mają dziś 45–55 lat i świetnie kojarzą Wołoszańskiego. Ale na pewno najwięcej fanów ma wśród tzw. seniorów.

– Dzięki panu Bogusławowi Wołoszańskiemu będziemy w stanie dotrzeć do szerszego elektoratu, do najstarszych wyborców – mówi Adrian Witczak, radny miejski z Tomaszowa Mazowieckiego, lider powiatowej Platformy Obywatelskiej i miejsce nr 3 na liście Koalicji Obywatelskiej. Od 12 lat pracuje z seniorami na Tomaszowskim Uniwersytecie Trzeciego Wieku i wie, że to nieprawda, że starsi ludzie głosują tylko na PiS i Macierewicza. Ale trzeba im zaproponować odpowiedniego kandydata, który będzie dla nich autorytetem.

Adrian Witczak jest nauczycielem w prywatnej szkole średniej. Jego starsi uczniowie, maturzyści i absolwenci zaangażowali się w pracę z seniorami na Uniwersytecie Trzeciego Wieku i w Instytucie Nauki i Nowoczesnej Edukacji, fundacji, której Witczak jest prezesem. Prowadzą m.in. zajęcia z obsługi smartfonów i tabletów. Teraz chcą pomagać w kampanii i Adrian ma pomysł, żeby to seniorzy opowiedzieli im o Bogusławie Wołoszańskim. Chociaż być może niektórzy młodzi świetnie Wołoszańskiego znają. Witczak, który ma 32 lata, kiedyś oglądał z dziadkiem „Sensacje”.

Obecnie odcinki „Sensacji” na YouTube mają po kilkaset tysięcy wyświetleń,

w komentarzach wielu internautów pisze, że pamięta program z dzieciństwa i namawia dziennikarza, by robił następny: „Sensacje XXI wieku”. I tak się stało. Od trzech miesięcy Bogusław Wołoszański na kanale „Super Expressu” na YouTube prowadzi nowy, autorski program „Wojna według Wołoszańskiego”. Wyświetleń powyżej 700 tys. Komentarze bardziej niż entuzjastyczne. Do tej pory ukazały się trzy odcinki. A zaczęło się od wywiadu na żywo na kanale „Super Expressu” „Putin buduje nowe imperium”, który obejrzało 1 mln 300 tys. widzów. W kolejnym wywiadzie, również dotyczącym wojny w Ukrainie i Putina, Bogusław Wołoszański zapowiedział już swój autorski program. Pierwszy odcinek był o podobieństwie Putina i Hitlera.

– TVP zdjęła teraz powtórki moich programów z powodów politycznych, to jasne – mówi Bogusław Wołoszański. – Ale szczerze mówiąc, czasem trudno mi było na nie patrzeć. Nie tylko dlatego, że 30 lat temu wyglądałem dużo lepiej. Przez ten czas telewizja i produkcja telewizyjna się zmieniły, teraz bym te programy zrobił zupełnie inaczej.

Dziś nie nosi już skórzanej czarnej kurtki, charakterystycznego znaku rozpoznawczego dawnego Wołoszańskiego. Może uważa, że starszemu siwemu panu już nie przystoi? – Ta kurtka to był taki mój protest przeciwko obowiązującemu stylowi, jakiemu musiał się podporządkować prowadzący program – mówi. – Każdy zaczynał się w ten sam sposób. Wychodził facet w garniturze i mówił: „Dzień dobry państwu! W dzisiejszym programie będziemy mówić o...”. A przecież w telewizji się nie mówi, tylko pokazuje.

Swoj kandydat

Na pytanie, kto wymyślił Wołoszańskiego na jedynekę w Piotrkowie, wszyscy w PO odpowiadają zgodnie: Donald Tusk. Czy pomysł był trafiony, okaże się niedługo. – Kiedy na Radzie Krajowej PO Donald Tusk przedstawił nowych kandydatów, Bogusław Wołoszański dostał prawdziwą owację – mówi Cezary Grabarczyk, były minister sprawiedliwości, poseł KO i przewodniczący PO w regionie łódzkim. Jest z Piotrkowa i to on był naturalnym kandydatem na piotrkowską jedynekę. Został jednak (nieprawomocnie) skazany na rok więzienia w zawieszeniu na rok w procesie dotyczącym nielegalnego uzyskania pozwolenia na broń. Więc zrezygnował z kandydowania.

Grabarczyk uważa, że Wołoszański ma szansę na świetny wynik: – Jeżeli wykorzysta swoją rozpoznawalność ▶

► *i nawiąże kontakt z wyborcami. Ważne, że jest postrzegany jako swój, z Piotrkowa.*

Tu się urodził i chodził do szkoły. Późniejsze życie to już stolica. Nie studiował historii, tylko prawo, a potem podyplomowe dziennikarstwo. Od początku wiedział, że chce pracować w telewizji. Ćwiczył dykcję i intonację, nagrywał się na taśmę, odsłuchiwał, poprawiał i tak w kółko. Udało się. Zaczął od pisania do „Życia Warszawy”, ale już jako student w 1971 r. prowadził „Telewizyjny ekran młodych”, potem program „Starcie” z Ernestem Bryllem. Dwa lata póź-

Program okazał się hitem. Nawet krytycy Wołoszańskiego przyznawali, że potrafił pokazać wydarzenia historyczne jak pasjonujący reportaż czy kryminał. Spiski, gry wywiadów, krwawe zbrodnie. Emocje potęgował dramatycznym stylem prowadzenia. Mówił z pasją, chodził po studiu, gestykulował. „Człowiek o apokaliptycznym głosie, który samą dramaturgią narracji może wywołać konflikt wojenny” – napisał o Wołoszańskim w POLITYCE Kuba Wojewódzki. Ale to się sprzedawało. I zawsze miał jakiś rekwizyt. Hełm, ka-

publicystyki międzynarodowej. Cały czas robił swój program, wprowadził na antenę „7 dni świat” i wprowadził kilka pierwszych odcinków oraz raport. Po wyborach w 1989 r. nikt go nie zwolnił, jeździł często z ekipą „Sensacji” za granicę, najczęściej do Niemiec. Zrezygnował sam z dyrektorskiego stołka w 1992 r., kiedy wprowadzono zasadę, że szefowie nie mogą robić programów. Został wierny „Sensacjom”, które przeszły do Programu I. Robił też kolejny program „Archiwum XX wieku” i współtworzył cotygodniowy „To jest historia”. Kolejne zmiany w TVP nie zaszkodziły Wołoszańskiemu. W końcu lat 90. za namową ówczesnego dyrektora Programu I Sławomira Zielińskiego Wołoszański zrobił z „Sensacji” niemal godzinny teatr faktu, w którym grali popularni aktorzy, m.in. Jan Nowicki, Borys Szyc, Danuta Stenka, Jan Peszek. Program pokazywano w najlepszym czasie antenowym o godz. 20.

Zewnętrzny producent

Równoległe od 1990 r. wydawał książki, m.in. „Encyklopedię II wojny światowej”, ponad 20 pozycji. Od 1995 r. we własnym, rodzinnym wydawnictwie Magnum. Książka „Sensacje XX wieku. Druga wojna światowa” przekroczyła 100 tys. nakładu.

Odszedł z telewizji w 2005 r., choć ówczesny szef Jan Dworak starał się go zatrzymać, i serial telewizyjny „Tajemnica twierdzy szyfrów” powstawał już z Wołoszańskim jako zewnętrznym producentem. W trakcie produkcji Piotr Gontarczyk zlustrował Wołoszańskiego, ale mimo to pisowska telewizja Bronisława Wildsteina zdecydowała się na emisję serialu. Wildstein zażartował nawet, że Wołoszański „ma nawet większe kompetencje, niż sądziliśmy, żeby być scenarzystą filmu o agentach”. Zdjęli jednak jego blog.

Przez kilka lat Wołoszański głównie pisał książki i felietony dla „Focus Historia”, ale już po trzech latach TVP Historia zdecydowała się na nadawanie powtórek „Sensacji”, a w 2015 r. „Sensacje XX wieku” wróciły na antenę TVP 1 jako program produkowany przez Bogusława Wołoszańskiego we współpracy z Telewizją Polską i National Geographic. Odium nałożone na „agenta” nie trwało zbyt długo.

– *Odkłamanie spiskowych teorii Antoniego Macierewicza na temat zamachu smoleńskiego nie będzie głównym wątkiem mojej kampanii* – mówi dziś Bogusław Wołoszański. – *Jest tyle ważniejszych, rzeczywistych problemów, którymi trzeba się pilnie zająć.*

AGNIESZKA SOWA



To Donald Tusk wymyślił Wołoszańskiego na jedynekę w Piotrkowie.

niej dostał etat w telewizji w redakcji programów o krajach socjalistycznych. „Młody aktywista PZPR szybko podpisał się pod pion propagandy WP i rozpoczął cykl programów »demaskujących militarystyczną politykę« Stanów Zjednoczonych” – tak o Wołoszańskim pisał Piotr Gontarczyk w „Rzeczpospolitej”, w lustracyjnym artykule z 2007 r.

Zachodni sznyt

W stanie wojennym Bogusław Wołoszański, dla kolegów Bogdan, został zweryfikowany pozytywnie, więc pracował dalej. W 1983 r. zaczął robić swój program. Pierwszy odcinek „Sensacji XX wieku” ukazał się na antenie Programu II TVP we wrześniu, dokładnie 40 lat temu. Była to historia niemieckiej grupy terrorystycznej Baader Meinhof, działającej w latach 70. Kolejne odcinki opowiadały o generale de Gaulle’u i terrorystach z OAS oraz o wojnie w Korei.

rabin, pistolet, „Z takiego oto pistoletu zastrzelono...” – mówił i było prawie tak, jakby pokazał trupa.

Kiedy wyjechał w 1985 r. jako korespondent do Wielkiej Brytanii, nie porzucił „Sensacji”. Program nabrał rozmachu. – *Robiliśmy odcinki stamtąd i wysyłaliśmy do Polski, a ja przyjeżdżałem do kraju raz na trzy-cztery miesiące* – wspomina Bogusław Wołoszański. „Program zyskał zachodni sznyt. Mogliśmy pokazać gabinet Winstona Churchilla, kręciliśmy w Imperial War Museum, w muzeum RAF, w Portsmouth, w Dover. Mieliliśmy sceny we wnętrzu bombowca B17, było wiadać ustawienie karabinów, pozycje strzelca. To było dotykanie historii” – opowiada w „Press” Maciej Zakrocki, który pracował niemal od samego początku przy „Sensacjach”.

Po powrocie z Wielkiej Brytanii Wołoszański awansował: został wicedyrektorem Jedynki i szefem redakcji

NOWY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY



DWIE OKŁADKI DO WYBORU

WYDANIE KUPISZ TAKŻE Z KALENDARZYKIEM NA 2024 ROK



- Kalendarium od października 2023 do grudnia 2024 • Plan pielęgnacji na cały rok sylveco.pl •

Połącz nas na www.facebook.com/zwierciadlo.pl



Obserwuj nas na Instagramie: [@zwierciadlo_miesiecznik](https://www.instagram.com/zwierciadlo_miesiecznik)

Normalizacja kapitulacja

Część mediów i dziennikarzy od ośmiu lat kreuje wielkie oszustwo. Przed odbiorcami odmalowują nieistniejący świat zwykłej polityki, zakłamując antydemokratyczną istotę rządów Jarosława Kaczyńskiego.

PRZEMYSŁAW SZUBARTOWICZ

Zaaklimatyzujemy się / Zaaprowidujemy się / Postarzejemy się / Przyzwyczajmy się / Pogodzimy się...” – pisał Kazimierz Wierzyński w wierszu „Stabilizacja” o czasach towarzysza „Wiesława”. Nie mógł przypuszczać, że w czasach gomulkówskich przy okazji opisze także stan polskiego ducha przed wyborami parlamentarnymi 2023 r. Zamiast świadomości, że trzecia kadencja rządów rodzimych populistów domknie autokratyczny system, jest jak u tego wybitnego poety: „Mała stabilizacja / Wielka kapitulacja”. Polaków udało się bowiem przekonać, by przestali pamiętać, czym jest PiS, po co Kaczyński tak naprawdę przyszedł do władzy i jak skończą się jego rządy, jeśli dostanie kolejną szansę.

Gdyby kogoś zupełnie niezorientowanego nagle postawić w epicentrum polskiej debaty medialnej, zobaczyłby obraz kraju, w którym o zagrożeniu demokracji, zdewastowaniu wymiaru sprawiedliwości czy rozmontowaniu dawniej niezależnych instytucji historycznie pokrzykują jedynie grupki zblazowanych fanatyków i „totalna opozycja”. Ogół obywateli – wedle tej powszechnie obowiązującej iluzji – żyje zaś spokojnie pośród naturalnych kłótni, ścierających się poglądów, równoważnych punktów widzenia, pęczniającej wolności słowa. Tak wygląda kłamstwo założycielskie pisowskiego sukcesu, które – bezwiednie lub świadomie – stworzyły i podtrzymują tzw. wolne media czy liberalno-lewicowa inteligencja.

Wósmym roku rządów PiS znacząca część czwartej władzy, popularni kreatorzy opinii, symetryści oraz politycy wytrenowani w kunktatorstwie podtrzymują mit normalizacji, jakby bali się prawdy. Głoszą więc, że może i ten Kaczyński przesaadził tu i ówdzie, ale opowiadanie o autorytaryzmie czy dyktaturze to patetyczne nadęcie bez potwierdzenia w rzeczywistości. Unieważniają – poprzez zapomnienie lub bagatelizowanie – wszelkie bezceństwa władzy, w tym zamach na konstytucję, bo przecież prawnicze kontrowersje są solą demokracji, a poza tym poprzednicy też nie są bez winy. Opozycję zaś surowo rozliczają z rzekomo brutalnego języka, którym usiłuje ona opisywać ostatnią niepełną dekadę rządów Zjednoczonej Prawicy, a zupełnie ignorują obszceniczne występy szefa rządzącej partii, który lidera opozycji wyrzucił wprost z narodowej wspólnoty.



ILUSTRACJA OBYWATEL JANEK

Gdy Kaczyński i jego kompani wyzywają Donalda Tuska, komentatorzy nawet niespecjalnie kręcą nosem, bo przecież prezes PiS ma taki styl, ale każdy ostrzejszy głos przeciw władzy jest przez nich traktowany jako hejt i agresja. Opozycja musi być przecież kulturalna, nawet jako gorszy sort.

Zgrane metafory o oczach szeroko zamkniętych albo wierze w fatamorgany nie są w stanie oddać tego, z czym w gruncie rzeczy mamy do czynienia. Forsowane przez czołowych publicystów nurtu symetrycznego, takich jak Rafał Woś czy Grzegorz Sroczynski, przeświadczenie, że o autokracji możemy mówić tylko wówczas, gdy opozycja gnije w więzieniu, a knebel cenzury zatyka wszystkie kanały komunikacji, może wprawdzie świadczyć o ignorancji, ale w istocie pokazuje bezmiar złej woli, manipulacji albo cynicznej złośliwości w urabianiu suwerena.

Tymczasem dziś nie trzeba sięgać do rozpraw wybitnych uczonych, by wie-

dzieć, że populiści nowego typu dokonują rozbioru państwa demokratycznego, dbając o oszukańcze pozory. Nie trzeba pałować nieprawomyślnych, by dewastować zasady i przejmować instytucje państwa w niecznych celach. Nie trzeba Berezę Kartuskiej, by powstał Budapeszt w Warszawie, który już nie jest demokracją, choć demokrację stara się symulować. Nie trzeba dokonywać instytucjonalnego polexitu, by faktycznie postawić państwo poza światem cywilizacji zachodniej.

Zdumiewające, jak media głównego nurtu bez cienia krytycyzmu i zakłopotania opatrywały informacje o dawkowanych przez pisowskich notabli pytaniach referendalnych przymiotnikiem „pilne”, wszczynały debaty na ich temat w studiach telewizyjnych i traktowały z pełną powagą tę polityczną bezczelność. Jawny fortel wyborczy, który ma przynieść partii władzy dodatkowe nieograniczone fundusze na kampanię polityczną, traktowany jest jak wdzięczny i bezgranicznie ważny temat, przy omawianiu którego trzeba się wznieść na szczyty bezstronności i obiektywizmu. Jednocześnie wykpiwa się opozycyjne wezwania do bojkotu tego kampanijnego narzędzia propagandowego, jakbyśmy mieli do czynienia z prawdziwym referendum na temat spraw nierozstrzygniętych. Jeśli ktoś szukałby definicji rzetelności dziennikarskiej, to z pewnością

takie podejście leży na jej antypodach, ponieważ legitymizowanie autokratycznych sztuczek z definicji nie jest powinnością czarnej władzy.

Kiedy Andrzej Duda u progu swej pierwszej kadencji odmówił przyjęcia przysięgi od trzech legalnie wybranych przez Sejm sędziów, media skupiały się na dwóch sędziach rzeczywiście wybranych nadmiarowo, jakby miało to symetrycznie uzasadniać bezprawne działanie prezydenta. Kiedy Beata Szydło odmawiała publikacji wyroku Trybunału Konstytucyjnego, wałkowano problem rzekomego sporu prawnego, choć najbardziej doświadczeni konstytucjoniści robili wszystko, by w sposób merytoryczny pozbawić opinię publiczną złudzeń, że to nie żaden spór, ale zwykły zamach na konstytucyjny porządek. Kiedy przez Sejm przechodziły pozakonstytucyjne ustawy, niejednokrotnie przy użyciu bezprawnych reasumpcji, gdy władzy na chwilę zabrakło większości w czasie posiedzenia komisji, w studiach radiowych i telewizyjnych brylowali członkowie partii rządzącej, którym gwałt na prawie pozwalano przedstawiać jako uprawniony punkt widzenia w demokratycznej debacie.

Z takich normalizacyjnych aktów utkany jest triumf władzy PiS, która bez większych przeszkód może realizować swój plan uczynienia z Polski – jak mawia Kaczyński – wyspy wolności. A więc kraju, w którym sądownictwo ma być podporządkowane woli politycznej, decyzje teoretycznie niezależnego Narodowego Banku Polskiego są ściśle powiązane z oczekiwaniami partii rządzącej, Rzecznik Praw Dziecka jest przede wszystkim rzecznikiem pravicowej ideologii reprezentowanej przez najbardziej radykalnych przedstawicieli władzy, a Trybunał Konstytucyjny składa się z nieprawidłowo wybranych dublerów, koleżanki prezesa PiS oraz byłych polityków tej partii.

Już samo powołanie z wadą prawną nowej Krajowej Rady Sądownictwa powinno być dzwoniem alarmowym dla państwa prawa, tymczasem znieczulone społeczeństwo nie ma ochoty i woli protestować. Pod polskim Sądem Najwyższym zbiera się wprawdzie od czasu do czasu jedynie grupka najbardziej wytrwałych prawników, by przypominać, że neosędziowie nie są sędziami, ale dziennikarskie wozy transmisyjne jakoś nie tłoczą się, by transmitować to wołanie na puszczy. Nawet ostatnio, kiedy prezes Kaczyński zapowiedział dokończenie rozprawy z sądami, które „depczą praworządność”, mało kto o tym wspominał, bo publicyści byli zajęci martwieniem się obecnością Romana Giertycha na liście wyborczej KO.

Ktoś może powiedzieć, że przecież media prywatne ujawniają afery władzy, krytykują jej działania, nagłaśniają zło, a to oznacza, że kontrola społeczna wciąż działa. Ale trzeba natychmiast doprecyzować, że jednocześnie nie wyodrębniają tych wszystkich pisowskich ekscesów jako fragmentów większej całości, czyli programowego przechodzenia od demokracji do autokracji. Pokazują je jako zwykłe błędy w ramach stabilnego ustroju, a nie jako przemyślane działanie, które ma doprowadzić do rewolucyjnego zerwania z demokracją. Dobrze to widać właśnie na przykładzie mediów. Gdy po 2015 r. ludzie PiS przejmowali media publiczne i na podstawie czegoś na kształt list proskrypcyjnych usunęli kilkuset dziennikarzy, środowisko dziennikarskie nie wykazało się solidarnością zawodową. Częściej było słychać, że nic nadzwyczajnego się nie dzieje, bo każda władza robi to samo, niż krytykę powołania pozakonstytucyjnej Rady Mediów Narodowych w celu usunięcia władz telewizji i radia. Dziś widać, że zamiast mediów publicznych funkcjonują ordynarne tuby propagandowe, co nie ma

precedensu w historii III RP, a rację mieli ci, którzy u zarania tej hucpy bili na alarm.

Uczynienie z Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji instytucjonalnej wydmuszki nie zajmowało szczególnie czwartej władzy, dopóki nie okazało się, że przyznawanie koncesji na nadawanie przestało być demokratyczną procedurą i zaczęło wprost zależeć od partii rządzącej, a ona sama ma ochotę maksymalnie reglamentować wolność słowa. Przejęcie przez Orlen prasy lokalnej, lex TVN, drżenie o koncesję dla TOK FM czy kara nałożona przez szefa KRRiT Macieja Świrskiego na Radio Zet to krótkie chwile trzeźwienia z normalizacyjnej drzemki, w jaką zapadło wielu żurnalistów głównego nurtu. Media w chwilach poczucia zagrożenia poszukiwały społecznego wsparcia wśród swoich odbiorców, zbierano podpisy, uruchamiano akcje w portalach społecznościowych dzięki wielu demokratycznie zorientowanym użytkownikom. Jednak gdy zagrożenie mijało, wracało iluzoryczne poczucie, że wszystko odbywa się w ramach państwa prawa, które czasem po prostu się potyka. Wolne media znów śniły, że są wolne.

Smutną puentę dopisało zamieszanie wokół Panelu symetrystów, który miał uświetnić organizowany przez Rafała Trzaskowskiego Campus Polska Przyszłości. Co symptomatyczne, bez udziału antysymetrystów, a tego typu starcie uczyniłoby panel być może ciekawym. Wirtualny suweren zaprotestował jednak przeciwko zapraszaniu na opozycyjną imprezę ludzi, którzy przez lata zajmowali się legitymizowaniem pisowskich przekroczeń, więc w odwecie został przez zainteresowanych dziennikarzy porównany na radiowej antenie do klubów „Gazety Polskiej” i kundelków, które wyhodowała sobie największa partia opozycyjna. Finalnie symetryści zrezygnowali, panel się nie odbył, było kilka wzniosłych gestów solidarnościowych, ale niesmak pozostał. Głównie z tego powodu, że ludzie, którzy bez przeszkód uprawiali w mainstreamie namiętne niestraszenie PiS-em, nagle poczuli się zakneblowani, bo nie zabrali głosu na imprezie firmowanej przez wiceszefa, ostro krytykowanej przez nich formacji politycznej. A także dlatego, że być może po raz pierwszy zwykli odbiorcy ośmielili się tak ostro skrytykować świetne samopoczucie branży, która, jak pokazują badania, z jakiegoś powodu znalazła się na dnie drabiny zaufania społecznego.

To zdumiewające, że po doświadczeniach węgierskich większość polskich elit medialnych bagatelizuje zagrożenia, przed jakimi stoi Polska pod rządami autokratów, wciąż szukając uzasadnienia dla bezstronności wobec bijących i bitych. To smutne, że znając wiersz Wiktora Woroszyńskiego „Państwa faszystowskie” (w których „słońce wschodziło i zachodziło o normalnej / porze”), nie próbuje się – poza wyjątkami potwierdzającymi regułę – nadać debacie publicznej prawdziwych konturów. Przypadek Donalda Trumpa, który pokazał, że wszelkie niepisane reguły można dowolnie naginać, a umowa społeczna nie obowiązuje, daje wystarczające wyobrażenie o tym, że autokraci nowego typu uderzają przede wszystkim w symboliczny system wartości i zamieniają gwarancje państwa w widzimisię tyra. Czy to jest mniej groźne od realnego knuta?

Kreatorzy normalizacji chętnie przywołują fantazję, że ostatnie ośmioletcie rządów PiS jest czkawką liberalnej III RP, która grzeszyła pychą i nie szukała w sobie błędów. Ciekawe, czy o ewentualnej Polsce Kaczyńskiego i Mentzena, Morawieckiego i Brauna, Ziobry i Bosaka będą umieli w tym samym duchu powiedzieć, że tym razem to oni sami walnie się do niej przyczynili. ■

Przemysław Szubartowicz
(ur. 1976 r.) – dziennikarz radiowy i telewizyjny, publicysta, felietonista, poeta i krytyk literacki. Były redaktor naczelny portalu Wiadomo.co.



Już nie mają zdrowia

Z listy chorób genetycznych i rzadkich, która miała być podstawą do orzekania niepełnosprawności dziecka do 16. roku życia, ministerstwo rodziny skreśliło m.in. zespół Downa. Polityka wygrała ze zdrowym rozsądkiem?

KATARZYNA KACZOROWSKA

Listę chorób i zespołów genetycznych, która miała być rekomendowana przez dwa ministerstwa orzecznikom pracującym w komisjach orzekających o niepełnosprawności, przygotowywało troje genetyków i przedstawicielka organizacji pacjentów. Przez kilka miesięcy, bez ministerialnego powołania na jakiegokolwiek stanowiska czy funkcje konsultacyjne, bez gratyfikacji, za to z pełnym zaangażowaniem i przekonaniem, że najwyższy czas zmienić sytuację, w której rodzice niepełnosprawnych dzieci muszą stawać przed tymi komisjami co kilka lat, choć ich dzieci nie mają żadnych szans na wyzdrowienie. Pomysł stworzenia takiej listy narodził się na jednym ze spotkań z wiceministrem rodziny i polityki społecznej Pawłem Wdówikiem, który w MRiPS odpowiada za kwestie związane z osobami niepełnosprawnymi.

– *Reakcja była więcej niż życzliwa. Opracowaliśmy więc listę, na pierwszym miejscu umieszczając zespół Downa, a poniżej, w kolejności alfabetycznej, pozostałe choroby genetyczne i choroby rzadkie. Zespół Downa chorobą rzadką nie jest – zgodnie z definicją za takie uznaje się te, które występują raz na 2 tys. urodzeń, ale jest to choroba uwarunkowana genetycznie, powodująca niepełnosprawność intelektualną i cały zespół wad i, co kluczowe, akurat wśród dzieci chorych tych rodzi się najwięcej* – tłumaczy prof. Robert Śmigiel z Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu i jeden z trójki genetyków, którzy pracowali nad listą przekazaną do ministerstwa. Pozostali lekarze to prof. Jolanta Wierzbą z Uniwersytetu Medycznego w Gdańsku i konsultant wojewódzki w zakresie pediatrii metabolicznej prof. Olga Haus – przewodnicząca Polskiego Towarzystwa Genetyki Człowieka. Czwartą osobą była Maria Libura, przewodnicząca Polskiego Stowarzyszenia Pomocy Osobom z zespołem Pradera-Williego.

O tym, że jest gotowa lista chorób genetycznych, które będą uprawniali do bezterminowego orzeczenia o niepełnosprawności, pierwsza poinformowała Polska Agencja Prasowa – 21 sierpnia. Miesiąc wcześniej na konferencji prasowej wiceminister Paweł Wdówik wyjaśnił, że lista będzie wytyczną pełnomocnika rządu dla orzeczników, by nie zmuszali rodziców „do pojawiania się co chwila po to tylko, żeby potwierdzić rzecz, która jest faktem, czyli że ta niepełnosprawność się nie zmieniła i nie zmieni”. Wiceminister zastrzegł wtedy, że „sam fakt choroby nieuleczalnej



Kobas Laksa z synem Jonatanem.

© ARCHIWUM PRYWATNE

nie oznacza jeszcze niepełnosprawności”. I dodał, że w MRiPS czekają na odpowiedź z resortu zdrowia, „by rzeczywiście objąć tymi zmianami te choroby, które dają skutki w postaci niepełnosprawności wymagającej odpowiedniego wsparcia. Za tym idą określone środki publiczne, za które jesteśmy odpowiedzialni i chcemy je skierować tam, gdzie one są potrzebne”.

Lista przekazana przez MRiPS do resortu zdrowia wyciekła. Z tej opracowanej przez lekarzy genetyków, liczącej 235 jednostek, zostało zaledwie 90 pozycji. Prof. Śmigiel, prof. Wierzba, prof. Haus i Maria Libura po ujawnieniu skróconej listy wysłali do ministra Wdówikę list, w którym zażądali wykreślenia ich nazwisk jako autorów tego dokumentu.

Co komisja, to walka

Elżbieta Jeruzel o stawianiu przed komisją orzekającą o niepełnosprawności jej dziecka może opowiadać długo, choć wszystkie te opowieści można zamknąć w jednym słowie – walka. – *W Miejskim Zespole ds. Orzekania o Niepełnosprawności od lat jest pan, który w ogóle nie powinien orzekać w sprawie mojego syna z zespołem Downa. To psychiatra, a zgodnie z przepisami u dzieci i dorosłych z trisomią orzeczenie wydaje neurolog* – mówi matka ponad 30-letniego mężczyzny, którego po odwołaniu od jednej z decyzji wydanej przez miejską komisję pani pedagog z komisji wojewódzkiej poprosiła, by zaśpiewał jakąś piosenkę albo powiedział wierszyk, zwracając się do niego „chłopczyku”.

Jeruzel nie wytrzymała. – *Czy pani w ogóle wie, że zwraca się do dorosłego mężczyzny, a nie do dziecka? I czy on jest w cyrku?* – powiedziała, a pani pedagog z 30-letnim doświadczeniem i siedząca obok niej lekarka zaczerwieńczyły się po czubki włosów.

Z opowieści rodziców wynika, że to właściwie standard, że lekarze orzecznicy podczas posiedzeń komisji nie patrzą na nich, na ich dziecko ani w dokumentację. I wcale nie tak rzadko nie przyznają kluczowych punktów w orzeczeniu o niepełnosprawności. Chodzi o punkty 7. i 8., z których pierwszy wskazuje na „konieczność stałego zapewnienia opieki dziecku”, a drugi na „konieczność współudziału rodzica w rehabilitacji, zajęciach szkolnych, dodatkowych zajęciach rozwojowych z dzieckiem”. Warunkiem zdobycia orzeczenia jest uzyskanie obu punktów.

– *Samodzielność to dla orzeczników umiejętność zjedzenia posiłku łyżką czy widelcem, którą mój syn zdobył dzięki mojej pracy, albo korzystanie z toalety* – mówi Elżbieta Jeruzel, która na jednej z komisji, kiedy usłyszała, że jej syn jest samodzielny, bo przecież może sam zjeść obiad i nie trzeba go karmić, wstała i powiedziała: „Jak jest samodzielny, to ja wychodzę. Zostawiam go państwu na pewno dogadacie się z nim, co będzie dalej robił”.

Karta na wagę złota

Piotr nie mówi. To znaczy kiedyś mówił, teraz, jak ma dobry humor, powie kilka słów, ale trzeba go długo prosić. Jego matka przyznaje, że nie tylko jemu lekarz orzecznik wpisywał do orzeczenia o niepełnosprawności chorobę psychiczną, choć zespół Downa w ogóle do takich nie jest zaliczany. Kilka razy zdarzyło się też, że Piotrek został cudownie uzdrowiony, czyli nie przyznano mu punktu 7. w orzeczeniu o niepełnosprawności. – *I znam co najmniej kilka innych takich przypadków nagłego usamodzielnienia* – podkreśla Elżbieta Jeruzel, która każdemu w takiej sytuacji powtarza, że trzeba się odwoływać. Jak się nie uda w wojewódzkiej komisji, to iść do sądu, izby lekarskiej, pisać pisma, skargi na niekompetencje orzeczników czy ich brak umocowania do orzekania w konkretnych przypadkach chorobowych. Nie bać się walczyć. Bo nawet kartę parkingową, uprawniającą do parkowania na tzw. kopcercie, trzeba wrywać z gardła.

Dominika Pysno-Dowiegiewicz ze Stowarzyszenia Świat Nadziei ma 11-letnią córkę z zespołem Shaafa i Yang. W Polsce takich dzieci jest 10, na świecie do 200. Zaledwie kilka lat temu dwoje naukowców – Christian Schaafa i Yaping Yang – zdefiniowało tę jednostkę, wydzielając ją z zespołu Pradera-Williego, nazywanego chorobą wiecznego głodu.

– *Miałam szczęście, bo Kalina od razu trafiła pod skrzydła prof. Śmigła i dr Teresy Kaczan, fantastycznych osób. Uniknęliśmy więc tego, co nazywa się odyseją diagnostyczną, czyli bieganiem od badania do badania, od specjalisty do specjalisty. Ze świadomością, że czas ma kluczowe znaczenie nawet nie tyle dla postawienia diagnozy, ile dla rozpoczęcia rehabilitacji czy jakiegokolwiek leczenia* – opowiada Dominika Pysno-Dowiegiewicz, której córka w orzeczeniu o niepełnosprawności zawsze ma wpisany punkt 7. i 8. Ale zdarzyło się, że odmówiono im karty parkingowej. – *Napisałam odwołanie. Bez auta nie dam rady jeździć z Kaliną na rehabilitację, jakiegokolwiek zajęcia, po prostu żyć. Każdej osobie z komisji wręczyłam skserowane w formacie A4 zdjęcia jej skoliozy. Bez słowa mi tę kartę przyznali. Ale dlaczego mamy znosić takie upokorzenia?*

Ignorancja ministerstwa

Genetycy pracujący nad listą dla ministerstwa za podstawowe kryterium do jej stworzenia uznali choroby, które nie rokują, a więc takie, w których bez względu na prowadzone terapie pacjent pozostanie niepełnosprawny i będzie wymagał stałej opieki. Prof. Śmigiel nie kryje, że zdawał sobie sprawę z tego, że lista będzie musiała być ograniczona, ale też zakładali, że będzie to pierwszy krok do przełamania absurdu istniejącego od wielu lat.

– *A spotkaliśmy się wręcz z ignorancją. Po ustaleniu przez nas tej listy, sprawdzeniu kilkakrotnym i przekazaniu jej do ministerstwa zapadła cisza. Nikt z nami się nie kontaktował. Nikt z nami nie dyskutował, żeby tę listę poszerzyć, skrócić, dlaczego ta choroba, a nie inna. Aż nagle, po kilku miesiącach, pojawia się jakaś dodatkowa lista, zrobiona niby na naszej, przez lekarzy będących ekspertami ministerstwa czy też będących na etacie w ministerstwie. Możliwe, że są tam jeszcze pełnomocnicy, którzy mają odpowiednie kompetencje, ale na pewno nie ma ani genetyka, ani specjalisty zajmującego się chorobami rzadkimi* – mówi prof. Robert Śmigiel i od razu dodaje, że nie tylko dla rodziców informacja o wykreśleniu z ministerialnej listy zespołu Downa była szokiem. Dla nich też, bo przecież umieścili go na pierwszym miejscu swojej listy.

Prof. Śmigiel od razu dodaje, że trisomia 21 czy rzadkie choroby genetyczne tak naprawdę są chorobą całej rodziny, zmieniają jej życie, podporządkowują wielkiemu wysiłkowi o utrzymanie życia i sprawności dziecka, co nierzadko oznacza rezygnację z pracy zawodowej. – *Osoby z zespołem Downa to cudowni ludzie. Wiele lat związany byłem z ich różnymi grupami. Od 25 lat jestem członkiem Fundacji L'Arche i wiem, że zdarzają się pacjenci z trisomią 21, którzy osiągają więcej niż inni. Program telewizyjny „Down the Road”, zrealizowany przez TVN, pokazał nam, że ci ludzie sobie radzą. Nie pokazał jednak, że gros osób z zespołem Downa cierpi na wiele czysto somatycznych schorzeń wynikających właśnie z dodatkowego chromosomu, są niepełnosprawne intelektualnie. I naprawdę wymagają opieki. Stałej* – podkreśla prof. Śmigiel.

Chodzi o pieniądze?

Współtwórcą reality show „Down the Road” jest Kobas Laksa, artysta audiowizualny, tato 11-letniego Jonatana z trisomią 21, admin największego portalu w Polsce dla rodziców dzieci z zespołem Downa „Zakątek 21”.

► – Bohaterowie tego dokumentu to osoby wysoko funkcjonujące. I powiem wprost: podczas castingu z ponad 200 osób z trudem udało się wyłonić tych, których oglądaliśmy. Mówiąc brutalnie, starczyło nam ich tylko na trzy sezony. Michał Milka, ambasador osób z zespołem Downa, jeden z naszych bohaterów, jest fantastycznym człowiekiem, po latach starań fundacji „Ja też” pracuje w urzędzie miejskim, ale to proste prace niewymagające wysiłku intelektualnego – mówi Kobas Laksa i dodaje, że tym wysoko funkcjonującym osobom z trisomią 21 udaje się też pracować jako kelnerzy w kawiarniach typu Równik we Wrocławiu czy Pożyteczna w Warszawie, gdzie obsługują osoby z niepełnosprawnością intelektualną, także z zespołem Downa. Ale to wyjątkowe przypadki w skali całego kraju.

– To wierzchołek góry lodowej, a pod spodem tej góry jest różnie, czasami tragicznie – podkreśla Laksa, który na profilu swojego syna na Facebooku Kosmitek Jo po ujawnieniu ministerialnej listy bez zespołu Downa zorganizował błyskawiczną akcję w social mediach. Na zdjęciu syna umieścił napis „usunięty z listy niepełnosprawnych” i poniżej „to kara dla rodziców, którzy stają na głowie, żeby dziecko mogło się rozwijać”. Udostępnił je też na swoim profilu. I przyznaje, że reakcja go zaskoczyła. Bo była jak lawina, której się chyba nikt nie spodziewał. Rodzice podchwycili pomysł i zaczęli wrzucać zdjęcia swoich dzieci z zespołem Downa, od kilkumiesięcznych do kilkunastoletnich. Wszystkie oznaczone napisem „usunięte z listy niepełnosprawnych”.

Kobas żartuje, że zdobywanie przez rodzica wiedzy o zespole jest jak dodatkowy fakultet z biologii i genetyki. Jego wieloletnie doświadczenie i zdobyta wiedza pozwalają mu więc na prowadzenie warsztatów dla nowych rodziców.

– Te nasze wspólne doświadczenia i warsztaty, grupowe zwierzenia sprawiają, że lepiej i głębiej rozumiemy swoje oczekiwania wobec zmieniających się przepisów. Rytuał biegania po orzeczenie – co rok, co parę lat – i stawianie przed urzędową komisją, by ją przekonać, że zespół Downa u naszego dziecka nie zniknął, to upokarzające przeżycie. Zmiana przepisów, żeby otrzymać orzeczenie „na stałe”, była i jest wciąż jednym z naszych największych oczekiwań – mówi Laksa i dodaje, że rodzice mają co robić. Biegają ze swoimi dziećmi na terapie, doksztalcają się i stają na głowie, żeby się lepiej rozwijały.

– To jest upokarzające dla rodziców, a dla mnie oznacza mnóstwo niepotrzebnej papierkowej roboty, bo wypełniam setki dokumentów, zaświadczeń, a kiedy pytam: po co, zawsze słyszę „do orzeczenia” – przyznaje prof. Śmigiel. A Kobas Laksa dodaje: – To, że się przyzwyczailiśmy do patologii, jaka wiąże się z orzecznictwem, nie oznacza, że nie powinno się tego zmienić, choć mam

wrażenie, że to wykreślenie zespołu Downa z ministerialnej listy ma swoje przyczyny.

Laksa od razu wyjaśnia, że praktycznie z automatu otrzymuje się zasiłek pielęgnacyjny w wysokości 215,84 zł, do tego można się starać o świadczenie pielęgnacyjne dla rodzica niepełnosprawnego dziecka, który zrezygnuje z pracy, a to przecież przy takiej liczbie osób z zespołem Downa może być sporym obciążeniem dla budżetu. Na 2024 r. zapowiadana jest rewaloryzacja zasiłku dla opiekunów w wysokości 2988 zł, przy czym kwota ta jest zwolniona z podatku.

Jeśli nie o pieniądze, to chodzi o aborcję?

Do października 2020 r. w Polsce obowiązywały trzy przesłanki do przeprowadzenia aborcji. Przepisy dopuszczały aborcję, gdy ciąża stanowiła zagrożenie dla życia lub zdrowia kobiety ciężarnej; badania prenatalne lub inne przesłanki medyczne wskazywały na duże prawdopodobieństwo ciężkiego i nieod-

wracalnego upośledzenia płodu albo nieuleczalnej choroby zagrażającej jego życiu; zachodziło uzasadnione podejrzenie, że ciąża powstała w wyniku czynu zabronionego. W 2020 r. Trybunał Julii Przyłębskiej uznał za niekonstytucyjną przesłankę drugą, a taką było stwierdzenie badaniem prenatalnym trisomii 21 u płodu. W 2019 r. zespół Downa był przyczyną 25 proc. legalnych aborcji w Polsce. Od października 2020 r. takiej możliwości nie ma.

– Co nie oznacza, że aborcji po stwierdzeniu trisomii 21 w badaniu prenatalnym nie ma. Są, tyle że za granicą – mówi prof. Śmigiel. Dla porządku wylicza schorzenia wynikające z obecności dodatkowego chromosomu. Te najczęstsze to wady serca, potem układu pokarmowego, nierzadko wymagające operacji w krótkim czasie po narodzinach dziecka. To także dysplazja stawów biodrowych, wady kręgow szyjnych, zaburzenia hormonalne, poważne wady wzroku. Dzieci z trisomią 21 częściej chorują na białaczkę, cierpią na wiele zaburzeń neurorozwojowych.

Matka 15-letniej dziewczynki z zespołem Downa: – Nie zdziwiłabym się, gdyby trisomię z tej listy ministerialnej skreślono celowo. No bo jeśli nie będzie jej w rekomendacjach dla orzeczników, to oznacza, że nasze dzieci nie są niepełnosprawne, co prowadzi do utrwalenia przekonania, że stwierdzenie zespołu Downa u płodu nie mogło być przesłanką do aborcji.

Wiceminister Wdówik zapowiedział korekty. Zapewnił we wpisie na platformie X (do niedawna Twitter), że trisomia 21 wróci do spisu rekomendacji dla orzeczników wydających orzeczenie o niepełnosprawności. Bezterminowej, czyli do 16. roku życia. Bo 17-latkę będą stawać na komisjach tak, jakby trisomii 21 wcześniej nie miały.

KATARZYNA KACZOROWSKA



Elżbieta Jeruzel z synem Piotrem.

Fala za falą

Białorusini zarejestrowali w Polsce blisko 5 tys. przedsiębiorstw. Mają firmy komputerowe, knajpy, warsztaty i zakłady fryzjerskie. Zapuszczają korzenie, chociaż sercem są jeszcze w swoim kraju.

EUGENE MEDVEDEV

W BackDoor Barze w centrum Warszawy można łatwo zapomnieć, że jest się w Polsce. Przy stolikach króluje rosyjski, białoruski i ukraiński. Wystrój jest charakterystyczny dla mińskich undergroundowych knajp. Na ścianach, do obejrzenia i kupienia, prace modnych białoruskich artystów. Malarze Maksim Osipow, Nadia Buka, Andriej Busła, fotograficzki Tania Kapitonowa i Katia Ignaszewicz. W weekendy można pośmiać się przy występach stand-uperów. W ciągu tygodnia – obejrzyć mecz Ligi Mistrzów, który komentuje na żywo obecny w knajpie Aleksandr Iwulin. Wcześniej piłkarz, znany komentator sportowy. Potem więzień polityczny. Dziś uchodźca.

– *Nie planowałem knajpy dla Białorusinów, ale wieści, że się otworzyliśmy, rozchodziły się wśród tych, którzy znali zarówno BackDoor, jak i mnie jeszcze z Mińska. I teraz żyjemy trochę w równoległej rzeczywistości, tej polskiej i tej białoruskiej, która pojawia się wraz z gośćmi* – opowiada współwłaściciel Lewon Chałatrian.

W Mińsku prowadził dwie knajpy, popularne wśród artystów i niezależnej młodzieży. Wszystko skończyło się w sierpniu 2020 r., gdy został aresztowany pod zarzutem „organizowania i przygotowywania akcji rażąco naruszających porządek publiczny”. Konkretnie chodziło o to, że był współpracownikiem sztabu Wiktora Babaryki, opozycyjnego kandydata na prezydenta. Kilka miesięcy odsiedział w więzieniu. Do maja 2022 r. podlegał karze ograniczenia wolności. W Polsce jest od stycznia 2023 r. Backdoor został otwarty w kwietniu. Chałatrian zatrudnia 11 osób (w tym trzech współwłaścicieli, którzy oprócz zarządzania zajmują się obsługą gości). Płaci podatki. Nieco wyższe niż w Białorusi, ale przynajmniej nie idą na utrzymanie gwardii przybocznej dyktatora. – *I jest pewność, że jak otworzysz bar, to jutro po kolejnej kontroli nie będziesz musiał go zamykać, bo komuś* ▶



BackDoor Bar i jego współwłaściciel Lewon Chałatrian.

© KATE IGNASHEVICH

► *się nie podobają twoje poglądy* – dodaje Chałatrian.

Spółeczni inwestorzy

Białorusini to, po Ukraińcach, druga najliczniejsza grupa obcokrajowców, którzy znaleźli się w Polsce. Szacunki mówią o ok. 200 tys. mieszkających tutaj na stałe. Twarde liczby podaje ZUS: 100 tys. Białorusinów opłaca ubezpieczenie społeczne.

Napływali falami. Pojawiali się nad Wisłą, gdy ponad 20 lat temu Aleksandr Łukaszenka zaczął rozprawiać się z opo-

Wszyscy zadawali jedno pytanie: „*Kiedy otwieracie*” – opowiada Gleb Kowalew, współwłaściciel Karmy i emigrant z 2020 r. – *W wyborczą noc w naszym barze ukryło się ok. 50 osób, które uciekały przed OMON. Niektórzy byli uczestnikami opozycyjnych manifestacji, inni po prostu przechodniami. Zamknęliśmy drzwi. Milicja waliła w nie pałkami. Wytrzymałiśmy, ale rano zdałem sobie sprawę, że trzeba się zbierać* – dodaje. Poza Białorusią powstały więc dwie filie: w Warszawie, przy moście Poniatowskiego, i w Kijowie.

dadzą radę. Na barze czekają oferty najmu mieszkań i propozycje pracy. – *Mówmy im otwarcie, w Polsce jesteśmy uprzywilejowanymi imigrantami. Języki podobne, nie jest trudno dostać wizę i prawo do legalnego pobytu. Znajdujemy się w bardzo wygodnym dla nas środowisku* – dodaje Kowalew.

Droga na Białoruś

Drugim bardzo popularnym sektorem, w który inwestują białoruscy emigranci, jest logistyka. Ok. 30 proc. firm,



Emigrant z 2020 r. Gleb Kowalew, współwłaściciel Karmy. Obok: Vasilisa Dzehtsiarenka, szefowa Clever Logistic.

cjonistami; gdy dyktator w 2003 r. zlikwidował liceum im. Jakuba Kołosa w Mińsku zwane powszechnie kuźnią opozycyjnych kadr; potem po sfałszowanych w 2020 r. wyborach prezydenckich i represjach wobec demonstrantów, i rok później po zmuszeniu do lądowania w Mińsku samolotu Ryanair, by można było aresztować Ramana Pratasiewicza, współzałożyciela niezależnego portalu Nexta. A ostatnia fala białoruskich emigrantów znalazła się w Polsce w 2022 r., po tym jak Łukaszenka poparł rosyjską inwazję na Ukrainę.

Od początku 2023 r. Białorusini zarejestrowali 100 firm zajmujących się działalnością barowo-restauracyjną. Nowi emigranci szczególnie lgną do miejsc, które znają z dawnego życia. BackDoor Bar był popularną knajpą w Mińsku. Podobnie jak Karma, która miała status kultowego miejsca na mapie białoruskiej stolicy. – *Kiedy chodziłem po Warszawie, co chwilę spotykałem znajomych z Mińska.*

BackDoor Bar i Karma działają według popularnego na Białorusi schematu „społecznego inwestowania”. Znajomi zrzucają się i razem zakładają jakiś interes. Karma warszawska ma sześciu współwłaścicieli, którzy włożyli razem 46 tys. euro. Zatrudnili dziesięć osób. Dziś bar ma już niezłe obroty. Ale nawet pierwszy miesiąc Karma zakończyła na plusie. W ciągu siedmiu miesięcy pracy knajpa odprowadziła do polskiego budżetu 130 tys. zł podatku.

W dni powszednie ruch jest spory. Wpada od 30 do 100 osób. W piątki i soboty przychodzi nawet do 700 gości. Średni rachunek to 60–70 zł. Według szacunków Kowalewa 75 proc. gości to Białorusini, 15 proc. – Ukraińcy, reszta to Polacy i turyści z innych krajów. – *Zdarza się, że Białorusini pojawiają się u nas z walizkami* – opowiada Kowalew. – *Stają w progu i mówią: „Bogu dzięki, że tu jestem!”.* Załoga stawia sobie za niepisane zadanie, by ich przekonać, że w nowym miejscu

które w 2023 r. Białorusini zarejestrowali w Polsce, specjalizuje się w przewozach towarowych.

Vasilisa Dzehtsiarenka na ich tle jest weteranką biznesową w Polsce. Jej firma Clever Logistic od 2009 r. jeździ z Europy do krajów Azji Środkowej i na Kaukaz. Po inwazji Rosji na Ukrainę i wprowadzeniu sankcji, formalnych i tych nieformalnych, ruch towarowy mocno wyhamował. Clever Logistic zaczął powoli przelącać się na kierunek ukraiński i mołdawski. Według szacunków Dzehtsiarenki w branży pracują dziesiątki tysięcy Białorusinów: – *Cieszę się dobrą opinią, dali się poznać jako ludzie odpowiedzialni, szybko uczący się i łatwo integrujący z polską społecznością.*

Sama nigdy nie zrzekła się obywatelstwa, co może być kłopotliwe. Kto jest w stanie przewidzieć, jakie jeszcze sankcje zostaną nałożone na Białoruś i jej obywateli? Nawet jeśli uczciwie prowadzą

interesy, sprzeciwiają się reżimowi Łukaszenki i rosyjskiej agresji na Ukrainę?

– *Od 17 lat mieszkam tutaj, ale czuję się Białorusinką* – opowiada Dzehtsiarenka. Podobnie jak jej synowie, również ci młodszy, którzy urodzili się w Polsce. Dzehtsiarenka zostaje przy swoim obywatelstwie, bo wierzy, że jeszcze kiedyś będzie reformować kraj po przemianie. I że w Białorusi przydadzą się jej kompetencje menedżerskie.

Największą złość u Łukaszenki wywoływało to, że z Białorusi ucieka branża IT. Był dumny z programistów. Starał się stwarzać im jak najlepsze warunki do rozwoju, ale informatycy uważali, że do rozwoju potrzebna jest też wolność.

Od 2020 r. w Polsce otworzyło biura ponad 20 dużych białoruskich firm IT. Niektóre zupełnie pożegnały się z ojczyzną. Wśród nich EPAM (kapitalizacja 12,7 mld dol.) i wiele innych. Białoruski startup Vochi został wykupiony przez amerykański serwis społecznościowy Pinterest – razem z załogą. W warszawskim biurze wciąż pracuje 40 Białorusinów. Anna Bulgakova, założycielka Vochi, mówi, że postawiono na Warszawę, bo była najbliższym kulturowo miastem dla Mińska. Choć z perspektywy tego drugiego – biedniejszym. – *Polscy programiści mieli mniejsze pensje niż te, które wypłacaliśmy na Białorusi. Polskie firmy w branży były zorientowane na rynek wewnętrzny. Białoruskie na globalny* – opowiada Bulgakova. Nawet za te niższe pensje starają się wspierać białoruskie marki. Bywają w knajpkach, kupują od swoich, żeby przy okazji biznesu wesprzeć krajan, którzy, podobnie jak oni sami, z konieczności żyją na obczyźnie.

W tym roku portal dev.by opisujący branżę przeprowadził sondaż wśród białoruskich programistów pracujących w Polsce. W większości mężczyzn przed 35 rokiem życia, zarabiających po kilka tysięcy dolarów. Ponad połową jako powód emigracji podała „brak przemian w kraju”, obawę przed represjami i aresztowaniem (40 proc.). Ale też – strach przed wojną i przymusową mobilizacją (33 proc.).

– *Kiedyś, jak już będzie tam normalnie, chętnie zainwestuję* – mówi Anna Bulgakova. – *Pytanie, czy wtedy będą tam jeszcze jacyś młodzi specjaliści, których można będzie zatrudnić.*

Specjaliści IT z Białorusi już zdążyli odcisnąć piętno na rynku nieruchomości w Warszawie. – *Po jakimś czasie w Polsce zaczynają myśleć o kupnie mieszkania* – mówi Kirył Grycewicz, założyciel agencji nieruchomości Nemiga.pl i emigrant z 2020 r. W rankingu zagranicznych nabywców nieruchomości w Polsce Białorusini są

na trzecim miejscu, po Ukraińcach i Niemcach, ale niebawem mogą znaleźć się wyżej. W zeszłym roku kupili 1,3 tys. mieszkań, czyli 83 proc. więcej niż w 2021 r.

Życie i polityka

Dziś coraz trudniej odróżnić rodziny z Białorusi od polskich. Z czasem zapuszczają u nas korzenie. A część z nich przestaje wierzyć, że kiedyś wrócić do siebie. Tak jak Valiantsin Hlushko, 25-letni twórca filmowy. Na kanale YouTube „Żyźń-Malina” (100 tys. subskrybentów) zamieszczał



Valiantsin Hlushko, youtuber, filmowiec.

wywiady z białoruskimi politykami, artystami, pisarzami i aktywistami. Opuszczał Białoruś w 2021 r., w czasie gdy lista znanych wsadzonych za kraty za wyimaginowane przewinienia rosła, a on sam nie chciał już żyć w kraju, w którym można trafić do więzienia za kolor skarpetek. Nie zamierza wracać. Niezależnie od tego, czy „będzie nowa Białoruś, czy jej nie będzie”.

Teraz współpracuje z artystami z Polski, Niemiec i z Ukrainy. Z Białorusi też. Organizuje wystawy, festiwale muzyki elektronicznej, koncerty – dochód często przeznaczany jest na ukraińską armię. – *Polska to dla mnie doskonała trampolina* – mówi. – *Swoją przyszłość widzi w Stanach. I w kinie, gdzie chciałby podejmować tematykę LGBT i ekologii, ale też migrantów i uchodźców.*

Inni ciągle są jeszcze w rozkroku. „Polityczni” boją się długich rąk Łukaszenki. Chyba słusznie, bo w Karmie – gdzie spotyka się wielu polityków opozycji – wciąż

pojawiają się „smutni panowie” z ukrytymi magnetofonami wysyłani przez ambasadę.

– *Jesteśmy na nich wyczuleni* – mówi Gleb Kowalew. Jego bar jest słynny w środowisku z tego, że wprowadził „czarną listę” ludzi, którzy nie będą tu obsługiwani. Trafili na nią białoruscy artyści, którzy po lutym 2022 r. ciągle występują w Rosji, albo biznesmeni, którzy robią tam interesy.

To jeszcze jedna kategoria Białorusinów obecnych w Polsce. Nie są emigrantami, ale przyjeżdżają tu, żeby „odpocząć”.

Ewentualnie zainwestować. Biznesmeni kłują w oczy, jeżdżąc po mieście drogimi autami na białoruskich tablicach rejestracyjnych. Nie widzą żadnego problemu w tym, że starają się siedzieć na dwóch krzesłach. – *Nie robię niczego niezgodnego z prawem ani niemoralnego* – tłumaczy Andrij (imię na jego prośbę zmienione). – *Mam firmę komputerową w Grodnie i filię w Białymstoku. Stworzyłem miejsca pracy. Pensje płacę regularnie. Nie współpracuję z instytucjami związanymi z białoruską milicją, MSW czy innymi instytucjami aparatu przemocy.*

Kowalew tego nie rozumie. Dla pewności zabronił załódze przyjmować płatność kartami kredytowymi wystawianymi przez białoruskie banki. Barman może jedynie podpowiedzieć, gdzie jest najbliższy bankomat. Ojczyzny nie ma, zasady tym bardziej muszą być.

EUGENE MEDVEDEV
WSPÓŁPRACA PAWEŁ RESZKA

Święta polska rodzina

10 września Kościół organizuje w **muzeum w Markowej** beatyfikację rodziny Ulmów. Na ołtarze zostanie wyniesione także ich nienarodzone dziecko. Spodziewanych jest 25 tys. wiernych. Czy to prezent dla PiS w środku kampanii?



JAKUB HALCEWICZ

Wizytę we wsi Markowa w powiecie łańcuckim na Podkarpaciu w zasadzie należałoby zacząć od Muzeum Polaków Ratujących Żydów podczas drugiej wojny światowej im. Rodziny Ulmów. Ale działa tam też kameralny skansen. Stoi w nim oryginalna XIX-wieczna chałupa rodziny Szylarów; wchodzimy na strych, widzimy postawione snopy, a między nimi przejście – do zrekonstruowanej kryjówki, w której przez 17 wojennych miesięcy chowała się siedmioosobowa żydowska rodzina Weltzów, w tym trzyletnie dziecko.

W sierpniowym upale uderza gorący zapach siana, pomieszczenie jest niskie, trzeba uważać na głowę, całość to zaledwie kilka metrów kwadratowych. Wtedy, w 1943–44 r., dochodziły jeszcze smród ze stajni, własnych ekskrementów w kryjówce i gołębi – hodowanych nad głowami, by zagłuszyć obecność Weltzów.

Antoniemu i Dorocie Szylarom się udaje: wszyscy ukrywani przez nich Żydzi – i oni sami – przeżywają wojnę. Bo Szylarowie bardzo uważają, kryją się z pomocą.

Antoni obudowuje ściany kryjówki rozebranymi wcześniej ulami, niepotrzebnymi po mroźnej zimie 1941/42, kiedy padły pszczoły. Żeby podnieść na duchu ukrywających się, Dorota śpiewa, dojąc krowy. Po latach, w 1992 r., rodzina Szylarów zostaje uhonorowana medalem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata.

Medal dla Ulmów

Z rodziną Józefa i Wiktorii Ulmów jest inaczej. Mieszkają na uboczu Markowej. Przez okno mają widok na miejsce niemieckich egzekucji. Najpierw Józef organizuje kryjówkę dla czterech kobiet, ale zostają znalezione w trakcie oblawy i rozstrzelane. Kolejni Żydzi proszą Ulmów o pomoc pod koniec 1942 r. Ukrywają ich na strychu – dwie siostry, sąsiadki domu rodzinnego Józefa, Gołde Grünfeld i Leę Didner z córką Reszlą, oraz pięciu Goldmanów z Łańcuta, Saula i czterech jego dorosłych synów: Barucha, Mechela, Jochima i Mojżesza.

Żydzi nie są dość ostrożni. Wychodzą z kryjówki i pomagają w gospodarstwie. Wiktoria Ulm szuka we wsi większych ilości jedzenia i tłumaczy, że potrzebuje go dla rosnących dzieci. Ludzi to niepokoi.

Udaje się przez blisko 15 miesięcy, aż do donosu. O świcie 24 marca 1944 r. pięciu żandarmów i kilku policjantów okrąży gospodarstwo. Przyjechali z Łańcuta. Dowodzi nimi por. Eilert Dieken. Wszyscy z domu zostają rozstrzelani, 17 osób, najpierw Żydzi, potem gospodarze, na końcu, po naradzie, także ich sześcioro dzieci – „aby wioska nie miała z nimi kłopotu”. Wiktoria jest wtedy w końcówce ciąży. Po zastrzeleniu Ulmów Dorota Szylar i cała wieś boją się pacyfikacji. Polskie podziemie wykonuje wyrok na granatowym policjancie Włodzimierzu Lesiu – ale czy to on doniósł na Ulmów, pewności nie ma. Przed wojną Markowa liczy 4,5 tys. mieszkańców, w tym 30 żydowskich rodzin, 120 osób. Wojnę przeżywa 21 Żydów.

Medal Sprawiedliwy wśród Narodów Świata zostaje przyznany Józefowi i Wiktorii Ulmom w 1995 r. W 2010 r. prezydent Lech Kaczyński odznacza ich Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. Sześć lat później otwiera się w Markowej muzeum, a od 2018 r. każdego 24 marca obchodzony jest – z inicjatywy prezydenta Andrzeja Dudy – Narodowy Dzień Pamięci Polaków ratujących Żydów pod okupacją niemiecką.

Oprócz tego 20 lat temu rozpoczął się w Kościele proces beatyfikacyjny Józefa i Wiktorii Ulmów oraz ich siedmiorga dzieci – z tym nienarodzonym włącznie, i to pierwszy taki przypadek w historii. W grudniu 2022 r. papież Franciszek ogłasza dekret o ich męczeństwie.

I właśnie teraz, 10 września, w samym środku kampanii wyborczej, Kościół obwieści nowych błogosławionych w ich rodzinnej wsi. W Markowej spodziewanych jest 25 tys. wiernych. Wydarzeniom towarzyszącym beatyfikacji patronu jest prezydent.

W środku kampanii

Uroczystości beatyfikacyjne muszą cieszyć Jarosława Kaczyńskiego. To symboliczne zwieńczenie dzieła polityki historycznej PiS – polonocentrycznej, katolicko-narodowej, antyniemieckiej, z bonusem w postaci promocji wartości tradycyjnej rodziny i życia od poczęcia. W tej beatyfikacji mieści się wszystko, co dla partii ważne na odcinku formowania narodu.

Oficjalnie o miejscu i terminie beatyfikacji poinformował w połowie lutego (gdym wiadomo już, że wybory parlamentarne najprawdopodobniej odbędą się między 15 października a 5 listopada) metropolita przemyski abp Adam Szal. Czy to nie szkodzi, że uroczystości wypadną w czasie najgorętszym politycznym? I na terenie okręgu wyborczego, który w ostatnich wyborach był trzecim w kraju pod względem przewagi PiS?

Postulator procesu beatyfikacyjnego rodziny Ulmów ks. Witold Burda odpowiada POLITYCE, że na uroczystości zostały zaproszeni posłowie i senatorowie z wszystkich opcji, a przesłanie z historii Ulmów jest uniwersalne i ogólnoludzkie. Inaczej uważa Janusz Poniewierski, publicysta katolicki, wieloletni redaktor „Znaku”, były prezes Klubu Chrześcijań i Żydów Przymerze. – *Boję się, że beatyfikacja stanie się wiecem wyborczym. Posłuży władzom, by pokazać publiczności, że rządy PiS są w bożym planie* – mówi. – *Może jestem przesadnie podejrzliwy, ale znając obecne władze, dopatrywałbym się lobbowania w Kościele w sprawie czasu i miejsca beatyfikacji. Nuncjusz apostolski powinien być zadbać, aby ta beatyfikacja nie odbyła się w trakcie kampanii* – dodaje. Przyznajmy, że abp Salvatore Pennacchio, nuncjusz, który w marcu skończył pracę w Polsce, o autonomię Kościoła i państwa nigdy szczególnie nie zabiegał.

Problemu nie widzi jezuita, o. Rafał Huzarski, współpracownik muzeum w Markowej: – *Ulmowie nie są postaciami*

z prawicy, lewicy ani skądkolwiek. Gdybym miał własną partię, pokazywałbym, że się z nimi utożsamiam – mówi. Tłumaczy, że plenerowa impreza, jaką będzie beatyfikacja, nie może się odbyć w sezonie urlopowym, w czasie żniw, nie udałoby się to zimą, do tegorocznego 24 marca było za mało czasu na organizację, a do przyszłorocznego jest go za dużo, a ludzie czekają. Przed upolitycznieniem beatyfikacji przestrzega jednak kard. Kazimierz Nycz. „Pamiętajmy, abyśmy nie próbowali beatyfikować takiego czy innego narodu, bo jest przy tej okazji pokusa, by trochę ugrać swoje” – mówił w czerwcu na konferencji w Warszawie. Nie bez powodu. Polacy ratujący Żydów to figura odczono wykorzystywaną przez PiS, jeden z filarów polityki historycznej obozu władzy, według której ze szlachetną postawą Wiktorii i Józefa Ulmów ma być tożsama postawa całego polskiego społeczeństwa.

W dłuższej perspektywie polityka ta jest odpowiedzią na dawny spór o Jedwabne wywołany przez Jana Tomasza Grossa książką „Sąsiedzi”. Ma poprawiać wizerunek Polaków w oczach ich samych i całego świata. Bo – jak pisał kilka lat temu Jarosław Kaczyński w liście do mieszkańców Markowej – „wciąż pojawiają się ponuro brzmiące słowa, pragnące kłamliwie przedstawiać naród polski jako naród ludzi niegodnych”. A gdy uzasadnia uchwałę oddającą hołd Polakom ratującym Żydów, mówi w Sejmie, że ma to „niezwykły wymiar indywidualny, w odniesieniu do jednej rodziny, ale ma to także wymiar szerszy, ogólnonarodowy”. Ratowanie Żydów bowiem – cytujemy niedawne słowa ideologa PiS Jana Żaryna – „to była kategoria narodu polskiego, a więc nie liczona w tuziny, setki, tysiące, tylko setki tysięcy” (kiedy indziej mówi nawet o milionie).

W Markowej zatem – ogłasza Andrzej Duda na otwarciu Muzeum Ulmów w 2016 r. – „jak w soczewce skupia się to, co jest jedną z przyczyn, że my jako Polacy możemy czuć się godnie”; „na szczęście podczas tej straszliwej tragedii, jaką był Holokaust, znalazły się tysiące Polaków, którzy umieli stanąć na wysokości zadania”; „były dziesiątki, setki takich rodzin; tysiące ludzi”.

Kropka nad „i” należy do Mateusza Morawieckiego, który jeszcze jako wicepremier oświadcza, że „Instytut Jad Waszem powinien docenić odwagę Polaków i cały naród polski powinien mieć jedno wielkie drzewo Sprawiedliwych Wśród Narodów Świata”.

Jakże skromnie brzmią na tym tle słowa inicjatora, współtwórcy i pierwszego szefa

muzeum w Markowej Mateusza Szpytmy (spokrewnionego z Wiktorią Ulmą), obecnie wiceprezesa IPN, który nie zgadza się nawet z określeniem Markowej jako „wsi sprawiedliwych”.

Polskie bohaterstwo

Krytycznej oceny tego zjawiska w polskiej polityce podejmuje się Alicja Podbielska w tekście „Święta rodzina z Markowej: kult Ulmów i polityka historyczna”, opublikowanym w czasopiśmie „Zagłada Żydów. Studia i Materiały” (nr 15, 2019). Jej zdaniem „rosnąca gradacja liczby ratujących nie miała na celu podania ich konkretnej liczby, lecz stworzenie wrażenia ich niepoliczalnej mnogości. W pracowniczej polityce historycznej, przekaz o bezmiarze polskiego współczucia i solidarności jest jednoznaczny, niezależnie od tego, czy mówi się o dziesięciu tysiącach (planowany pomnik na pl. Grzybowski w Warszawie), 40 tysiącach (firmowane przez Tadeusza Rydzka Muzeum Pamięć i Tożsamość w Toruniu, którego otwarciu zapowiedziano na 2021 r.), kilkuset tysiącach (Maciej Pawlicki, reżyser filmu »Życie za życie«) czy o »milionie i więcej« (Jan Żaryn Sprawiedliwych”.

Podbielska przypomina, że najbardziej konkretnie Ulmowie posłużyli jako polityczne narzędzie podczas reakcji polskich władz na kryzys dyplomatyczny wywołany nowelizacją ustawy o IPN w 2018 r. Zjednoczona Prawica chciała wtedy karzyć przynajmniej trzech lat więzienia za przypisywanie polskiemu narodowi lub państwu odpowiedzialności m.in. za zbrodnię III Rzeszy. Aby przedstawić zagranicznym dziennikarzom rację polskiego rządu, Morawiecki zaproponował wówczas do Markowej. W tamtym czasie powstał też pomysł niewypału utworzenia filii muzeum Ulmów na Manhattanie w Nowym Jorku.

Obecnie – wylicza Podbielska – Ulmowie stali się patronami ulic w całej Polsce, a informacje o nich są w podręcznikach, dodano je też do wystawy głównej przejętego przez PiS Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku, „w ramach zmian mających wyeksponować rzekomo niedostatecznie tam reprezentowane polskie bohaterstwo”. Są nawet w miejscach pamięci Zagłady niezwiązanych z ratowaniem, jak łódzka stacja Radegast.

Ks. Burda mówi jednak: – *W żadnym innym kraju takiej pomocy nie było i świadczy o tym liczba polskich drzewek w Jad Waszem. Była pomoc instytucjonalna Polskiego Państwa Podziemnego i indywidualna – dawanie schronienia, pieniędzy, ubrań, jedzenia. Dlaczego tak surowe konsekwencje spotykały nas Polaków* ▶

Chałupa Szylarów
w Markowej. Ta rodzina
także ukrywała Żydów.
Im udało się przeżyć.

► *za pomoc Żydom?* – pyta. I sam odpowiada: – *Ze względu na to, że tak wielu Polaków, gigantów człowieczeństwa i gigantów wiary, zdecydowało się pomóc.*

– *Im ciemniejsze jest niebo, tym bardziej widać gwiazdy. Polska pod niemiecką okupacją to takie mroczne tło. Na tym ciemnym niebie świecą postaci takich bohaterów jak Ulmowie* – mówi Dariusz Stola, były dyrektor Muzeum Polin. Uważa, że „rozdymanie liczby ratujących prowadzi do dewaluacji bohaterstwa tych, którzy ratowali naprawdę, tworzy wrażenie, że te szlachetne zachowania były powszechne, a nie były”.

Dylematy nienarodzonego

Tymczasem machina beatyfikacyjna ruszyła już dawno. W sierpniowy dzień powszedni w Markowej cały czas coś się dzieje. Miejscowy proboszcz nadzoruje prace porządkowe. Fasada przedwojennego domu ludowego jest w remoncie. W kościele też rusztowania. Będą w nim relikwie. Zaczynają się prace budowlane na polu-stadionie, gdzie stanie ołtarz. Gdy pada deszcz, buty zapadają się w gliniastej ziemi. Gdy wychodzi słońce, można natknąć się na autorów kolejnych książek poświęconych Ulmom. Wydawnictw wychodzi teraz wiele, różnej objętości i różnej jakości. Jak spojrzeć w niebo – w powietrze wzbijają się wielkie samoloty; nieopodal leży Jasionka, skąd polecimy nawet do Nowego Jorku, a od napaści Rosji na Ukrainę to także jedno z ważniejszych lotnisk NATO. Daleko od stolicy, a jakby w centrum wydarzeń.

W uroczystości szczególnie zaangażowała się Kancelaria Prezydenta. Powstał w niej Komitet ds. Wydarzeń Towarzyszących Beatyfikacji Rodziny Ulmów. To on odpowiada choćby za okolicznościową grafikę na lokomotywie PKP Intercity, która kursuje do Berlina i informuje po polsku i angielsku, „Zamordowani przez Niemców za ratowanie Żydów podczas II wojny światowej”. Jak mówił sekretarz stanu w KPRP Wojciech Kolarski, prezentując w lipcu lokomotywę, beatyfikacja „to ważne wydarzenie w historii Polski”. Szpytma, który także należy do prezydenckiego komitetu,

uspokaja jednak: – *Beatyfikacja nie będzie gamechangerem w kampanii.*

Wiele zależy od tego, jak konsekwentnie PiS będzie przedstawiał zwrotnicę kampanii na Polskę lokalną. I ile będzie chciał od siebie dołożyć prezydent. Robienie polityki na beatyfikacji zapewne nie przekona do partii nieprzekonanych, może jednak wzmocnić polaryzację i mobilizować jej twardy elektorat.

Wróćmy do beatyfikacji i zapytajmy: dlaczego właściwie padło na Ulmów? Odpowiedzi znajdziemy w pobożnych broszurkach. W jednej z nich wypowiedział się ks. Burda: „Józef i Wiktoria dojrzewali do tej heroicznej decyzji poprzez swoją wierność Bożemu prawu w codziennym życiu”; „wiedzieli, co za taką pomoc grozi”; „w teologii mówi się o tak zwanym pragnieniu męczeństwa, czyli pragnieniu najdoskonalszego naśladowania Chrystusa i uczestnictwa w tajemnicy zbawienia, którego dokonał przez swoją mękę, śmierć i zmartwychwstanie”.

Dla Kościoła zatem to męczennicy. O. Huzarski przypomina, że działania nazistów były skierowane przeciwko wierze, co Kościół uznał, badając przypadek o. Maksymiliana Kolbego. Dodaje, że świadkowie opowiadali o ponadprzeciętnym zaangażowaniu religijnym Ulmów, a w ich domu znaleziono egzemplarz Biblii z podkreśloną na czerwono przypowieścią o miłosiernym Samarytaninie.

Bardziej skomplikowany jest wątek siódmego, nienarodzonego dziecka Józefa i Wiktorii. Ci, którzy opowiadają historię rodziny Ulmów, przywołują obraz Wiktorii, z której łona wychodzi głowa i pierś dziecka. Nie wiadomo, czy akcja porodowa zaczęła się jeszcze w trakcie egzekucji, wywołana stresem, czy podczas złożenia ciała do dołu w skrzyni.

Ks. Burda tak argumentuje udział tego dziecka w męczeństwie rodziny: „Nieskończona miłość Boga Zbawcy obejmuje także tych ludzi, u których znajduje same czyny, lecz bez udziału woli”; występuje „pełna współpraca człowieka z łaską Bożą”.

Ta okoliczność pozwala Kościołowi uniknąć teologicznych problemów

z beatyfikacją nienarodzonego dziecka. Dopytuję jednak ks. Burdę, jak to rozumieć: narodzone czy nie, bo w kościelnych tekstach i wypowiedziach biskupów bywa różnie. – *Mówimy, że to dziecko „pod sercem matki”, „przychodzące na świat”. Mówimy o człowieku* – odpowiada.

Historię męczeńskiej śmierci można też opowiedzieć odwrotnie. – *Dla takich osób jak Ulmowie wiara mogła być balastem* – uważa Jacek Leociak z Instytutu Badań Literackich PAN oraz Centrum Badań nad Zagładą Żydów, autor m.in. „Młynów bożych. Zapisków o Kościele i Zagładzie”. – *Oprócz tego, że musieli się ukrywać, występować przeciwko interesowi społeczności sąsiedzkiej, tzn. przeciwko obowiązki solidarnego przetrwania, jako wierzący mieli do pokonania jeszcze jedną barierę, czyli nauczanie Kościoła, który ewidentnie traktował Żydów jako wrogów.*

Według Dariusza Stoli „badania nad Sprawiedliwymi pokazują, że często były to osoby nietypowe w swoich środowiskach, np. miały dom na uboczu na wsi. Taki dom na uboczu ogląda mniej oczu sąsiadów, którzy mogliby donieść”. – *Motywacje ludzi, którzy pomagali Żydom były bardzo różne, w tym religijne. Jest przecież spora grupa zakonnic uhonorowanych przez Jad Waszem, które ratowały dzieci. Z drugiej strony wśród ratujących nadreprezentowani byli komuniści – ich motywacje były antyrasistowskie. Irena Sendlerowa wywodziła się z postępowej lewicy. Ale czasami po prostu nie wiemy, co kierowało konkretnymi ludźmi. Czasem bohaterem zostaje ktoś, kogo byśmy o bohaterstwo nie podejrzewali* – mówi Stola. – *Ciesz się, że takie postaci są honorowane i upamiętniane, bo one na to zasłużyły, bo można i należy je stawiać za wzór. Natomiast do tego należy dodać przypis: uważajmy, by Sprawiedliwi nie służyli za zasłonę do ukrycia niesprawiedliwych – tych, którzy kolaborowali z okupantem przeciw Żydom albo wykorzystywali tragedię Żydów do przyziemnych celów.*

Nietypowi

Powiedzieć, że Józef Ulma był nietypowy, to nic nie powiedzieć. Urodził się w 1900 r. Skończył cztery klasy szkoły podstawowej, potem wojsko, szkoła rolnicza. – *Był kierownikiem spółdzielni mleczarskiej, sadownikiem – sześpił drzewa owocowe, wprowadzał nowe warzywa; hodował pszczoły i jedwabniki. Był wizjonerem* – opowiada Maria Ryznar-Fołta, prezeska Towarzystwa Przyjaciół Markowej, które prowadzi skansen. – *Już wtedy, w latach 30., przewidział choćby dzisiejsze znaczenie soi, którą też uprawiał.*

© DARIUSZ DELMANOWICZ/PAP

Ulma miał blisko 300 książek i prowadził bibliotekę, zajmował się introligatorstwem. Grał z 12 lat młodszą Wiktorią w teatrze, a gdy we wsi wystawiano „Kordiana i chama”, przyjechał Leon Kruczkowski. Prenumerował „Wiedzę i Życie”. Nie rozstawał się z aparatem fotograficznym, zbudował ciemnię. Dzięki niemu historia wsi jest świetnie udokumentowana.

Nietypowa jest także Markowa, której historia sięga XIV-wiecznego niemieckiego osadnictwa. W dwudziestolecie międzywojennym była to jedna z najbogatszych wsi w kraju. Na otwarcie domu ludowego w 1931 r. przyjechał tu Wincenty Witos. Od 1935 r. działała pierwsza spółdzielnia zdrowia, czyli przychodnia. Wychodziło pismo „Kobieta Wiejska” z ambicjami ogólnopolskimi. – *Wielu uważa, że Podkarpacie jest zapyziałe, a po bliższym poznaniu zachwyca się tutejszą troską miejscowych o materialne i duchowe dziedzictwo* – wdycha Ryznar-Fołta. Jej Towarzystwo powstało w 1979 r. po spotkaniu dawnych działaczy Związku Młodzieży Wiejskiej Wici w 50. rocznicę powstania organizacji. To oni chcieli zachować w krajobrazie dawne budownictwo i założyli skansen.

W 1993 r. wydali książkę pamiątkową i wręczyli ją nowemu proboszczowi.

Ks. Stanisław Leja poznaje z niej sylwetki Ulmów i mówi: „Wy tu macie świętych”. I tak to się zaczyna. Kim są Ulmowie dla Ryznar-Fołty? – *Przykładem otwarcia. Tego, czego nam brakuje w Polsce. Budzą uczucia wdzięczności za swój odruch człowieczeństwa. My dzisiaj nie musimy podejmować tak trudnych decyzji, więc póki mamy czas, czyńmy dobro.*

Rozterki historyków

Muzeum Ulmów trzeci rok kieruje Waldemar Rataj, powołany przez ministra kultury za zgodą samorządu. Gdy zaczynał w pandemii, liczba gości spadła z 30 tys. w 2019 do 12 tys. w 2020 r. Dwie trzecie odwiedzających to wycieczki młodzieży z Izraela. Na trasie mają grób i pomnik Ulmów oraz muzeum. Obecnie ruch się zwiększa, a na ten, który nastąpi po beatyfikacji, muzeum w zasadzie nie jest gotowe. To zaledwie 250 m kw. przestrzeni wystawienniczej, dwie toalety, przeciekający dach nad wejściem.

Ten kameralny budynek na pewno powstał z rozmysłem. Jest jak kryjówka, im dalej, tym ciemniej i wężiej. W środku: makieta domu Ulmów z pamiątkami po nich, warsztatem stolarskim, szafą, książkami. Na placu muzealnym

są tabliczki z nazwiskami Polaków zamordowanych za pomoc udzielaną Żydom na Podkarpaciu, a na ścianie przed wejściem – tabliczki z nazwiskami osób ratujących Żydów. Rataj deklaruje, że chce, by muzeum mówiło o etyce i prawach człowieka.

Części historyków nie podoba się, że budynek ma kształt stodoły. Przecież kryjówka u Ulmów była na strychu. I tak znów Markowa wpisuje się w spór o Jedwabne... Zuzanna Radzik, publicystka „Tygodnika Powszechnego” od lat zaangażowana w dialog polsko-żydowski, dodaje: – *Muzeum jest etniczne, mówi wyłącznie o ratujących Polakach.* A przed wojną w województwie mieszkali oprócz Polaków Ukraińcy, Żydzi i Niemcy.

Czy polityka historyczna i kampania wyborcza obrzydzą Polakom tę historię? – *Jej nadmiar może. Ale muzeum w żadnych kampaniach nie uczestniczy* – mówi Rataj. – *Teraz jest beatyfikacja i wzrost zainteresowania. Jesteśmy beneficjentami tego, ze wszystkimi konsekwencjami.*

Czy na beatyfikacji skorzysta także PiS? Obóz władzy nie odpuści okazji, by przekonywać, że wszyscy Polacy to święta rodzina.

JAKUB HALCEWICZ

REKLAMA

Hanya Yanagihara - outsiderka, która została jedną z czołowych pisarek Ameryki

+
Jakie książki napisze nam AI?

+
Dlaczego potrzebna nam jest pedagogika bezwstydu?

+
Nasz lęk przed ciemnością niszczy cudze światy. Co musimy zmienić?



W sprzedaży

Ja krzyczę



© DITA PEPE

Rafał Milach, jedyny Polak w prestiżowej agencji Magnum Photo, opowiada o tym, jak fotografując Białoruś, lepiej zrozumiał dzisiejszą Polskę oraz o tym, że nie wszyscy jesteśmy fotografami.

JULIUSZ CŹWIELUCH: – Fajnie być pierwszym Polakiem w najbardziej prestiżowej agencji fotograficznej na świecie?

RAFAŁ MILACH: – Technicznie rzecz ujmując, jestem drugi. Pierwszym był David „Chim” Seymour, który razem z Robertem Capą, Henri Cartier-Bressonem i George’em Rodgerem założyli w 1947 r. agencję Magnum Photos.

David Seymour to rzeczywiście bardzo polskie nazwisko.

„Chim” urodził się w Warszawie. Jego ojciec był wydawcą prasy w jidysz. Z Polski wyjechał dość szybko, ale nawet na stronie agencji ma, że był *American Polish*.

To skróć pytanie: fajnie być w Magnum?

Fajnie. Magnum daje mi większą widzialność. Moja relacja z agencją to rodzaj symbiozy. Oni potrzebują świeżej krwi, nowego spojrzenia. Ja zyskałem dostęp do platformy o globalnym zasięgu. Szczerze mówiąc, to jestem zdziwiony, że zostałem tam zaproszony.

Mnie się wydawało, że zawsze chciałeś tam być?

W Magnum? Nie. Lata temu marzyło mi się, że będę pracował dla „Time Magazine”. Nawet pojechałem na spotkanie do nowojorskiej redakcji, ale wówczas nic z tego nie wyszło. W moim życiu często jest tak, że jak coś zaplanuję, to wychodzi na opak. Co rodzi rozczarowanie, a później okazuje się, że wychodzi mi to jednak na dobre. Fotografem też nie planowałem zostać.

Zmusili cię?

Z przymusu musiałem zaliczyć zajęcia z fotografii na ASP w Katowicach, gdzie studiowałem grafikę. Z aparatem wcześniej nie miałem kontaktu. Chciałem projektować plakaty.

Większość studentów po prostu zalicza te zajęcia i szybko o tym zapomina.

A u mnie kliknęło. Miałem świetnego pierwszego mentora, nieżyjącego już dokumentalistę Piotra Szymona. Nie wiem, co zobaczył w moich zdjęciach. Dziś sam wykładam fotografię w Szkole Filmowej im. Krzysztofa Kieślowskiego na UŚ i gdyby któryś ze studentów przyszedł do mnie z takimi zdjęciami, to pewnie w jakiś miły i oględny sposób zachęcałbym go do zmiany kierunku zainteresowań. Jednak Piotr Szymon uparł się, że zrobi ze mnie fotografa. To on namówił mnie do studiów w Instytucie Twórczej Fotografii – ITF w czeskiej Opawie.

Kokietujesz. Wszedłeś w świat fotografów jak w masło.

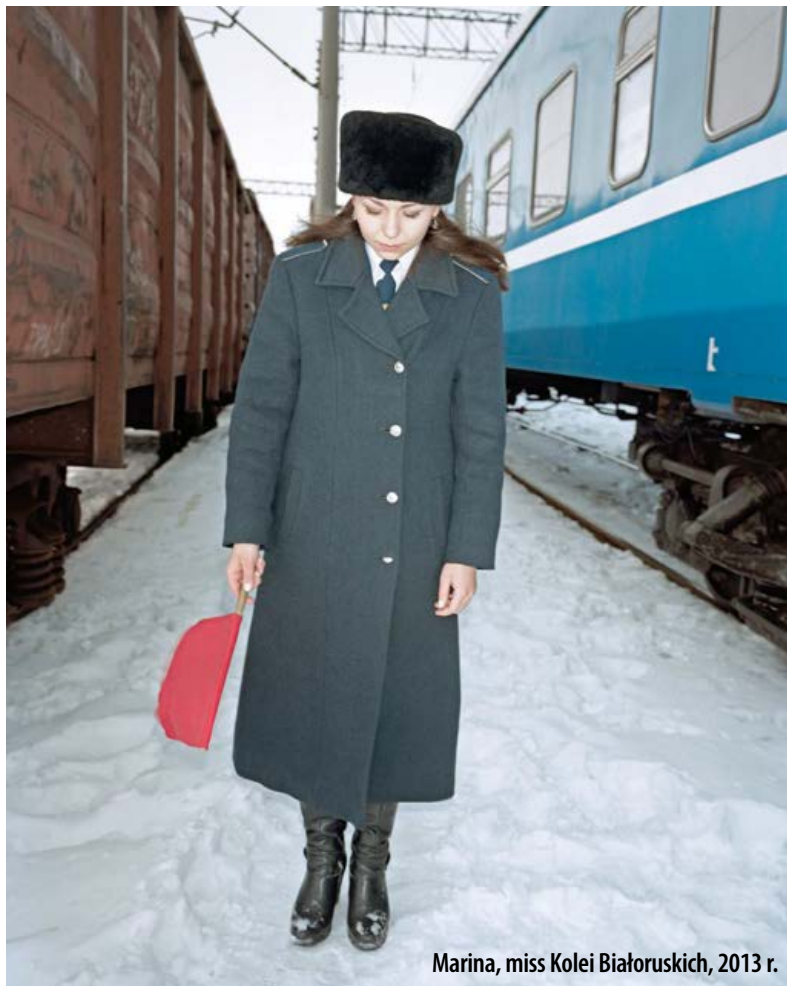
Rzeczywiście jakoś szybko się w tym świecie odnalazłem, chociaż niespecjalnie lubię wracać do swoich początków. Mój pierwszy cykl zdjęć z Górnego Śląska „Szare” powielił sporo śląskich stereotypów. Ale pracując nad nim, dużo się nauczyłem i było to dla mnie ważne doświadczenie. Pamiętam, że jeszcze na studiach pojechałem z tymi zdjęciami do Warszawy, żeby opublikować ►



Sasza i Nastia, niezależni rosyjscy administratorzy internetu, w Zatoce Obskiej, 2008 r.



Hodowcy koni świętują zakończenie wypasu, islandzkie Saudarkrokur, 2010 r.



Marina, miss Kolei Białoruskich, 2013 r.



Strajk Kobiet, Warszawa, 2021 r.

► je w Magazynie „Gazety Wyborczej”, co wtedy było wielką nobilitacją dla fotografa. Spotkałem się z fotoedytorem, który zdjęcia pochwalił. Ale powiedział, że nie może tego puścić, bo oni publikują swoich autorów, żeby fotoreporterzy nie narzekali, że ktoś z zewnątrz zabiera im łamy. Dzień po zrobieniu dyplomu na ASP pracowałem już w katowickiej „Gazecie Wyborczej”. Jak widzisz, bardzo wzięłem sobie do serca to, co usłyszałem w Warszawie.

Jak bardzo się rozczarowałeś?

Kiedyś powiedziałbym, że bardzo, skoro wytrzymałem tam trzy miesiące. Ale z dzisiejszej perspektywy widzę, że tamto doświadczenie też mi było do czegoś potrzebne.

Do czego może się przydać bieganie za obrazkiem na czas, robienie portretów w 15 minut i fotografowanie dziur w drogach?

To, co było zgorą w „Wyborczej”, czyli chroniczny brak czasu i przestrzeni na pogłębienie tematu czy kontaktu z bohaterem, wykorzystałem w Białorusi, kiedy pracowałem nad cyklem „The Winners”. Opisując propagandową fasadę reżimu, z założenia nie chciałem wchodzić w żadne relacje z fotografowanymi osobami. Nie szukałem, czy pod tą fasadą są jakieś prawdziwe emocje i uczucia. Mam tam rodzinę i wiem, że nawet gdyby były, to ich okazanie w przestrzeni publicznej jest bardzo trudne. Dlatego zamiast relacji z bohaterami budowałem dystans. Taka dehumanizacja była intencjonalna i miała ilustrować postawę reżimu wobec jego obywateli. Przychodziłem na spotkanie. Robiłem zdjęcie i wychodziłem. Sama metoda przypominała mi pracę w gazecie codziennej, intuicyjnie czułem, że sprawdzi się też przy tym projekcie.

Z „Wyborczej” też odszedłeś intuicyjnie?

Nauczyłem się tam szybko pracować. I nie miałem wrażenia, że mógłbym nauczyć się czegoś więcej. Już wtedy wszystko miało być szybciej, czego nie można było powiedzieć o służbowym aparacie, który robił zdjęcia z kilkusekundowym opóźnieniem. Któregoś dnia dostałem zlecenie na sfotografowanie meczu piłki ręcznej. Pamiętam, że ustawiałem kadr na pusty obszar boiska, licząc, że jak nacisnę spust, to tam przeniesie się akcja. Nie przywozłem ani jednego zdjęcia, na którym była piłka.

„Szare” wydrukowali w „Magazynie »GW«”.

Zdaje się, że był to jeden z ostatnich fotoreportaży na błyszczącym papierze.

Zawsze fascynowała mnie twoja elastyczność, to, że zmieniałeś style, negowałeś samego siebie.

Kiedy w 2010 r. jechałem robić projekt o Islandii, miałem poczucie, że w mojej dotychczasowej pracy utrwalił się powtarzalny schemat. Zrobiłem „Znikający cyrk”, później „Morze czarne” i „Siedem pokoi” – trzy różne i dobrze przyjęte projekty, ale stylistycznie dosyć podobne. Chciałem spróbować czegoś nowego.

To był taki ładny Milach, który ogólnie bardzo się podobał.

Słowo ładnie we współczesnej sztuce to nie jest komplement. Jadąc na Islandię, podjąłem technologiczne wyzwanie, pracując równocześnie wieloma aparatami – od wielkoformatowej kamery na statywie po zabawkowego instaxa. Zacząłem też robić zdjęcia iPhone’em, co w 2010 r. było jeszcze na granicy czegoś akceptowalnego w świecie profesjonalnych fotografów. Z dzisiejszej perspektywy to się wydaje banalne, ale wówczas uchodziło za nowatorskie. Dziś sytuacja niemal diametralnie się zmieniła.

Hasło „Wszyscy jesteśmy fotografami” ma w sobie jakąś upiorną obietnicę śmierci zawodu fotoreportera.

Kiedy dokumentowałem podwarszawski chaos architektoniczny, zdarzało mi się zapuszczać w miejsca zamknięte dla fotografa, jakieś place budowy, prywatne posesje. Nikt nie zwracał na mnie uwagi, bo pracowałem z dużym aparatem na statywie, miałem czerwoną kurtkę, więc brali mnie za geodetę. Dopiero jakiś nadgorliwy



Jedno ze zdjęć z Górnego Śląska z cyklu „Szare”, 2002 r.

ochroniarz zaczął się dopytywać, co ja tu mierzę, i zrobiła się awantura. Ja nie czuję się fotoreporterem, a tym bardziej nie mam poczucia, że jestem martwy. Technologia może być pomocna albo uciążliwa, ale to jedynie narzędzie do opowiadania świata. Wszyscy robimy zdjęcia, co niekoniecznie znaczy, że jesteście fotografami.

Zaproszenie do Magnum ja odczytuje jako premię za otwarcie się na ryzyko w tym, jak opowiadasz i o czym.

Kiedy w 2008 r. dostałem nagrodę na konkursie World Press Photo, był to sukces, a jednocześnie doświadczyłem swobodnego pocałunku śmierci. Było to nobilitujące i po ludzku miłe. Jednak okazało się, że liczba zamówień drastycznie spadła. Co trochę mnie przerażało, ale jednocześnie pozwoliło mi mocniej się skupić na swoich autorskich projektach. W zasadzie od tamtego momentu zacząłem zniknąć z rynku fotografii prasowej, który zresztą krótko po tym zaczął gwałtownie obumierać w konfrontacji z internetem. W pewnym momencie niemal całkiem porzuciłem klasycznie rozumianą fotografię dokumentalną. Dopiero zmieniające się tło polityczne w Polsce i praca w ramach Archiwum Protestów Publicznych przywróciły moją wiarę w sprawczość i użyteczność fotografii, zrozumiałem, że to medium może być perswazyjne i bardzo adekwatne do czasu, w którym się znaleźliśmy, nawet w świecie ciągłego scrollowania i braku uważności.

I ty się takiego świata boisz?

Ja się z nim nie bardzo zgadzam, ale też nie kłóczę, bo to bezcelowe. Zamiast kontestować rzeczywistość, lepiej o niej opowiadać. Jacek Kuroń mówił, żeby nie palić komitetów, tylko zakładać własne. I my poszliśmy tą drogą, kiedy zakładaliśmy A-P-P, czyli Archiwum Protestów Publicznych. Jesteśmy w sieci, ale wydajemy również własną gazetę strajkową. Z jednej strony jest to wydawnictwo niszowe, ale w kilkanaście miesięcy rozdaliśmy więcej egzemplarzy, niż sprzedaje dziennie „Gazeta Wyborcza”. Jednocześnie nie walczymy o kliknięcia, nie idziemy na kompromisy. Robimy swoje medium. Metodą chałupniczą, manualnie, ale daje nam to dużo satysfakcji. Zmieniamy świat, drażąc w nim kropkę.

Po latach waszej pracy reporterskiej za wschodnią granicą na Białorusi, w Rosji i Ukrainie jako kolektyw fotografów



Drut concertina na granicy meksykańsko-amerykańskiej, 2019 r.

Sputnik Photos nagle okazało się, że Wschód jest u nas, a w zasadzie w nas.

Dziś widzę, że to, co kiedyś robiliśmy za wschodnią granicą, było zarówno aroganckie, jak i kolonialne. Przyjeżdżaliśmy tam jako udziałowcy udanej transformacji, żeby pochylić się nad krajami, w których transformacja przebiegła, ogólnie mówiąc, tak sobie. Mieliśmy to złudne wrażenie, że przyglądaliśmy się temu wszystkiemu z bezpiecznego miejsca, że jesteśmy po właściwej stronie przemiany ustrojowej. Minęło kilka lat i te różnice coraz szybciej się zacierają.

Z drugiej strony Polska wstając z kolan to raj dla reporterów.

Przez lata Polska była krajem w zasadzie przezroczystym. Ani małym, ani dużym, średnio ciekawym, raczej peryferyjnym. Takie przynajmniej odnosiłem wrażenie, kiedy spotykałem się z ludźmi z Zachodu. Aż przyszedł PiS i nagle zrobiło się o nas głośno. Cały świat patrzył, jak kraj spektakularnie skręca na Wschód, bo z boku właśnie tak to wygląda.

Ty ten proces już znałeś, bo obserwowałeś te mechanizmy w Rosji i na Białorusi.

W 2004 r. po raz pierwszy pojechałem do Rosji. Choć po rosyjsku umiałem jedno zdanie: „moja mama jest lekarzem, a ja mam temperaturę”, to niemal od razu poczułem się tam jak u siebie. Być może ze względu na kresowe pochodzenie mojej rodziny. Po trzech miesiącach pobytu mówiłem już po rosyjsku. Przez lata na własne oczy obserwowałem, jak Putin, milimetr po milimetrze, zaciska Rosjanom pętlę na szyi. Przeczynałem, że to jest groźne. Ale dość naiwnie sądziłem, że to wyłącznie wewnętrzny problem Rosji.

Tylko że to nie jest opowieść w stylu: Putin kontra reszta świata. Po drodze był jeszcze Orbán, wcześniej Łukaszenka, wisienką na torcie okazał się brexit i Trump.

Z propagandą Łukaszenki zmierzyłem się w projekcie „The Winners”. Tak jak mówiłem, robiłem ten materiał na chłodno. W 2011 r. pojechałem przyglądać się białoruskiej propagandzie jako czemuś dla mnie egzotycznemu, kuriozalnemu. Wydawało mi się, że przyjechałem tam z demokracji. Nie doskonałej

i satysfakcjonującej, ale demokracji. Dziś ten dystans między Polską i Białorusią w wielu obszarach się skurczył, m.in. w przypadku polityki informacyjnej. Nie miałem pojęcia, że za kilka lat telewizja publiczna w moim własnym kraju będzie nadawała tym samym kodem co w Białorusi.

Później, kiedy pojawił się Trump z obietnicą postawienia muru na granicy z Meksykiem, pojechałem to zdokumentować. Obietnica postawienia muru dała Trumpowi władzę. Mur nie rozwiązał amerykańskich problemów z migracją, przemytem ludzi i narkotyków. Ale był mocnym symbolem zmiany, która dokonywała się w Ameryce i w Amerykanach. Robiąc tamten materiał w 2018 r., również nie wierzyłem, że za chwilę w Polsce powstanie podobny mur. Aż uświadomiłem sobie, że to, o czym jeździłem opowiadać, mam już za oknem. Nie trzeba nigdzie jechać. Wystarczy wyjść na spacer. Tylko że temu, co dzieje się tutaj, nie potrafię przyglądać się z takim klinicznym dystansem, z jakim przyglądałem się wcześniej m.in. w Białorusi.

Twoja fotografia już od dawna się nie przygląda.

To jest właściwie zdjęcie-plakat.

Być może, ale z pewnością fotografia, którą robię od kilku lat, nie stosuje się do reguł tradycyjnie rozumianego reportażu, chociaż formalnie korzysta z tego języka. Dla mnie reporter nie powinien być tak skrajnie subiektywny jak ja. Jestem zaangażowany po jednej stronie. I nie można mówić, że to jest spór polityczny, bo to jest spór cywilizacyjny. To jest walka o wolność, o to, ile i co może władza. W tym układzie zawsze interesuje mnie słabszy. A słabsze jest zawsze społeczeństwo. Władza ma pełną przewagę i łatwość z korzystania z monopolu na przemoc. PiS buduje system, który jest coraz bardziej opresyjny. I tu nie ma żadnej równowagi, więc trudno mi niuansować, budować jakąś symetrię. Myślę, że cała ta sytuacja już wymknęła się spod kontroli. W tym sensie, że media rządowe stały się parodią mediów. Nie mają już nic wspólnego z informowaniem. Ja też już nie informuję, tylko krzyczę, zanim będzie za późno.

ROZMAWIAŁ JULIUSZ CŹWIELUCH
FOTOGRAFIE RAFAŁ MILACH

Koniec Klondike nad Bałtykiem

Skończyły się deweloperskie złote czasy w nadmorskim eldorado.
Na dobre czy tylko chwilowo?

RYSZARDA SOCHA

Problem ze sprzedażą nieruchomości wypożyczynkowych nad morzem mają teraz zarówno deweloperzy wchodzący z nową ofertą, jak i właściciele apartamentów, którzy z różnych względów chcieliby się ich pozbyć. – *Nowych lokali na sprzedaż jest coraz więcej i są niebotycznie drogie. Ponieważ rosną koszty materiałów i robocizny, nie ma specjalnie pola do obniżki* – relacjonuje Mirosław Król, ekspert finansowy, który wraz z partnerami prowadzi biuro nieruchomości. Jego biuro miało kilku klientów, którzy chcieli sprzedać apartamenty kupione ileś lat temu. – *Zainteresowanie – ocenia – było mierne. Kończyło się na rozmowie wstępnej.*

– *Tyle jest tego nad morzem i w górach, że ten rynek zwolnił, już się nasycił* – diagnozuje Marlena Kosiura, analityczka rynku,

założycielka portalu inwestycjewkurortach.pl. Serwis internetowy Business Insider ujął sprawę dosadnie: „Deweloperzy zalali brzegi Bałtyku apartamentami. Teraz muszą na nich zarobić”.

Nakręcanie

– *W 2020 r. w wakacje sprzedaliśmy w Rogowie 180 lokali* – wspomina Mateusz Lachowicz z Shelter Hotel&Apartments. – *Kolejka jak do mięsnego stała. Rezerwacje robiliśmy na 15 minut, zamiast na 1–2 dni. Ale to była anomalia.*

A było co sprzedawać: 550 apartamentów w ciągu 3,5 roku. Na starcie liczyli za metr kw. po 10 tys. zł netto (trzeba dodać 23 proc. VAT), pod koniec trzy razy tyle. A to nie Sopot czy Świnoujście, kurorty całoroczne. Miejsce jest piękne, dziewicze, między Bałtykiem a przymorskim jeziorem Resko, ale wybitnie



Zespół apartamentowców Dune Resort w Mielenie.

sezonowe. W pobliżu jeden sklep i jedna restauracja. Całoroczna baza gastronomiczna i rozmaite atrakcje będą, gdy Shellter ukończy budowę 5-gwiazdkowego hotelu (w planach maj 2024 r.).

– Teraz na pewno jest ciężiej. Jeśli chodzi o sprzedaż, podniósł się minimalny próg cenowy – stwierdza Lachowicz. – 10 lat temu można było kupić lokal za 300 tys. zł, obecnie za 600 tys. Średniego klienta, a takich jest najwięcej, przestaje być stać na taki zakup.

Nabudowano do wyboru, do koloru. Od obiektów czysto apartamentowych, przez aparthotele, po condohotele. Te ostatnie od aparthoteli różnią się ofertą usług, nieodbiegającą od hotelowej (restauracje, bary, baseny, spa itp.). Całość działa jak normalny hotel, choć pokoje mają różnych właścicieli, którzy zarabiają na tym, że zainwestowali. Condo od angielskiego *condominium* – współwłasność. Oferty deweloperskie często zaczynają się od zdania: „Zostań właścicielem kawałka hotelu”.

Według raportu Emmerson Evaluation „Rynek hoteli oraz condohoteli w Polsce 2022” w pasie nadmorskim, gdzie funkcjonuje blisko 18,5 tys. apartamentów i pokoi condohotelowych, do 2024 r. ma przybyć jeszcze 2,5 tys., które są w budowie. Tyle samo buduje się w górach, gdzie obecnie jest ich 12,5 tys. Na aglomeracje przypada 8,7 tys. plus ponad tysiąc w budowie. Mazury na tym tle to margines – niecały tysiąc plus 265 w perspektywie.

A to przecież nie wszystko. Do apartamentów i hoteli dołączyły w ostatnich latach rosnące jak grzyby po deszczu tzw. osady turystyczne – mniejsze, większe i wręcz gigantyczne skupiska bliźniaczych domków letniskowych, ustawionych ciasno dach w dach w zwarte szeregi niczym koszary. Podobno ich inwazję na polskim gruncie zainicjował Piotr Śledź, właściciel firmy Bocian Pożyczki. Dużo tego widać na środkowym wybrzeżu (Rowy, Mielno, Kołobrzeg, Ustronie Morskie).

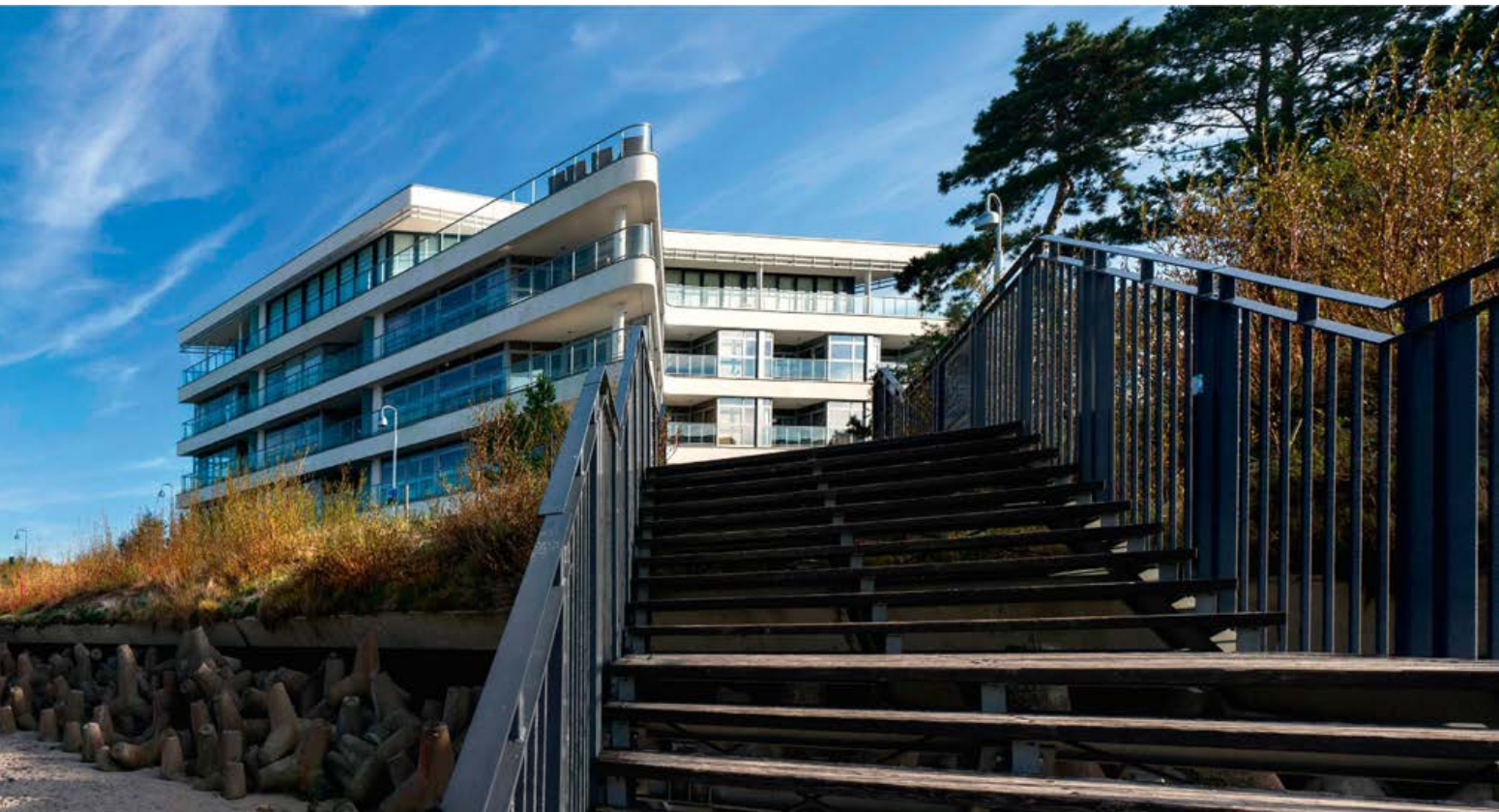
W 2019 r. dynamiczny rozwój rynku apart- i condohoteli zaniepokoił Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów, który przesłał do deweloperów ankietę z pytaniami o składane klientom obietnice, ile to procent kwoty zainwestowanej w lokal zwróci się im rocznie, gdy przeznaczą go na wynajem turystyczny. UOKiK wskazał na konieczność uwzględniania w materiałach reklamowych informacji na temat ryzyka tego typu inwestycji. Część ekspertów mówiła wtedy o condohotelowej bańce.

Ale ryzyko lepiej niż przestrogi UOKiK i ekspertów uświadomiła nabywcom pandemia, która mocno uderzyła w turystykę. Apartamenty nie zarabiały i nawet najlepsi operatorzy, którym właściciele powierzyli je w zarząd, nie mieli z czego płacić kwot wynikających z umów. Trzeba je było renegocjować. Na szerszą skalę wszedł, wcześniej mało popularny, model prowizyjny, który nie operuje określonym sztywno procentem wartości lokalu, tylko w określonych proporcjach dzieli pieniądze uzyskane z wynajmu w danym roku. Najczęściej 30 proc. pozostaje u operatora, a 70 proc. trafia do właściciela lokalu. Choć są też inne rozwiązania (np. podział fifty-fifty, ale właściciel nie może zarobić mniej niż 5 proc. wartości lokalu).

Najpierw apartamentowo-condohotelowy boom napędzały niskie oprocentowanie lokat, jakie oferowały banki. Potem inflacja i chęć pozbycia się „gorącego” pieniądza. Deweloperzy chwyтали okazję.

Hamowanie

– Pojawiło się na tym rynku dużo młodych spółek, bez kapitału i bez doświadczenia – mówi Marlena Kosiura. – Widać opóźnienia w projektach, które dawno powinny wystartować. Od Mielna po Świnoujście powstało bardzo dużo apartamentowców. W samym Ustroniu Morskim widziałam kilkanaście inwestycji. W tym przy głównej drodze, gdzie nie ma ani morza, ani ciszy. ►



► *Bez charakteru wczasowego. Dużo buduje się w miejscowościach sezonowych, jak wspomniany Ustroń, Sianożęty czy Dziwnówek. Deweloperzy zachwalają: zarabiał cały rok na tych apartamentach. Ale jak? W miejscowościach, gdzie po sezonie nic się nie dzieje? I właściwie od października trzeba to zamknąć i czekać do kwietnia. Z kolei w Kołobrzegu apartamentów i hoteli jest już tak dużo, że nawet w sezonie trwa walka na ceny wynajmu i one spadły. To co dopiero po sezonie.*

Kosiura wylicza inwestycje, które się opóźniają. Jak Baltic Wave, hotel budowany w systemie condo w Kołobrzegu: 200 m od plaży, 50 m wysokości, 14 kondygnacji, 468 apartamentów, baseny, restauracje, centrum konferencyjne i spa, standard 5-gwiazdkowy. Pod koniec 2019 r. zakończenie inwestycji planowano na koniec 2021 r. Potem pakiet kontrolny spółki deweloperskiej Baltic Wave kupiła firma budowlana. Ale finału nie widać. Odwlekają się plany otwarcia hoteli sieci Mövenpick, zapowiadanych zarówno nad morzem, jak i w górach (m.in. Kołobrzeg, Zakopane, Karpacz). W sumie miało ich powstać sześć. Wszystkie miały już działać, ale na razie żaden nie został otwarty. Podobno najszybciej ma szansę wystartować Karpacz (cena netto w pełni wyposażonego pokoju: 792 tys. zł).

System condo wybiera coraz więcej deweloperów hotelowych. Nie tylko ze względu na koszty kredytów bankowych, ale też po pandemiczną ostrożność i wymogi stawiane przez banki. – *To jest czysta matematyka – mówiła Izabela Kuszner z Banku Pekao SA podczas branżowej konferencji, zorganizowanej przez miesięcznik „Hotelarz”. – Przy obecnych stopach procentowych i kosztach funkcjonowania hotelu, bez 50-procentowego wkładu własnego ten projekt bardzo rzadko generuje środki wystarczające do obsługi kredytu. Po prostu. To nie jest czyjaś zła czy dobra wola, tylko proste wyliczenia.*

Deweloperzy szukają chętnych, ale ci już nie walą drzwiami i oknami, bo podobny zwrot kapitału mogą teraz uzyskać z lokat bankowych. Część wybiera mieszkania w dużych miastach i mniej kłopotliwy wynajem długoterminowy. Albo kupuje za granicą, np. w Hiszpanii. – *Wcześniej lokale i apartamenty w kurortach sprzedawały się na etapie dziury w ziemi, a teraz czekają gotowe, do wyboru, tylko kupować –* opowiada Marlena Kosiura.

Wabienie

W Darłównu uwagę przyciąga wykop tuż obok kładki przyrodniczo-spacerowej nad wydmą. Dogorywają tu kępy chronionego mikołajka nadmorskiego. Z przyrodniczego punktu widzenia to lokalizacja barbarzyńska, z deweloperskiego – top of the top. Na ogrodzeniu szyld: „The View Hotel”. Ma być 5-gwiazdkowy, w systemie condo. Inny obiekt tego dewelopera ma wyrosnąć z dziury w ziemi w Międzywodziu. Na stronie internetowej zachęta: „Zostań współwłaścicielem Radisson Blue Resort Międzywodzie”. Jakie są planowane terminy zakończenia budów? Ile pokoi znalazło nabywców? Przedstawicielka dewelopera musi się skontaktować z zarządem firmy. Potem przestaje odbierać telefon.

W Pobierowie, gdzie buduje się hotel gigant firmy Gołębiewski, w maju br. zaczął przyjmować gości hotel Linea Mare: 235 apartamentów, standard 5-gwiazdkowy. Został wybudowany ze środków własnych dewelopera, który teraz oferuje apartamenty na sprzedaż (cena od 20 do trzydziestu kilku tysięcy złotych za metr kw. netto). Mateusz Synoradzki z TOM Nieruchomości (deweloper) uważa, że jeśli chodzi o hotele, to rynek w miejscowościach turystycznych nie jest jeszcze nasycony, i że problem ten dotyczy raczej obiektów bez pełnego zaplecza (restauracje, bary, baseny i inne atrakcje). Nie powie jednak, ile pokoi w Linea Mare znalazło już nabywców. Więc chyba szał nie ma.

Tu i ówdzie ludzie z branży deweloperskiej przyznają, że jak zmiłowania czekają, aby banki obniżyły stopy procentowe. Liczą, że wróćą dobre dni. Wielu wabi szylde znanej sieci, w ramach której ma działać ich hotel. Zdaniem Marleny Kosiury taki szyld to bardziej obietnica na etapie sprzedaży niż gwarancja. Często służy deweloperom do tego, żeby drożej sprzedać albo uwiarygodnić projekt, zwłaszcza jeśli sami mają znikome doświadczenie w budowaniu obiektów hotelowych.

Jednak powoli pojawiają się też mniej banalne pomysły, by pozyskać nabywców. „Niepowtarzalna inwestycja na gdańskim wybrzeżu. Ostatnie dzikie plaże, z szerokim pasmem wydm, które chronią przed wiatrami” – tak zachwala spółka Dekpol Deweloper inwestycję Sol Marina w Wiślinie, ze 20 km od centrum Gdańska. Od plaż na Wyspie Sobieszewskiej, bardziej lub mniej dzikich, dzielą ją ok. 3 km, w tym most nad Martwą Wisłą. Raczej nie jest to lokalizacja marzeń.

Powstaje tu w trzech etapach kompleks 360 apartamentów. Pierwszy etap (92 lokale) został zamknięty w 2021 r. Jest sprzedany. Drugi (127 lokali) finiszuje we wrześniu. Oddanie reszty (140) zaplanowano na III/IV kwartał 2024 r. Z etapów II i III do sprzedaży pozostało ok. 60 apartamentów (26–82 m kw., w cenie netto od 22 tys. zł za m kw., górnym pułapem firma chwalić się nie chce). W sierpniu br. wystartował należący do kompleksu 10-piętrowy 4-gwiazdkowy hotel, budowany w systemie condo. Ze 130 pokoi na nabywców czeka jeszcze 40, w cenie ok. 20 tys. zł netto za m kw.

Niektórzy, pływając po okolicy, natrafiali na Sol Marinę przypadkiem, widząc ją od strony wody. Bo główną atrakcją, wabikiem tego kompleksu jest przystań z własnym kapitanatem i klubem jachtowym. Część nabywców apartamentów zniechęciła możliwość zakupu miejsca postojowego w marinie (300 tys. zł netto). – *To sięgnięcie po mniej atrakcyjne grunty i testowanie rozwiązań na naszym rynku mało spotykanych albo raczkujących –* konstatuje Piotr Tarkowski, ekspert rynku nieruchomości.

Wyróżnianie

W położonych koło Gdyni nad Zatoką Pucką Mechelinkach budynek dla własnej spółki deweloperskiej Pekabex Origin stawia Pekabex, producent nowoczesnych prefabrykatów. Rosną znacznie szybciej niż z tradycyjnych materiałów. Starzy mieszkańcy Mechelinek patrzą na nie kosym okiem. – *To mała miejscowość rybacka, gdzie tu w centrum pięć bloków po trzy kondygnacje –* sarka właścicielka pensjonatu po sąsiedzku. – *To nie są gabaryty na Mechelinki. Zmieniają charakter miejscowości.*

Lokalizacja jest atrakcyjna – 200 m od brzegu zatoki i plaży. Projekt w Mechelinkach wyróżnia się tym, że oprócz dwóch typowych apartamentowców na wynajem krótkoterminowy powstaje budynek przeznaczony dla seniorów do zamieszkania lub wynajmu długoterminowego (58 lokali, 28–48 m kw., 1–3 pokoje), z możliwością uzyskania wsparcia w życiu codziennym (np. zakupy, sprzątnięcie, reagowanie na przycisk SOS umieszczony w każdym apartamencie). Z pomieszczeniem klubowym na parterze budynku. Kolejny element tej układanki to centrum rehabilitacji dla osób uczestniczących w długotrwałej rehabilitacji stacjonarnej. Ceny apartamentów: 17 800 zł brutto za m kw., w budynku senioralnym – 14 700 zł brutto (za stan deweloperski, do wykończenia). Jak to się sprawdzi w praktyce, dopiero się okaże.

Takie koncepty, bardziej skomplikowane, wymagające większego wysiłku, pokazują, jakich dróg szukają teraz deweloperzy. Nad Bałtykiem coraz trudniej zarobić, ale i coraz trudniej znaleźć niezabudowane jeszcze kawałki wybrzeża.

RYSZARDA SOCHA



SONDAŻE
DEBATY

WYBORY

WYBORY 2023

WYBORY 2023

ANALIZY

PUBLICYSTYKA

**POSŁUCHAJ,
ABY WYBRAĆ**

RADIO I PODCASTY

Słuchaj na tokfm.pl/wybory lub w aplikacji mobilnej TOK FM

Reguły skubania

Już 24 państwa europejskie wprowadziły tzw. windfall tax, podatek od nadmiarowych zysków. Czy będzie to nadzwyczajne rozwiązanie na niezwykłe czasy? Czy już na zawsze? I kiedy w Polsce?



ŁUKASZ WÓJCIK

Na początku sierpnia włoski rząd zadekretował kolejny, trzeci już podatek od tzw. zysków nadzwyczajnych, tym razem wymierzony w sektor bankowy. Danina będzie jednorazowa: 40 proc. od dochodów odsetkowych netto, czyli różnicy między odsetkami płaconymi i pobieranymi przez banki.

Symptomatyczne było to, że owego nowego podatku nie ogłosiła osobiście pre-

mier Giorgia Meloni ani nawet jej minister finansów Giancarlo Giorgetti, tylko koalicyjny partner i minister infrastruktury Matteo Salvini. I to na późnowieczornej konferencji prasowej, na której padło niewiele konkretów. Jak tłumaczył Salvini, banki bezprecedensowo skorzystały na podwyżkach stóp procentowych Europejskiego Banku Centralnego, skubiąc na potęgę kredytobiorców. I jednocześnie (dokładnie jak w Polsce) ociągają się z podwyższeniem oprocentowania kont oszczędnościowych. W efekcie – mówił Salvini – „banki stać na nowy podatek, a wielu Włochów cierpi”.

W Europie Włochy są liderem karnych podatków. W 2015 r. Rzym wprowadził tzw. podatek Robin Hooda – dla nadmiarowych zysków firm energetycznych. Wówczas sąd konstytucyjny uznał go za niezgodny z ustawą zasadniczą: jako łamiący zasadę równości wobec prawa, ale jednocześnie nie kazał rządowi oddawać pieniędzy, żeby nie pogrzebać budżetu.

W marcu zeszłego roku ówczesny minister finansów Mario Draghi na podstawie opłaconego VAT zidentyfikował nadmiarowe zyski firm i obłożył je najpierw 10-, a potem 25-procentowym ekstrapodatkiem. Wtedy Draghi liczył na dodatkowe 10 mld euro w budżecie, ale szło to z wielkimi oporami, firmy broniły się w sądach. I choć Draghi groził dodatkowymi karami, udało się zebrać tylko nieco ponad 2 mld euro.

Teraz ma być inaczej, przekonywał Salvini, nie podając jednak źródeł swojego optymizmu.

1 W polskim terminie „podatek od nadmiarowych zysków” kluczowe jest sformułowanie: nadmiarowe. Nie oddaje ono w pełni znaczenia oryginału *windfall*. To angielskie słowo oznacza spad, owoc strącony z drzewa przez wiatr, ale metaforycznie może również oznaczać fuks, łut szczęścia, nagły przyływ gotówki bez własnej pracy i zasługi.

Co to w zasadzie znaczy: nadmiarowe zyski? Nie ma tu uzgodnionej definicji. Ale właśnie o brak ostrości tu chodzi. W ekonomicznie niestandardowych czasach państwo rości sobie prawo do niestandardowych rozwiązań fiskalnych, wywracających do góry nogami dotychczasowe zasady pobierania przez państwo danin – przede wszystkim ich przewidywalność i wymiar.

Bez wątplenia państwom we wprowadzaniu takich podatków pomaga ich popularność. Według niedawnego badania Eurobarometru ponad 60 proc. obywateli Unii Europejskiej uważa je za uzasadnione w czasie kryzysu. Dziś nawet tak liberalne gospodarzo inżynierie jak OECD traktują podatek od niezamierzonych zysków jako uprawnione źródło pomocy finansowej dla gospodarstw domowych będących w potrzebie. Sekretarz generalny ONZ António Guterres wezwał nawet wszystkie rządy do opodatkowania nadmiarowych zysków.

Trudno więc się dziwić, że kolejne europejskie rządy coraz częściej traktują ekstrapodatki jako stały element polityki fiskalnej, łącący dziurę budżetową w czasach wysokich stóp procentowych i rosnących potrzeb socjalnych. Co więcej, podatki te rozprzestrzeniają się na kolejne sektory gospodarki, pierwotnie

ILUSTRACJA MARCIN BONDAROWICZ

wycelowane w firmy energetyczne, już dawno w wielu krajach Unii Europejskiej objęły również sektor bankowy i celują w kolejne. Dotykają zatem nie tylko tych, którzy mają w powszechnej opinii dużo kasy, ale przede wszystkim tych, których powszechna opinia z zasady nie lubi.

2 We wrześniu ubiegłego roku Komisja Europejska zaproponowała wprowadzenie unijnej tzw. daniny solidarnościowej, 33-procentowego ekstrapodatku dla firm energetycznych, i ograniczenie przychodów od megawatogodziny do 18 euro. Bruksela liczyła, że uda się w ten sposób zebrać z rynku dodatkowe 140 mld euro. Co ważne, oficjalnie chodziło jednak nie o ratowanie krajowych budżetów, ale stabilizację cen energii i obronę konsumentów w czasie narastającego kryzysu energetycznego, który wywołała rosyjska agresja na Ukrainę.

Z praktyką bywa różnie. Kilka dni temu „Financial Times” napisał, powołując się na raport audytorów z KPMG, że w Europie działa już albo zaraz zacznie działać ponad 30 ekstrapodatków w 24 krajach. Coraz częściej dotyczą jednak sektorów, które bezpośrednio nie ucierpiały w związku z wojną. Podatki w stylu włoskim obowiązują już m.in. w Hiszpanii, Czechach, Litwie. O krok od nowego podatku bankowego jest Łotwa. Przy czym w biznesie bankowym nadmiarowego zysku ostatnio w zasadzie nie było: od marca wartość akcji europejskich banków spadła o ok. 10 proc.

3 Banki to jednak dopiero początek i jeśli chodzi o zakres extraordinaryjnej daniny, coraz częściej *sky is the limit*, granicą jest niebo. Na Węgrzech zielone światło Komisji wykorzystano głównie do ratowania budżetu. Od początku 2023 r. 60-procentowy ekstrapodatek dotyczy węgierskich firm energetycznych oraz banków, ale również np. firm ubezpieczeniowych i farmaceutycznych, o ile ich zyski stanowią 120 proc. średniej z lat 2018–21. I jest doliczany do zwykłego, 19-procentowego podatku dla firm.

Podobnym podejściem odznaczają się Portugalia, która domierzyła podatki spożywczym hurtownikom (33 proc.), oraz Chorwacja i Bułgaria, które już wprowadziły lub zaraz planują skubanie wszystkich, bez względu na branżę, z wystarczająco wysokimi zyskami.

Polski rząd też zapowiedział extraordinaryjną daninę – do 150 euro za megawatogodzinę plus 50-procentowy podatek od wszystkich dużych firm, nie tylko energetycznych. I to od wszystkich zysków przekraczających średnie dochody

z ostatnich lat. Pozyskane z niego fundusze, według ministra Jacka Sasina, miały być przeznaczone na wsparcie konsumentów i samorządów najbardziej dotkniętych podwyżkami cen energii. Ostatecznie w październiku 2022 r. rząd Mateusza Morawieckiego ograniczył tylko ceny energii.

Sprawa nadzwyczajnego podatku ucihła na wiele miesięcy. W tym czasie premier Morawiecki na forum międzynarodowym zgłaszał m.in. pomysł składki solidarnościowej, ale... od norweskich biznesów naftowych w ramach pomocy dla państw nieroponośnych, np. dla Polski. I dopiero w połowie lipca Sejm przyjął projekt ustawy o składce solidarnościowej od „nadzwyczajnych zysków”, jednak tylko związanych z wydobyciem węgla i produkcją koksu w 2022 r. Senat dorzucił poprawkę ograniczającą podmioty objęte nową daniną tylko do zakładów zatrudniających powyżej 3 tys. pracowników, który to warunek spełnia w Polsce tylko jedna firma – Jastrzębska Spółka Węglowa.

4 Minister finansów Ludwika XIV Jean-Baptiste Colbert powiedział kiedyś, że sztuka opodatkowania polega na takim skubaniu gęsi, aby przy jak najcichszym syczeniu uzyskać jak najwięcej piór.

We Włoszech po niedawnym ogłoszeniu nowego podatku dla banków syczenie okazało się na tyle głośne, że dosłownie dzień później minister finansów zaczął ograniczać straty, które do jego wystąpienia wynosiły już ponad 10 mld euro – o tyle zmniejszyły się giełdowe notowania włoskich banków (rząd prognozował, że w ramach nowego podatku zbierze 2–3 mld euro). Minister w trybie awaryjnym przekonywał więc, że podatek nie będzie większy niż 0,1 proc. aktywów opodatkowanego banku.

– *Włoski rząd założył, że to będzie prosty sposób na zwiększenie przychodów państwa. W dodatku wymierzony w przeciwnika, którego nikt nie będzie bronił* – uważa włoski ekonomista Andrea Capussela, autor książki „The Political Economy of Italy’s Decline” (Ekonomia polityczna włoskiego upadku). Ale się przeliczył.

Pojawia się oczywiście argument, że takie podatki duszą inwestycje, szczególnie potrzebne w sektorze energetycznym, który przecież szuka nowych źródeł energii. Tym bardziej że przy wysokich cenach surowców energetycznych opłacalna staje się eksploatacja źródeł, które przy niskich cenach były zbyt drogie.

Zwolennicy kapitalizmu uważają, że firmy powinny być przez rynek nagradzane za podejmowanie biznesowego ryzyka. I że te nagrody nie powinny być

przedmiotem extraordinaryjnych podatków, w dodatku wymierzanych post factum. Ale przecież w kontekście wojny w Ukrainie i kryzysu energetycznego nie podjęły one świadomie żadnego ryzyka, a zostały nagrodzone. Dlaczego więc karę w postaci wyższych cen energii powinni ponosić konsumenci, którzy przecież tym bardziej sobie na to nie zasłużyli?

5 Ten ciąg logiczny nie jest zupełnie fałszywy, a tylko absurdalnie uproszczony. To prawda, że np. brytyjskie firmy wydobywające gaz spod dna Morza Północnego ubiegły rok zakończyły rekordowymi zyskami w związku ze wzrostem cen energii. Tak jak niemieckie firmy energetyczne. I to prawda, że wiele gospodarstw w Europie zapłaciło w zeszłym roku rekordowe rachunki za prąd. Ale...

Ale według Andreasa Klutha, ekonomicznego komentatora serwisu Bloomberg, podatek od nadmiarowych zysków to cyniczny populizm i związku z tym – zła polityka. Kluth zwraca uwagę, że wszystkie te ożłoczone firmy już zapłaciły podatki – korporacyjne, dochodowe itd. I jeśli są w stanie zarabiać więcej przy nadzwyczajnej sytuacji na rynku, to dlatego, że wcześniej zainwestowały w technologię, sprzęt i infrastrukturę. Gdy planowały te inwestycje, zaryzykowały z nadzieją na przyszłe zyski – nie były pewne, co będzie się działo na rynkach, nie miały tajnych informacji o nadchodzącej agresji Rosji na Ukrainę. W takim przypadku moralna ocena ich ekstrazysków do niczego nie prowadzi.

6 Trochę to przypomina sytuację z początkiem pandemii, gdy brakowało masek. Te firmy, które najszybciej uruchomiły ich produkcję, zgarnęły krociowe zyski. Czy była to spekulacja czy elastyczność, która pomogła w walce z covidem? A co z twórcami szczepionek? Wielu z nich przez lata funkcjonowało na granicy bankructwa, ze znikomą szansą na sukces finansowy. A tu, masz, wirus zmienił wszystko. Znów: czy to spekulanci, czy bohaterzy?

Największy problem z podatkiem od niezamierzonych zysków nie polega na tym, że jakieś elitarne gęsi będą syczyć, że się im odbiera fundusze na inwestycje. Przekaz do inwestorów jest oczywiście niepokojący – wyłóżcie swoje pieniądze; jeśli wam się nie powiedzie, będziecie stratni; jeśli wam się powiedzie, to was dodatkowo opodatkujemy i też będziecie stratni. Problem polega na tym, że ostatecznie pióra będą musiały oddać zwykłe gęsi, czyli drobni udziałowcy opodatkowywanych firm i nabywcy ich produktów. ■

Historia wstawiana z kolan

ZIEMOWIT SZCZEREK

Podstawą dydaktyczną do nauki historii najnowszej w rosyjskich klasach 10. i 11. jest podręcznik napisany m.in. przez Władimira Miedińskiego, byłego ministra kultury i doradcy Władimira Putina. To etniczny Ukrainiec, wychowany w obwodzie czerkaskim, który po studiach w Moskwie wybrał jednak tożsamość rosyjską z całym dobrodziejstwem inwentarza, a szczególnie z jego nacjonalistyczno-tromtadracką częścią. Miediński to czciciel rosyjskiego imperializmu, zarówno tego carskiego, jak i komunistycznego. Twierdzi m.in., że co prawda terytorium Rosji jest dziś mniejsze od terytorium, jakie zajmował ZSRR czy Imperium Rosyjskie z czasów carów, to sytuacja ta „nie jest dana raz na zawsze”. Co ciekawe, nie przeszkadza mu to oskarżać innych

Od kilku dni rosyjscy uczniowie uczą się historii z nowego podręcznika. Niepokojąco dużo w nim stycznych z opowieścią wpajaną uczniom w szkołach serbskich, węgierskich i polskich.



o neoimperializm: a to „kolektywny Zachód”, a to np. Polskę, jest bowiem Miedziński wyznawcą tezy, że nasz kraj „tylko czeka”, by osłabionej wojną Ukrainie odebrać jej zachodnie terytoria. I to właśnie Miedzińskiego uważa się za jednego z twórców współczesnej polityki historycznej Rosji.

Warto zresztą pamiętać, że i sam Putin lubi sobie pohistoriozofować. Jego słynny artykuł, opublikowany krótko przed inwazją Rosji na Ukrainę, w którym rosyjski prezydent wywodził, że ukraińskość jest jedynie wariantem rosyjskości, toczka w toczkę zgadza się z tym, co głosi i pisze Miedziński. I czego można się dowiedzieć ze współtworzonego przezeń podręcznika.

Praktyka władz okupacyjnych na zajętych przez Rosję terenach Ukrainy zresztą sprawia, że słowo staje się ciałem: ukraińscy uczniowie uczą się historii przez pryzmat kremlofskiej narracji, a młodzi mężczyźni wcielani są do rosyjskiego

wojska, by walczyć z tymi własnymi współobywatelami, którzy nie zostali pobłogosławieni włączeniem do „rosyjskiego świata”.

Zachodnia ułuda

Trudno zatem się dziwić, że jednym z ważniejszych haseł zawartych w nowym rosyjskim podręczniku do historii jest słynny cytat z Putina – o tym, że upadek ZSRR był „jedną z największych katastrof XX w.”. Autorzy podręcznika sprzeciwiają się przy tym „jednostronnie negatywnej” ocenie historii powojennego ZSRR, przypominając radzieckie sukcesy naukowe czy intensywny rozwój krajów pozostających pod władzą Moskwy.

Z negatywów twórcy podręcznika koncentrują się nie tyle na stalinowskim terrorze czy na braku towarów w sklepach albo na nieudanym pościgu za zachodnim poziomem życia. Skupiają się raczej na – jak to podręcznik ujmuje – „wizerunku” rzeczzonego „zachodniego poziomu”, który wykreowała w umysłach ludzi radzieckich zachodnia kultura i reklama.

Wpaja się więc uczniom klas 10. i 11., że po drugiej wojnie światowej ZSRR został „jednym z dwóch najpotężniejszych mocarstw” na świecie. Sporo można się dowiedzieć na temat masowej produkcji lodówek w Moskwie i Mińsku. A żeby nie przesłodzić, pojawia się tam również mgliste wspomnienie o krwawo stłumionych protestach robotników w Nowoczerkasku w 1962 r. przeciwko podwyżkom cen.

Epoka pierestrojki przedstawiona jest jako mieszanina naiwności, pięknoduchostwa, braku jakiegokolwiek długoterminowego planu oraz kompetencji na szczytach władzy – tu szwarccharakterem jest oczywiście Michaił Gorbaczow. I to wszystko razem – dowiadujemy się z podręcznika – doprowadziło do wspomnianej już „największej katastrofy geopolitycznej XX w.”, czyli upadku ZSRR.

Później – pisze Miedziński ze współpracownikami – było już tylko gorzej. Aż do czasów Putina. Trudno się dziwić, że Rosjanie źle wspominają chaos i upadek państwa lat 90. – czasy, w których wzrost przestępczości, spadek poziomu życia i likwidacja całych segmentów nauki i przemysłu przemieszane były z gromkimi (i często pustymi) sloganami o demokracji, zaletach tych czy innych towarów oraz atrakcyjności amerykańskiego stylu życia.


Na tej właśnie propagandowej skale putinowska antydemokratyczna władza wzniosła swój imperialny gmach. I nowy rosyjski podręcznik do historii jest cementem spajającym tę skałę z władzą. Bo epoka Putina – wynika zeń – to wyprowadzenie Rosji z czasów „smuty” lat 90. i prosty marsz w kierunku świetlanej przeszłości: rosyjskie wojsko „przywróciło” Krym w rosyjskie granice, a trwająca nadal „specjalna operacja wojskowa” doprowadziła do „powrotu innych historycznych rosyjskich ziem”, które do tej pory pozostawały pod władzą „nazistów” rządzących Ukrainą.

Autorzy podręcznika są pewni, że „wyzwanie, które Rosji rzucił Zachód”, sprawi, że ich ojczyzna wyjdzie z konfliktu wzmocniona, a jej wieloetniczny naród – jeszcze silniej zjednoczony.

Prawda suwerenna

Rosja, oczywiście, nie jest jedynym krajem „demokracji nieliberalnej” (czy „suwerennej”, jak nazwał jej rosyjski wariant sam Miedziński), wprowadzającym własną, dość grubo ciosaną narrację do szkół. Wystarczy sięgnąć np. do podręczników, z których uczą się dziś uczniowie w Serbii rządzonej przez Serbską Partię Postępową, a tak naprawdę – przez jej przywódcę i prezydenta kraju, autokratycznego populistę Aleksandra Vučića.

Z książki do historii wydanej w Belgradzie w 2021 r. uczniowie nie dowiedzą się zbyt wiele o masakrze Boszniaków, dokonanej przez Serbów w Srebrenicy w 1995 r. Za to przeczytają, ►



Prezydent Władimir Putin z doradcą Władimirem Miedzińskim (drugi od lewej) zwiedza wystawę w moskiewskim Muzeum Zwycięstwa, 2021 r.

► że sąsiadująca z Serbią Czarnogóra, która oderwała się od Serbii w 2006 r., jest „serbskim państwem”. Opis zbrojnego konfliktu z Chorwacją koncentruje się na opłakiwaniu głównie własnych ofiar.

I nawet serbskie oblężenie Sarajewa w wyniku karkołomnej akrobacji intelektualnej udało się przedstawić w podręczniku tak, że największe współczucie budzą nie boszniackie ofiary oblężenia, a... Serbowie. Autorzy serbskiego podręcznika przyznają co prawda, że to „siły serbskie” utrzymywały blokadę Sarajewa (choć tylko „częściową”), ale koncentrują się tu na fakcie, że „wielu Serbów zostało uwiecznionych w mieście, bo „siły Muzułmanów nie pozwalały im się z niego wydostać”.

Wojna w Kosowie według podręcznika zakończyła się „agresją NATO na Serbię i pojawieniem się natowskich wojsk” w tej krainie, czego efektem były „liczne zbrodnie popełniane na serbskich cywilach”. Z podręcznika trudno się dowiedzieć, dlaczego NATO w Kosowie interweniowało.

Warto też sięgnąć do pomocy dydaktycznych wprowadzonych na Węgrzech. W podręcznikach dla klasy 8. pojawiła się np. treść przemówienia premiera Viktora Orbána wygłoszonego w Parlamencie Europejskim, kiedy to uzasadniał swój sprzeciw wobec przyjmowania uchodźców i migrantów.

„Jako byli kolonizatorzy są oni [mieszkańcy Zachodu – przyp. red.] przyzwyczajeni do imperialnego sposobu myślenia, w ramach którego to jest naturalna rzecz, że masy z dawnych kolonii pojawiają się w ich krajach. Są na to przygotowani, żyją z tym, posiadają taką kulturę – cytuję podręcznik. – Węgry nigdy nie były takim krajem ani się nim nie staną. Dla nas homogeniczność węgierskiej kultury, sposób myślenia, cywilizacyjne przyzwyczajenia są wartością”.

I w ten sposób fiksjacja szefa Fideszu na wątku, że wszystkie kwestie związane z migracją trzeba oceniać wyłącznie w kontekście kolonialnej przeszłości albo jej braku, trafiła do szkół. Podobnie jak podana w węgierskim podręczniku reguła głosząca, że „partie prawicowe są konserwatywne, a lewicowe – radykalne”, a radykalizm (w przeciwieństwie do „konserwatyzmu, biorącego pod uwagę najważniejsze aspekty idei narodowych, dawnych osiągnięć” itd.) dąży wyłącznie do odrzucenia „dawnych wartości”, w zasadzie nie dając nic w zamian, bo – jak dowiadujemy się z węgierskiego podręcznika – „wrażliwość społeczna może być również cechą prawicy”.

Śłynna jest już na Węgrzech wstawiona do podręcznika karykatura Unii Europejskiej: do wielkiej maciory w kapeluszu ozdobionym niemiecką flagą przysysają się prosiątka oznaczone flagami Grecji, Hiszpanii, Belgii i Portugalii. Węgierska świnka stoi obok i je własną paszę, co m.in. w kontekście faktu, jak bardzo reżim Orbána zależy od dystrybucji unijnych środków we własnym środowisku polityczno-biznesowym, wygląda jak symbol wyparcia.

Polski hit

Treści zawarte w węgierskim podręczniku do historii ustępują jednak rozmachowi polskiego podręcznika do przedmiotu historia i teraźniejszość (HiT), napisanego przez Wojciecha Roszkowskiego, historyka blisko współpracującego z Prawem i Sprawiedliwością.

O szarżach ideologicznych w podręczniku Roszkowskiego wiele już w Polsce napisano. Uczniowie mogą dowiedzieć się z niego m.in. o „eurokomunistach”, którzy na Zachodzie ukrywają się pod szyldami partii neoliberalnych czy ekologicznych. Owe teorie są oczywiście równie zasadne jak ta z rosyjskiego podręcznika o „nazistach” rządzących Ukrainą. Z książki Roszkowskiego można też, jak wiemy, nauczyć się o tym, że podczas festiwalu w Woodstock w 1969 r. ludzie głównie ginęli, a w wyniku rewolucji

obyczajowej seks zaczął „odczłowieczać ludzi”, stał się bowiem „czynnością rozrywkową”.

Roszkowski nie ogranicza się zresztą ani do historii, ani do teraźniejszości: odważnie sięga w wieczność. Niemal w stylu wyznawców Latającego Potwora Spaghetti wywodzi, że jeśli „braku istnienia Boga nie da się wykluczyć”, to automatycznie według niego pozbawia to sensu „kombinacje intelektualne marksistów i neomarksistów”. Braku istnienia Potwora Spaghetti też nie można wykluczyć, co pokazuje absurdalność podobnych tez.

A co do tego wszystkiego mają akurat „marksisci i neomarksisci” i dalszego polska edukacja została w czasach rządów PiS ściągnięta na tak infantylny poziom – o wiele bardziej dziecinny niż prosty narodowy egoizm serbskich nacjonalistów, partyjniactwo Orbána czy nawet rewanżyzm Putina – są to pytania, na które czytelnicy podręcznika Wojciecha Roszkowskiego odpowiedzi nie uzyskają.

Dokąd się potoczyć?

Co jednak łączy te wszystkie narracje? Można powiedzieć, że charakteryzujący „wstających z kolan” sprzeciw wobec narracji kultury „opresyjnej”, w tym wypadku głównie narracji Zachodu, uznawanego przez wszystkie te „wstające z kolan” interpretacje za wrogi, zdominowany bowiem aktualnie przez „lewacki” światopogląd.

To ten „lewacki” światopogląd ma sprawić, że Zachód, zamiast uprawiać geopolitykę w tradycyjny sposób, czyli przez zapasy w parterze, stał się zbyt autorefleksyjny. I w ten sposób niepotrzebnie się osłabia, „samobiczując się” za kolonialną przeszłość, co jest „na rękę Rosji” (to Roszkowski). Rosja – odwrotnie – zarzuca Zachodowi agresywny neoimperializm (choć jednocześnie atakuje Zachód za „lewacką słabość”), a sama próbuje ustawić się w roli światowego przywódcy ruchów antyneokolonialnych. Serbskie podręczniki krytykują Zachód głównie z egoistycznych powodów (my bijemy innych – jest dobrze, inni biją nas – źle), a węgierskie – po to, by wzmocnić władzę partii rządzącej.

Rzecz w tym, że na Zachodzie – tak jak w Rosji – również wstępują siły, które się z tą „zachodnią” narracją nie zgadzają. Własne podręczniki historii chętnie przepisałiby na nowo przecież przerażeni „wokeizmem” zwolennicy Donalda Trumpa, wyborcy Alternative für Deutschland, pragnący „urealnienia” pozycji Niemiec i powrotu do wspomnianej geopolityki rozumianej jako zapasy w parterze, czy Marine Le Pen. Dlatego właśnie takie kraje, jak Rosja, Węgry czy Serbia, jawnie wspierają zachodnich nacjonalistycznych populistów.

Pisowska Polska ma z tym jednak lekki problem. W gruncie rzeczy też ich popiera, bo taka jest konsekwencja bycia partią narodowo-populistyczną, choć na zasadzie „i chciałabym, i boję się”. Zdaje sobie bowiem sprawę z faktu, że jeśli tego typu populisci dojdą do władzy w Niemczech (bo w Rosji już rządzą, i to jeszcze bardziej radykalni i autokratyczni), to Polska znajdzie się w tej samej niefortunnej pozycji, w której już kilka razy w historii była, co zawsze kończyło się dla niej tragicznie.

Takie jednak są Rzeczpospolite, jakie ich młodzieży chowanie. I jeśli wszystko pójdzie tak, jak życzyliby sobie autorzy podręczników w „demokracjach liberalnych” czy „suwerennych”, to Rosja długo jeszcze będzie własnym kontestatorem światowego porządku, bez podania własnego alternatywnego programu, Serbia pozostanie wiecznym skrzywdzoną ofiarą, dziecinnie zamykającą oczy na szerszy kontekst zdarzeń, Węgry – rządzoną przez „wieczny Fidesz”, „naszą chatą z kraja”. A Polska? Kręcącym się pomiędzy „wschodnią” autokracją i zachodnim typem demokracji bączkiem, niemogącym się zdecydować, w którą stronę się potoczyć.

ZIEMOWIT SZCZEREK

Masowo trute, odstrzeliwane, a nawet eksportowane na mięso do Azji. Tak wygląda sytuacja bezdomnych zwierząt w Egipcie.



Zeszli na psy

TEKST I FOTOGRAFIE AGNIESZKA SOWA

Szczeniaki urodziły się krótko po tym, jak Maja przyleciała do Marsa Alam. Początkowo nie wiedziała, ile ich jest, dopiero gdy matka wyprowadziła je z jamy, okazało się, że sześć. Identyczne, niemal jak klony, zupełnie jakby to był miot jakichś rasowców, a nie kundli. Maja, biołóżka morska, domyślała się dlaczego: rodzice byli ze sobą blisko spokrewnieni.

Matka była już bardzo wychudzona, więc Maja dokarmiła i ją, i szczeniaki. Wkrótce zebra pokryły się im warstwą tłuszczu, o wychudzeniu nie było już mowy, ale mimo to po trzech miesiącach nie było już żadnego z małych. Znikały pojedynczo lub parami. I nagle, po kilkunastu godzinach, martwy szczeniak, bez żadnych widocznych obrażeń, leżał na wprost wejścia do domu. Maja nie mogła zrozumieć,

co się dzieje. Okazało się, że zaszywały się w jamach albo w śmietniku czy w dziurze pod fundamentami niewykończonego domu. Znajdowały je, już martwe, miejscowe dzieci i przynosiły Mai, być może dlatego, że uważały, że to jej szczeniaki.

Gdy matka szceniąt została nagle bezdzietna, zaopiekowała się siódmką młodszych maluchów, które urodziły się pięć tygodni wcześniej. Wyglądały ►

► identycznie jak te jej, które zniknęły, tylko były jeszcze o połowę mniejsze. Już drugiego dnia przyniosła im martwą kozę.

Matka młodsze miotu zniknęła razem z ostatnim starszym szczeniakiem, ale dzieci najwyraźniej nie odnalazły jej ciała. Albo może uznały, że to nieistotne i przynosiły tylko szczeniaki, którymi dziewczyna się zajmowała. Inne dorosłe psy też zniknęły (a było ich w najbliższym sąsiedztwie około 20 i po kilku tygodniach w Marsa Alam, pustynnym kurorcie nad Morzem Czerwonym, Maja już je rozróżniała, choć też były do siebie bardzo podobne), ale żadnego nigdy nie widziała martwego. Do czasu historii ze szczeniakami miała nadzieję, że po prostu zmieniają rewir, co jednak było trochę dziwne, bo stada kilkunastu psów najczęściej żyły na terenie jednego kwartału z dostępem do jednego śmietnika.

– Teraz zastanawiam się, czy one też nie zostały otrute – mówi Maja. Chociaż wokół są nowe, kilkupiętrowe „apartamentowce”, mieszkający w nich ludzie często mają pod domem kurnik lub trzymają kozy, które mogą się stać łupem bezdomnych psów. A to właściciela kóz lub kur może zdenerwować.

Za taki odwet właściwie nic nie grozi. Dopiero od niedawna kodeks karny przewiduje do sześciu miesięcy więzienia lub grzywnę za zabicie zwierzęcia domowego. W praktyce nic takiego się nie dzieje. Policja, nawet gdyby dostała takie zgłoszenie, raczej nie będzie prowadzić dochodzenia, żeby ustalić, kto truje bezdomne psy. Tylko zabicie zwierzęcia, które do kogoś należało, jest postrzegane jako przestępstwo, podobnie jak jego kradzież. Bo zwierzęta – jak rzeczy – są ważne tylko, gdy są czymś własnością.

Węże, skorpiony i hieny

15 mln – na tyle egipskie władze oceniają populację bezdomnych psów w ich kraju. – *To nie są żadne dokładne szacunki* – mówi Hameed Hatata, przedstawiciel organizacji Cairo Animals Rescue Team (CART). – *Mamy tyle niedostępnych pustynnych terenów. To po prostu próba podania astronomicznej liczby, żeby usprawiedliwić masowe zabijanie bezdomnych psów.*

Jedno jest pewne: jest ich bardzo dużo. I mimo eksterminacji bezbronnych zwierząt liczba ta wciąż rośnie. W Egipcie za bezdomne zwierzęta odpowiada ministerstwo rolnictwa i jak dotąd resort wymyślił tylko jeden sposób radzenia sobie z tym problemem: systemowa eksterminacja. Departament Ubojni i Zdrowia Publicznego w 2018 r. zainicjował



Co miesiąc w Marsa Alam Blue Moon organizuje akcję wyłapywania bezdomnych psów, by

ogólnokrajowy plan pozbywania się bezpańskich psów. Od kilku lat zatem opłacani przez rząd lub władze samorządowe ludzie rozkładają trutki ze strychniną lub po prostu strzelają do bezdomnych zwierząt. Nieliczni w Egipcie aktywiści prozwierzęcy protestują, nawołują do sterylizacji bezdomnych psów, co skutecznie rozwiązałoby problem, ale władze twierdzą, że sterylizacja, chipowanie i szczepienia przeciwko wściekliznie to koszt ok. 500 egipskich funtów na psa (ok. 80 zł), a biorąc pod uwagę skalę problemu, państwa na taki wydatek nie stać.

Obrońcy zwierząt odpowiadają, że opłacenie armii zabójców i trutki też kosztują. Niektórzy podejrzewają nawet, że za decyzjami o masowym truciu bezdomnych zwierząt mogą stać grupy zajmujące się nielegalnym handlem strychniną, które korumpują odpowiedzialnych za podejmowanie tych decyzji polityków i urzędników.

Władze centralne i lokalne nie prowadzą też żadnej akcji szczepień przeciwko wściekliznie, i to mimo ogromnego zagrożenia tą śmiertelną chorobą. Bezdomne psy polują na lisy, szczury, a czasem i wilki zapuszczające się z pustyni w okolice ludzkich siedzib i w ten sposób zarażają się wścieklizną.

Według egipskiego ministerstwa rolnictwa w latach 2014–18 odnotowano ponad 1,7 mln pogryzień przez bezpańskie psy, z czego 278 miało skutek śmiertelny. Najczęściej powodem było zarażenie wścieklizną: WHO podaje,

że z powodu wścieklizny w Egipcie umiera ok. 60 osób rocznie.

Mimo akcji eksterminacyjnej na ogólnokrajową skalę nie widać, by bezdomnych psów ubywało. Ale były takie miejsca, gdzie władzom udało się w krótkim czasie znacząco zmniejszyć ich populację. W Albehera koło Alexandrii wybito w krótkim czasie 18 tys. psów. I nagle do domów mieszkańców miasteczka zaczęły się wdzierać jadowite węże i skorpiony. Wielu ludzi umarło na skutek ukąszeń. Władze Albehery zdecydowały o kolejnej trucieleńskiej akcji wymierzonej tym razem w węże. Nie przyniosło to rezultatów i sytuacja wróciła do normy dopiero po kilku latach, gdy populacja bezdomnych psów się odrodziła i przywrócono zachwianą równowagę.

W kwietniu 2019 r. w turystycznych re-sortach na Synaju, w Tabie, Dahabie i Nuwejbie pojawiły się hieny. Było to wkrótce po tym, jak w regionie przeprowadzono zmasowane akcje, by pozbyć się bezpańskich psów. Bo to one trzymają w ryzach hieny, podobnie jak węże i skorpiony, jednak wygląda na to, że Egipcjanie nie zdawali sobie z tego sprawy.

Psie mięso na eksport

Wkrótce po ogłoszeniu ogólnokrajowego planu eksterminacji bezdomnych psów egipska parlamentarzystka Margaret Azer zasugerowała eksport psiego mięsa do Azji Wschodniej. Przekonywała, że to „bardziej humanitarny sposób radzenia sobie z plagą bezdomnych psów niż obecne



je zaszczepić i zachipować. Obok: bezpieczne psy można zobaczyć wszędzie, jest ich w Egipcie już 15 mln.

rozwiązania obejmujące masowe strzelaniny i kastrację”. I że korzyści z tego planu byłyby podwójne: zmniejszenie populacji bezpiecznych psów i dodatkowe źródło dochodów dla egipskiej gospodarki.

Parlamentarzystka zaproponowała utworzenie specjalnych farm, na których psy miałyby „zbilansowaną dietę”, potem byłyby ubijane, a ich mięso eksportowane. Wyliczyła, że po odpowiednim utuczeniu za jednego psa można by było dostać 5 egipskich funtów, ok. 1,8 zł.

Prawdopodobnie nie był to indywidualny pomysł posłanki, bo wkrótce po jej szokującej propozycji prywatna gazeta egipska podała, że ministerstwo rolnictwa rozpoczęło wydawanie zaświadczeń eksportowych dla 2,4 tys. kotów i 1,6 tys. psów. Rzecznik ministerstwa potwierdził, że zwierzęta zostały zaszczepione przeciwko chorobom zakaźnym i zostaną wywiezione samolotem zgodnie z procedurami prawnymi.

Nie wiadomo, czy naprawdę doszło do eksportu bezdomnych zwierząt ani tym bardziej, do jakiego kraju trafiły. Ale sprawa wywołała oburzenie wielu publicznych osób w Egipcie. Gwiazda futbolu Mohamed Salah, napastnik Liverpoolu, cieszący się olbrzymią popularnością nie tylko w Egipcie, ale na całym Bliskim Wschodzie, na Twitterze zamieścił zdjęcie ze swoimi kotami z hashtagem „no to animal rights violations” („nie” dla łamania praw zwierząt).

Kiedy na innej platformie społecznościowej suficki piosenkarz Mahmoud

al-Tohamy, przewodniczący rady dyrektorów Syndykatu Religijnych Śpiewaków i absolwent Uniwersytetu Al-Azhar, zamieścił swoje zdjęcie, na którym głaszcze psa swojego syna, z podpisem „Ktokolwiek mówi ci, że pies jest nieczysty, powiedz mu, że Bóg nigdy nie stworzył nieczystych stworzeń”, konserwatywni Egipcjanie zareagowali oburzeniem i niedowierzaniem. Uznali, że sprzeciwia się szariatowi (prawu islamskiemu). Kilka fatw (wykładni prawa islamu) uniwersytetu Al-Azhar i Domu Fatw na przestrzeni lat mówiło przeciw, że psy są nieczyste.

Muzułmańskie doktryny są w kwestii psów podzielone. Sekta Maliki uważa psy za czyste, podczas gdy sekty Shafi'i i Hanbali uważają, że psy są nieczyste i nie ma dla nich miejsca w domu, w którym odbywają się codzienne modlitwy. Według Al-Azhar pies również jest nieczysty i zakazany w domach mużulmanów, z wyjątkiem ważnego powodu, takiego jak pilnowanie.

Chipują i szczepią

To się bardzo powoli zmienia. W 2019 r. komitet Fatw Al-Azhar przyjął łagodniejszy ton w stosunku do bezpiecznych psów, wydając fatwę, w której stwierdził, że podstawową zasadą jest „dobroczynność dla zwierząt”, a priorytetem w postępowaniu z bezpiecznymi psami powinno być ich zbieranie i wysyłanie do schronisk dla psów. Jednak jeżeli pies stał się zagrożeniem dla ludzi i zabicie go jest jedyną opcją, jest to dozwolone.

Nic dziwnego, że w Egipcie nie ma zbyt wielu organizacji pozarządowych zajmujących się ochroną zwierząt. – *Zarejestrowanych jest 12, ale nie wszystkie aktywnie działają* – mówi Hameed Hatata z Cairo Animals Rescue Team. Schroniska dla bezdomnych zwierząt mogą prowadzić tylko zarejestrowane organizacje, ale nie wszystkie mają fundusze i ludzi chętnych do pracy za darmo, więc jest ich w całym kraju zaledwie kilka. CART szacuje, że wspólnym wysiłkiem wszystkich organizacji oraz indywidualnych ludzi udało się wykastrować i zaszczepić około 18 tys. psów. Więc nawet jeżeli władze zawyżają szacunkową liczbę bezdomnych psów, to i tak jest to kropla w morzu potrzeb.

Wiele organizacji prowadzi Europejczycy. Tak jest w Hurghadzie, gdzie od 20 lat Szwajcarka Monique Carrera wraz z mężem Egipcjaninem prowadzi Animal Center Blue Moon. Początkowo współpracowali ze szwajcarską organizacją non profit. Wtedy była to drużyna 16 osób. Gdy Szwajcarzy się wycofali, musieli radzić sobie sami. Mają lecznicę ze szpitalikiem, gdzie na stacjonarnym leczeniu jest zawsze ok. 30 zwierząt, i azyl na dużej farmie dla ponad 200 zwierząt.

Stan na dziś (mniej więcej) to dwa konie, wielbłąd, 24 osiołki, ponad 100 psów, 60 kotów, sześć małp, żółwie. Tymi zwierzętami zajmuje się głównie mąż Monique. Ona sama najczęściej jest w klinice. Tam z trzema zatrudnionymi weterynarzami robią, co mogą. Starają się wysterylizować i zaszczepić jak najwięcej bezdomnych psów. Ale brak funduszy i ludzi sprawia, że idzie to powoli. Z miasteczka i okolic przychodzą głównie cudzoziemcy ze swoimi zwierzętami.

Te usługi są odpłatne i zasilają fundację. Żeby było za co sterylizować bezdomne psy i koty, które wolontariusze łapią poprzedniego wieczoru. Potem weterynarz pracuje, a ochotnicy (prawie wyłącznie Europejczycy, jak 50-letnia Irmgard, również Szwajcarka, która od kilkunastu lat wraz z mężem mieszka w Marsa Alam, oboje pracują jako instruktorzy nurkowania) znowu wyruszają w miasto w poszukiwaniu psów i kotów, które nie mają plastikowego chipa na uchu. Każda taka akcja to kilkoro zwierząt. Po zabiegu następnego dnia dostają śniadanie, szczepienie i wracają tam, gdzie zostały złapane.

– *Wiem, że w tym tempie nie wystarczy mi życia, żeby coś zmienić* – mówi Monique. – *Ale nie mogę przyglądać się temu i nic nie robić.*

TEKST I FOTOGRAFIE AGNIESZKA SOWA

Skończyło się

Hiszpania, w której działacz sportowy na siłę całuje i dotyka piłkarki, i Hiszpania – liderka progresywnych zmian w Europie, to wbrew pozorom wciąż ten sam kraj.

ALEKSANDRA LIPCZAK

Człowiek, którego wstydzi się Hiszpania” – taki nagłówek ukazał się w tygodniku „Der Spiegel”. Trudno o trafniejsze podsumowanie sprawy Luisa Rubialesa, prezesa Hiszpańskiej Federacji Piłki Nożnej (RFEF), który po wygranej hiszpańskich piłkarek na kobiecym mundialu w Australii i Nowej Zelandii zniebacznie objął napastniczkę Jenni Hermoso i pocałował ją w usta.

Zdarzenie, które jeszcze dekadę temu przeszłoby prawdopodobnie niezauważone w euforii związanej ze sportowym triumfem, dziś przyćmiło w pewnym sensie historyczny sukces Hiszpanek. Trafia bowiem w sedno jednej z najważniejszych i najgorętszych dyskusji – tej o feminizmie i równych prawach – która od dobrych kilku lat przeobraża realia życia w Hiszpanii.

Sekwencja wydarzeń wygląda w skrócie tak: pocałowana przez Rubialesa Jenni Hermoso – jedna z gwiazd hiszpańskiej reprezentacji – początkowo, jak się wydaje, bagatelizuje incydent. W wydanym przez RFEF oświadczeniu nazywa pocałunek „gestem przyjaźni i wdzięczności” (jak później ujawni, jej słowa zostały zmanipulowane przez federację). Rubiales nagrywa z kolei wideo, w którym nazywa swoje działanie „naturalnym i normalnym”, choć wie, że „musi przeprosić tych, którzy poczuli się urażeni”.

„Urażonych” jest jednak coraz więcej, bo – jak pokazują inne nagrania z finałowego meczu – Rubiales dopuścił się tam jeszcze kilku innych kontrowersyjnych zachowań: przerzucił sobie przez ramię jedną z zawodniczek, inną z zaskoczenia pocałował w policzek, a po strzeleniu przez Olgę Carmonę gola, który zdecydował o zwycięstwie Hiszpanek, złapał się za jądra, krzyżując: „Ssijcie mi”.

Premier Hiszpanii Pedro Sánchez nazywa zachowanie Rubialesa „nieakceptowalnym”, a wicepremierka Yolanda Díaz

wzywa do jego dymisji. Fala oburzenia i solidarności z Hermoso zalewa Hiszpanię, a dymisja prezesa, który na koncie ma już zresztą sporo innych zarzutów, na czele z korupcją i wykorzystywaniem funduszy federacji na organizację orgii, wydaje się przesądzona.

RFEF zwołuje nadzwyczajne zgromadzenie, na którym – jak przypuszczają hiszpańskie media – Rubiales zapowie właśnie swoje odejście. Ten wykonuje jednak niespodziewaną woltę i wygłasza półgodzinne aroganckie przemówienie, siebie samego przedstawiając jako ofiarę „społecznego morderstwa” i „fałszywego feminizmu”, o który oskarża lewicowe polityczki. I po raz kolejny przekonuje, że „buziak” był konsensualny, szczegółowo opisując moment fizycznego zbliżenia z Hermoso i sugerując, że z nim flirtowała.

„Nie podam się do dymisji!” – powtarza trzy razy, a jego słowa oklaskują władze federacji i trener piłkarek, Jorge Vilda. RFEF wypuszcza materiały, z których ma rzekomo wynikać, że to Hermoso była inicjatorką zbliżenia.

Tego samego dnia piłkarka wydaje oświadczenie, w którym pisze, że była ofiarą agresji i seksistowskiego zachowania. Wspomina o presji, jaką federacja wywierała na nią i na jej bliskich. Zapowiada też, że nie wróci do reprezentacji, dopóki nie zmienią się władze federacji. W jej ślady idą wszystkie inne zawodniczki narodowej drużyny. Inna gwiazda kobiecego futbolu w Hiszpanii, Alèxia Putellas, pisze w mediach społecznościowych: „To niedopuszczalne. Skończyło się. Jesteśmy z tobą, Jenni”.

Słowa *se acabó* (skończyło się) w mgnieniu oka stają się hasztagiem, który zalewa media społecznościowe i staje się nowym hiszpańskim #MeToo. W całym kraju odbywają się demonstracje solidarnościowe z Hermoso. Wyrazy poparcia dla piłkarki wysyłają drużyny z całego świata. FIFA zawieszona Rubialesa na 90 dni. Do akcji



wkracza prokuratura i hiszpański Sportowy Sąd Administracyjny (TAD). A gdyby zwrotów akcji było mało, matka Rubialesa zamyka się w kościele i rozpoczyna głodówkę w obronie syna.

„Rubiales zapamięta kobiecą piłkę nożną do końca życia. Tę, którą gardził. I której nie doceniał jeszcze do niedawna” – tweetuje dziennikarka sportowa Sandra S. Riquelme. Wiralem staje się grafika, przedstawiająca małą dziewczynkę z piłką, która prosi babcię: „Babciu, powiedz mi, jak wygrałyście mundial”. „Wygrałyśmy wtedy dużo więcej niż mundial” – odpowiada staruszka.

Można by nazwać historię Rubialesa opowieścią o ukaranej pysze i zwycięstwie współczesnego feminizmu nad patriachatem, gdyby nie fakt, że w chwili zamykania tego numeru POLITYKI postępowanie w jego sprawie wciąż się toczy. Do odwołania prezesa nie kwapi się federacja, decyzyjnie o usunięciu go ze stanowiska leży więc teraz w gestii Sportowego Sądu Administracyjnego. Jeśli ten da zielone światło, Rubialesa będzie mógł zawiesić sam rząd, ale media hiszpańskie spekulują, że i ta instytucja nie wydaje się do końca przekonana o winie prezesa.



„Skończyło się” i „Rubiales na spalonym” – Madryt, demonstracja przeciwników prezesa RFEF.

Jak pokazały burzliwe oklaski po wystąpieniu Rubialesa na forum federacji, świat piłki nożnej, czy szerzej – sportu, to wciąż ostoja macyzmu. Na tle wyrazów poparcia, jakie płyną w kierunku Jenni Hermoso z całego świata, reakcję samych hiszpańskich piłkarzy i klubów można nazwać, delikatnie mówiąc, mało wyrazistą.

Choć są chlubne wyjątki. Należą do nich piłkarze Sevilli, którzy zagrali mecz w koszulkach z napisami wsparcia dla Hermoso. I ci z Kadyksu, którzy umieścili podobny transparent na murawie. Zachowanie Rubialesa i solidarność z Hermoso wyraził też na konferencji prasowej trener FC Barcelony i były piłkarz, Xavi Hernández, a piłkarz męskiej reprezentacji Borja Iglecias zawiesił swoje wystąpienia do czasu odwołania Rubialesa.

Choć Hiszpania w ostatniej dekadzie zrobiła ogromny postęp, jeśli chodzi o prawa kobiet, nie oznacza to wcale, że uwolniła się od dziedzictwa macyzmu. Według badań Ipsos w 2023 r. jako feministki bądź feminiszczyki deklaruje się 53 proc. hiszpańskiego społeczeństwa (najwięcej w Europie). Tyle samo mieszkańców Hiszpanii uważa jednak, że równouprawnienie ciągnie za sobą dyskryminację mężczyzn.

W dużej mierze to właśnie reakcja na mainstreamowość feminizmu legła

u podstaw sukcesu skrajnie prawicowej partii Vox. Wśród wyborców tego ugrupowania dominują mężczyźni młodzi lub w średnim wieku, do których trafiają postulaty dotyczące likwidacji Ministerstwa Równości, parytetów i ustawy o swobodnym dostępie do aborcji, a także hasła o tym, że „przemoc nie ma płci”. Jak zauważył jednak komentator telewizji La Sexta, Antonio Maestre, „Rubiales w swoich deklaracjach posunął się jeszcze dalej niż oni”.

Według sondażu ośrodka Sigma Dos dla prawicowego dziennika „El Mundo”, potępienie zachowania prezesa idzie w poprzek politycznych i pokoleniowych podziałów – za jego dymisją opowiada się 71 proc. Hiszpanów i Hiszpanek, najwięcej w grupie powyżej 75 roku życia. W tej sprawie nie chodzi więc pewnie tylko (i aż) o feminizm – prezes federacji naruszył po prostu granice dobrego wychowania (ściskał nawet za ramię królową Letizię!), a przede wszystkim naraził na szwank dobre imię Hiszpanii.

Bo, paradoksalnie, progresywne osiągnięcia Hiszpanii z ostatnich lat pozostają dość kruche, a widmo konserwatywnego backlashu wciąż jest bardzo realne. Pokazały to chociażby majowe wybory samorządowe, w których zatriumfowała

prawica. Tam, gdzie Vox doszedł do władzy, jednym z pierwszych gestów była likwidacja departamentów zajmujących się równością, nie mówiąc o zakazie projekcji filmu z treściami LGBT.

Nawet jeśli reakcyjny światopogląd spod znaku Vox jest w Hiszpanii mniejszościowy – 12 proc. głosów w lipcowych wyborach do Kortezów – jest to obecnie trzecia siła polityczna i mniejszość zdolna narzucać swoje standardy. Dlatego właśnie progresywna koalicja prezentowała lipcowe głosowanie jako „grę o wszystko”. Wizja utraty świeżo wywalczonych praw podziałała mobilizująco na lewicowych wyborców i choć ostatecznie umiarkowana prawica nieznacznie wygrała wybory, to do dziś żaden z bloków nie jest w stanie utworzyć rządu.

Sprawa dymisji Rubialesa może się więc odwiec, bo jeśli gdzieś szukać jego popleczników, to właśnie w mocno patriarchalnych strukturach związanych ze światem piłki nożnej. Ale, jednocześnie, to właśnie jego sprawa może doprowadzić do zmian reguł także i w tym świecie.

Kobięca piłka w ostatnich latach podbija Hiszpanię z równą siłą, co feminizm. Choć wraz z rosnącą popularnością i sukcesami piłkarek staje się – podobnie jak ta męska – coraz lepszym biznesem, wciąż zachowała aktywistyczny, prorównościowy rys. Zawodniczki upominają się nie tylko o prawa dziewczynek, kobiet i osób LGBT, ale, zrzeszone w związkach zawodowych, żądają również poszanowania ich godności w pracy.

Skandal związany z Rubialesem to nie ich pierwsza konfrontacja z macyzmem w świecie futbolu. Rok temu jedenaście piłkarek reprezentacji zrezygnowało z gry w drużynie narodowej na znak protestu przeciwko metodom trenera Jorge Vildy, które – jak argumentowały – narażają na szwank ich zdrowie psychiczne i fizyczne. Chodziło im także o tak bulwersujące praktyki jak zakaz zamykania pokoi na klucz. Federacja piłkarska nazwała je wówczas „rozkapryszonymi dziewczynkami”. Dziś triumfują: miałyśmy rację.

Za przeciwwagę dla haniebnego przemówienia Rubialesa niech posłużą słowa katalońskiej zawodniczki reprezentacji, Aitany Bonmatí. „Jako społeczeństwo nie możemy pozwolić na nadużycia władzy i brak szacunku w relacjach zawodowych. Mówię to do mojej koleżanki Jenni i wszystkich kobiet, które przeżywają to samo: jesteśmy z wami” – powiedziała 31 sierpnia, odbierając nagrodę UEFA dla najlepszej europejskiej piłkarki. ■



Rdza na złocie

Niemiecka polityka imigracyjna to dziś mieszanka humanizmu, irracjonalności i poprawności politycznej. Niemieccy wyborcy usilnie poszukują Alternatywy.

MAREK ORZECHOWSKI Z BERLINA

Spośród 82 mln mieszkańców Niemiec 22 mln ma tzw. migracyjne tło – to prawie 27 proc. 62 proc. z nich przywędrowało z innych krajów, reszta urodziła się na miejscu. A mimo to wielu tubylcom wciąż z trudem przechodzi przez gardło, że Niemcy stały się krajem migracji. A przecież w kraju żyje jeszcze 13,4 mln osób, które posiadają wyłącznie zagraniczny paszport, w tym 1,5 mln Turków i blisko 900 tys. obywateli Polski.

Nie ma drugiego takiego kraju w Europie. Bundesrepublik Deutschland przyciąga ludzi z najdalszych zakątków globu. Tylko z czterech na prawie 200 państw świata – z Timoru Wschodniego, Mikronezji, Wysp Marshalla i Palau – nikt jeszcze nie dotarł na stałe do Niemiec. I nie zaczęło się to wczoraj. Już w latach 60. liczba obcokrajowców rosła szybciej niż przyrost Niemców. Jeśli w 1961 r. żyło w Niemczech 700 tys. „obcych”, to w 1974 – już 4 mln. Tylko w latach 2015–19 zamieszkało w kraju blisko 9 mln nowych imigrantów.

I w związku z tym kierownicy niemieckiej polityki od lat siedzą w szpagacie. Z jednej strony związani są konstytucją z 1949 r., która po doświadczeniach

nazizmu każdemu przybywającemu (i będącemu w potrzebie) przyznaje prawo do azylu, ochrony i pobytu w Niemczech. Z drugiej strony regularnie podejmują próby ograniczenia lub przynajmniej kontroli rosnącej imigracji, ponieważ – jak przyznają – Niemcy nie mogą przegarnąć całego świata.

Tymczasem w 2023 r. już dziewiąty rok z rzędu o azyl poprosi więcej niż 100 tys. uchodźców. Od 1990 r. wnioski o azyl złożyło już ponad 4,5 mln osób, przy czym zapewne większość ze świadomością, że nie spełniają niezbędnych kryteriów. W efekcie niemieckie urzędy w latach 2016–20 rozpatrzyły wnioski azylowe 1,85 mln osób, a status azylowej ochrony przyznano jedynie 13 tys. Reszta chciała tylko żyć w Niemczech. I teraz korzystają z tolerowania lub innych form ochrony, w zdecydowanej większości na koszt niemieckiego podatnika.

W rezultacie polityka migracyjna Niemiec kręci się wokół własnego ogona – politycy tradycyjnych partii po cichu przyznają rację niezadowolonym Niemcom, ale oficjalnie brakuje im odwagi, aby głośno powiedzieć: dość, tak dalej być nie może.

Po latach Merkelowej stagnacji obecna koalicja rządowa w Berlinie – socjaliści, liberałowie i Zieloni – obiecała Niemcom modernizację kraju. Miała ona obejmować również politykę migracyjną. Mija jednak właśnie połowa kadencji i nic nie wskazuje, by trójkolorowa koalicja w Berlinie zmierzała właśnie w tym kierunku. Raczej przeciwnie – modernizacja polityki migracyjnej polega najkrócej na tym, aby migrantom i uchodźcom było jeszcze łatwiej dostać się do Niemiec i tu pozostać.

Pomysły są m.in. takie: szybsze przyznawanie obywatelstwa (już po pięciu latach), tolerowanie wielokrotnych obywatelstw, zniesienie zakazu pracy, kursy językowe, rozszerzenie polityki łączenia rodzin, w tym dla uchodźców korzystających tylko z czasowej ochrony (jak Syryjczycy czy Ukraińcy), ograniczenie regularnych kontroli przyznanych już decyzji azylowych i generalne zmiany w unijnej polityce migracyjnej w kierunku sprawiedliwego podziału odpowiedzialności i uchodźców między krajami członkowskimi.

Wszystko to na przekór rosnącej grupie wyborców wysyłających wyraźne sygnały, że granica tolerancji została osiągnięta, czy nawet przekroczona. I tu właśnie leży

źródło rosnącego poparcia dla Alternatywy dla Niemiec (AfD ma już drugie miejsce w sondażach), której nie krępuje polityczna poprawność i która chce drastycznej redukcji napływu obcych.

Temat migracji, zwłaszcza nielegalnej, jest oczywiście jednym z wiodących również dla pozostałych partii, nawet jeśli ich stanowiska są odmienne. Na przykład lewica odrzuca każdą formę ograniczenia migracji, centroprawicowa CDU chce z kolei „uporządkowanej”, czyli restrykcyjnej polityki. W opinii jej sekretarza generalnego Carstena Linnemanna program rządu w Berlinie to po prostu zachęta do jeszcze większego napływu uchodźców.

Wychodząc naprzeciw podobnym zarzutom, federalne MSW zaproponowało, aby wyrzucić z kraju osoby uznane za członków imigranckich klanów, również za drobne przestępstwa, odbierając im przy tym prawo do pobytu lub nawet obywatelstwo na mocy prawa antyterrorystycznego. Imigranckie klany (niekiedy zwane gangami) od dawna na przemyśłą skalę ściągają do Niemiec swoich członków, którzy są później często wykorzystywani do działalności przestępczej. Między klanami regularnie dochodzi też do ulicznych bitew.

Mimo zarzutów, w tym przypadku o pociąganie do zbiorowej odpowiedzialności, rząd promuje tego typu radykalne pomysły, chcąc ratować swój wizerunek. Nie brakuje przy tym opinii, że trójkolorowa koalicja nie panuje nad sytuacją, a jedną z przyczyn są kłótnie w jej łonie i brak zdecydowania najsilniejszego partnera – SPD. Gdy w grudniu 2021 r. zawiązywała się obecna koalicja w Berlinie, samo odejście Angeli Merkel po 16 latach rządów zapowiadało zmianę politycznej atmosfery. Skłócona koalicja działa jednak w zasadzie od kryzysu do kryzysu. A niemieccy wyborcy są coraz bardziej przekonani, że ich państwo jest w wielu obszarach, w tym w polityce migracyjnej, po prostu bezradne.

Według opinii części obserwatorów największa odpowiedzialność za ten stan rzeczy spada na kanclerza Olafa Scholza, o którym się pisze, że jest swoistą mieszkanką Buddy i prowincjonalnego urzędnika. W przeciwieństwie do socjaldemokratycznego poprzednika na kanclerskim fotelu, Gerharda Schrödera, Scholz odznacza się wyraźnym deficytem temperamentu i charyzmy.

Wyborcy to widzą – w niedawnym sondażu 73 proc. badanych odmówiło kanclerzowi zdolności do przeforsowania własnego zdania. Wiedzą o tym również

jego ministrowie – robią zatem, co chcą, traktując siebie nierzadko jako politycznych przeciwników. Wiele złej krwi narobiła w kraju również niezrozumiała reakcja rządu na kryzys energetyczny: uchwalane i następnie odwoływane pospiesznie programy, nietrafione korektury decyzji, które tylko pogarszały sytuację. Próba powiązania ochrony klimatu z intensywnym wzrostem gospodarczym nadal nie ruszyła z miejsca. Rząd, piszą komentatorzy, właśnie rujnuje Niemcy. I niekontrolowany napływ uchodźców ma w tym swój udział.

Tylko w 2019 r. z kasy federalnej – bez wydatków landów i gmin – Niemcy przeznaczyły na uchodźców 23,1 mld euro. Według rządowych danych utrzymanie jednego dorosłego migranta to wydatek ok. 2,5 tys. euro miesięcznie, nieletniego – 5 tys. Przeliczając te sumy na obciążenie podatkowe pracujących Niemców, wychodzi, że na utrzymanie tego ostatniego pracuje 24 zatrudnionych.

Kolejny problem związany jest z brakiem wykształcenia wśród uchodźców, co blokuje im wejście na rynek pracy. I prowadzi do swoistego otrzeźwienia wśród kapitanów niemieckiej gospodarki. Wystarczy przypomnieć zachwyty niemieckich mediów nad falą męskiej młodzieży zasiedlającej Niemcy w 2015 i 2016 r. Ci wszyscy nowi specjaliści, inżynierowie i programiści mieli rozpędzić niemiecką gospodarkę i tym samym pozwolić zachować dotychczasowy poziom życia w Niemczech.

Martin Schulz z SPD, wówczas przewodniczący europarlamentu, mówił prasie – „uchodźcy są cenniejsi od złota”. A szef koncernu Daimler AG Dieter Zetsche przekonywał, że „uchodźcy są młodzi, wysoce umotywowani i mogą wykreować w Niemczech drugi cud gospodarczy”. Minęły miesiące i Deutsche Post, bodaj największy pracodawca w kraju, zatrudniła ledwie 50 migrantów, do sortowania paczek, a 29 największych niemieckich koncernów przyjęło do pracy 4 (słownie: czterech).

Niemcy w pewnym sensie już się przyzwyczaili do paraliżu w polityce migracyjnej swojego kraju. Co nie znaczy, że jest im wszystko jedno, wręcz przeciwnie. Tu i ówdzie odżywa tęsknota za „niemieckim Trumpem”, który „wiedziałby, co zrobić”. Coraz większej liczbie Niemców ta frustracja podpowiada alternatywę w postaci AfD, rzadziej – radykalnej lewicy.

Trwały wzrost poparcia dla AfD – już 22 proc. w całym kraju, we wschodnich landach ponad 30 – przysparza bólu głowy głównie CDU, dotychczas kontrolującej

całe niemieckie prawe skrzydło. Wprawdzie chadecy prowadzą w sondażach, ale to głównie z niezadowolonej bazy CDU czerpie Alternatywa. I swoją ekspansją w oczywisty sposób wywołuje pytanie – jak się z nią obchodzić, jak na nią reagować?

Ignorowanie tego ugrupowania nie wchodzi już w rachubę. Podjąć z nim walkę? Ale jak? Słuchać takie głosy: a może CDU sama powinna skrócić radykalnie w prawo i w ten sposób odzyskać część wyborczego potencjału, także tego który odszedł do AfD z SPD i Lewicy. Albo po prostu zbliżyć się do niej, przejąć nad nią polityczną kontrolę i krok po kroku nadać jej bardziej „mieszkański” charakter.

Premier Saksonii, chadeccki polityk Michael Kretschmer, ma już swoją odpowiedź – skrzył w prawo, i to radykalnie. W jego landzie AfD zgromadziła prawie 28-procentowe poparcie i zapewne to nie koniec. Broniąc się, Kretschmer dużo więcej czasu spędza teraz na prowincji, odwiedza lokalne zebrania, bierze udział w różnych spotkaniach – i podczas nich atakuje „Berlin” i „Brukselę”, jego zdaniem głównych winowajców obecnej niemieckiej mizerii.

Mówi przy tym głosem, który rozumieją mieszkańcy jego landu, głosem AfD: żąda naprawy gazociągu Nord Stream I, aby znów szybko płynął potrzebny rosyjski gaz, domaga się ograniczenia migracji i napływu uchodźców, jeśli trzeba, to nawet z pomocą zmiany konstytucji, jest też zdeklarowanym przeciwnikiem genderyzmu...

Kretschmer zbiera pochwały od wielu wyborców. Ale czy ostatecznie zdobędzie ich głosy, skoro AfD – w odróżnieniu od CDU – nie jest „farbowanym lisem” i od zawsze przemawia „ludzkim” językiem? I czy taktyka Kretschmera może być w ogóle owocna, możliwa do skopiowania na poziomie federalnym? W końcu odzyskanie przez CDU poparcia na wschodzie kraju grozi utratą starej chadecckiej bazy wyborczej na zachodzie Niemiec.

Jak sama AfD rozwiąże problem migracji w Niemczech, jest jeszcze sprawą otwartą. Na pewno nie będzie to operacja w białych rękawiczkach. W spokojniejszych czasach wystarczyło drażliwe tematy po prostu przemilczeć, dziś taka taktyka już nie jest skuteczna. Trzeba działać. Tymczasem po letniej przerwie rząd w Berlinie w zasadzie zignorował ten problem i zajął się prawami społeczności LGBT oraz częściową legalizacją marihuany. Dla sekretarza generalnego CDU Linnemanna to kolejny dowód na to, że „ci w Berlinie” utracili kontakt z niemiecką rzeczywistością. ■

Znów wróciło UFO

Czy amerykańskie myśliwce rzeczywiście sfilmowały statki obcych? Skąd się bierze ogromne zainteresowanie kosmitami? Rozmowa z Mickiem Westem, badaczem zjawiska UFO.



Nagrania domniemanych niezidentyfikowanych obiektów latających „GIMBAL” oraz „GOFAST”.

MARCIN ROTKIEWICZ: – David Grusch, były oficer amerykańskiego wywiadu wojskowego, zeznał niedawno przed komisją Kongresu, że USA prowadzi supertajny program: badają statki kosmitów oraz ich ciała. Jak traktować takie rewelacje?

MICK WEST: – Na pewno są to niezwykle tezy wymagające niezwykłych dowodów. Grusch nie przedstawił żadnego. Opowiadał o tym, co usłyszał od innych osób. Przypomina to historie z wczesnych lat 50., kiedy pojawiło się wielu podobnych „sygnalistów” mówiących o tajnych programach UFO. Wtedy też lada moment miały zostać ujawnione przełomowe informacje, ale nic takiego się nie wydarzyło.

W telewizji NewsNation Grusch mówił jeszcze bardziej szokujące rzeczy niż w Kongresie.

Twierdził m.in., że niektórzy obcy mordują ludzi. Podobnie jak służby specjalne, chcące utrzymać informacje o UFO w sekrecie. I że pojazdy kosmitów przybywają do nas z innego wymiaru i są wielkości boiska, choć z zewnątrz wydają się znacznie mniejsze. Co ciekawe, jeden z nich miał zostać zestrzelony we Włoszech jeszcze w 1933 r., a papież Pius XII przekazał tę informację Stanom Zjednoczonym. Dzięki pomocy Watykanu obiekt został przetransportowany do USA w 1944 lub 1945 r.

Zdaniem Gruscha, realizowana jest też wyrafinowana kampania dezinformacyjna. O supertajnym programie nie wie nawet prezydent USA – jest traktowany przez konspiratorów jako osoba zbyt krótko piastująca swoją funkcję, by powierzać jej tak nerwalgiczne informacje.

Brzmi to jak kalka z klasycznych ufologicznych teorii spiskowych lub seriali typu „Z Archiwum X”. Tyle że tu wypowiada się – pod przysięgą – były oficer wywiadu i odznaczony weteran z Afganistanu. W dodatku występujący oficjalnie jako sygnalista, czyli osoba informująca o naruszeniu prawa.

Nie wykluczam, że on rzeczywiście dotarł do jakiegoś mocno utajnionego programu. W kompleksie wojskowo-przemysłowym robi się sporo podejrzanych interesów. Gra toczy się bowiem

o potężne pieniądze. Grusch mógł więc coś odkryć, kiedy szukał kosmitów. Dobrze by było, gdyby zostało to dokładnie zbadane. Aczkolwiek raczej nie dowiemy się wszystkiego o wynikach dochodzenia Kongresu, gdyż będzie ono dotyczyło tajnych programów rozwoju broni. Sprawa pozostanie więc w zawieszaniu.

Wojsko i służby specjalne mają długą tradycję w postugiwaniu się kosmitami jako przykrywką dla tajnych operacji militarnych. Połowę obserwacji UFO w latach 50. i 60. można przypisać tajnym lotom samolotów szpiegowskich U-2, a później SR-71. Tak to swego czasu oceniła sama CIA.

Rzeczywiście tak było.

To dlaczego dał się na to nabrać oficer wywiadu wojskowego?

Grusch zaczął mocno interesować się tematem UFO w 2017 r. Zapewne za sprawą głośnego artykułu, który ukazał się wtedy w „The New York Times” i opisywał wojskowy program badania niezidentyfikowanych zjawisk powietrznych [Unidentified Aerial Phenomena, UAP – przyp. red.], jak zaczęto określać UFO. Prowadzono go w latach 2007–12. Dziennikarze „NYT” umieścili też w internecie materiały wideo z kamer amerykańskich myśliwców. Widać na nich spotkania z obiektami, które miałyby być pozaziemskiego pochodzenia. Wywołało to ogromną sensację na całym świecie. Od tamtego czasu można mówić o wielkim powrocie zainteresowania tematyką UFO.

Prof. Greg Eghigian, historyk z Penn State University, pisał w 2021 r. na łamach „Boston Review”, że ten renesans UFO nie jest specjalnie zaskakujący. Takie wzrosty zainteresowania mają charakter cykliczny, więc to tylko kolejna fala, która niedługo opadnie, a później pojawi się następna. Zgadza się pan z jego oceną?

Tak, aczkolwiek obecna fala jest wyjątkowo duża. Z kilku powodów. Jeden z nich to oczywiście internet, w którym można np. umieścić filmy z nagraniami domniemanego UFO oraz kontaktować się z innymi wyznawcami kosmitów. Ponadto – za sprawą pojawienia się dronów, a ostatnio chińskich balonów

► się, iż coś pędzi nad wodą. Tymczasem ów obiekt robi to powoli, zapewne z prędkością wiatru. To przypuszczalnie balon, np. meteorologiczny.

W połowie 2021 r. ukazał się raport przygotowany przez Biuro Dyrektora Wywiadu Narodowego USA na zamówienie Kongresu. Było o nim głośno w mediach, choć liczył tylko dziewięć stron i informował o 144 przypadkach zaobserwowania UAP przez amerykańskich wojskowych w latach 2004–21. Do końca udało się wyjaśnić jeden – niezidentyfikowanym zjawiskiem okazał się nieszczelny balon.

To bardzo kiepski dokument. Jeden z owych „niewyjaśnionych przypadków” udało mi się dość szybko rozpracować. Film, dostępny w internecie, został zrobiony z pokładu niszczyciela USS Russell za pomocą kamery noktowizyjnej. Wojskowi obserwowali niebo, gdyż wydawało im się, że gwiazdy to jakieś drony. W środku kadru można zobaczyć migający obiekt w kształcie trójkąta. Zwolennicy UFO szybko okrzyknęli go latającą piramidą. Tymczasem wyjaśnienie jest banalne – w tego typu kamerach noktowizyjnych przesłona często ma kształt trójkąta. Miganie obiektu świadczy zaś o tym, że to najprawdopodobniej samolot, gdyż dokładnie pasuje do świateł lecącego Boeinga 737. Co nie dziwi, okręt znajdował się dokładnie na trasie z Hawajów do Los Angeles.

Mam nadzieję, że kolejny raport okaże się znacznie lepszy, gdyż budżet na ten cel został powiększony. A liczniejszym zespołem pokieruje znacznie rozsądniejsza osoba niż poprzednik.

Do badania UFO zabrała się również NASA, która powołała panel specjalistów ds. UAP. Jego pierwsze publiczne spotkanie odbyło się w tym roku.

Jestem raczej rozczarowany tą inicjatywą. NASA zastanawia się, w jaki sposób wykorzystać dane z satelitów do śledzenia UAP. Nie sądzę, żeby wiele z tego wynikło. Panel nie przyjrzy się więc głośnym przypadkom, np. nagraniom z myśliwców, gdyż z góry je odrzuca jako zbyt niedokładne. Myślę, że NASA będzie działać w tej sprawie dość wolno. A jeśli coś znajdzie, będą to materiały zdecydowanie niejednoznaczne.

W internecie publikuje pan wiele, często bardzo wnikliwych, analiz filmów rzekomo przedstawiających UFO.

Z jakim odzewem się spotykają?

Prawie codziennie dostaję podziękowania, m.in. od ludzi, którym pomogły one w wydostaniu się z „króliczej nory” UFO. Czyli wierzących, że tego typu filmy są ważnym dowodem na istnienie kosmitów.

Co sprawiło, że zajął się pan obalaniem teorii ufologicznych?

Nie powiedziałbym, że próbuję coś obalić. Raczej badam poszczególne przypadki sfilmowania UFO. Jest to dla mnie bardzo interesujące i w jakimś sensie zabawne. Kiedy pojawia się jakieś nowe nagranie UFO, od razu mam ochotę mu się przyjrzeć. Odpalam Photoshopa oraz oprogramowanie do edycji wideo i zaczynam analizę. Traktuję to jako łamigłówkę i fajną okazję do porozmawiania z różnymi ludźmi, np. pilotami myśliwców.



Mick West (ur. 1967 r.) – Brytyjczyk z pochodzenia, programista. Współzałożyciel firmy Neversoft Entertainment produkującej gry komputerowe (kupionej w 1999 r. przez Activision). Od 2003 r. bada teorie spiskowe, m.in. dotyczące smug chemicznych (chemtrails) i UFO. Jest aktywny w mediach społecznościowych, a na jego kanale w serwisie YouTube można obejrzeć dokładne analizy filmów przedstawiających rzekome statki obcych. Napisał też książkę „Escaping the Rabbit Hole. How to Debunk

Conspiracy Theories Using Facts, Logic, and Respect”. Członek znanej amerykańskiej organizacji Committee for Skeptical Inquiry (CSI). Mieszka w Sacramento w Kalifornii.

Narodziny latających spodków

24 czerwca 1947 r. po godz. 15 pilot amator Kenneth Arnold poszukiwał nad Górami Kaskadowymi w stanie Waszyngton zaginionego samolotu transportowego. W pewnym momencie dostrzegł „niesamowity jasny rozbłysk” i „dziewięć lecących i dziwnie wyglądających obiektów”. Początkowo sądził, że to klucz gęsi, ale poruszały się zbyt szybko. Ponadto osiem obiektów było półokrągłych, a znajdujący się na czele i trochę wyżej miał kształt sierpowaty. Arnold wyliczył później, że leciały z rekordową na ówczesne czasy prędkością ponad 1,9 tys. km/h. Złożył stosowny raport. Następnego dnia spotkał się też z dziennikarzami lokalnej gazety, którzy szybko opublikowali tekst o jego przygodzie. Zainteresowały się nim inne media i wieść rozniosła się po świecie. Przy czym Arnold posłużył się specyficznym porównaniem: dziwne pojazdy miały się poruszać jak spodki puszczane po tafli wody, czyli lekko odbijając się od niej. Dziennikarze albo dobrze go nie zrozumieli, albo postanowili posłużyć się chwytliwym hasłem, bo zaczęli pisać o spotkaniu z „latającymi spodkami” (lub talerzami). Arnold aż do śmierci w 1984 r. próbował wyjaśnić, że chodziło mu tylko o sposób lotu, a nie kształt. Przygodą amerykańskiego pilota zainteresowało się również wojsko, które z pomocą FBI przeprowadziło śledztwo. Nie tyle z obawy przed kosmitami, ile sowiecką technologią, być może przewyższającą amerykańską (właśnie zaczynała się zimna wojna). Konkluzja: to nie byli Sowieci ani ufoludki, tylko złudzenie optyczne.

Był pan producentem gier komputerowych. To pomaga?

O tak, i to bardzo! Tworząc grę, bierzesz coś ze świata trójwymiarowego i umieszczasz na dwuwymiarowym ekranie. Kiedy analizujesz film, wykonujesz podobną pracę, tylko w odwrotnej kolejności – zastanawiasz się, co dana dwuwymiarowa scena reprezentuje w 3D. Do tego potrzebne jest zrozumienie całej matematyki 3D, no i prostej fizyki, czyli tej stosowanej w grach wideo. Zatem brania pod uwagę m.in. przyspieszenia, prędkości, pędu czy siły widocznych na ekranie obiektów.

Czy zna pan choćby jeden film, na którym uchwycono coś, czego nie dało się wyjaśnić pańskimi narzędziami?

Rozczaruję pana – nic takiego nie trafiło w moje ręce. Jeśli czegoś nie mogłem wyjaśnić, to z powodu kiepskiej jakości materiału. Obraz był rozmyty albo film nakręcony w nocy trzęsącą się kamerą.

Czym najczęściej okazują się sfilmowane UFO?

Ptakami lub muchą, które znajdują się w kadrze, np. za filmowanym samolotem – niektórym wydaje się wtedy, że jest on śledzony przez statek obcych. UFO może być też drobinką kurzu unoszącą się w pomieszczeniu. Na filmach często nie widać też skrzydeł samolotów, więc wyglądają jak ów słynny Tic Tac i poruszają się w dziwny sposób z powodu kiepskiej stabilizacji obrazu kamery. Ludzie często też biorą za UFO planetę Wenus lub jasne gwiazdy, zwłaszcza gdy te migoczą różnymi kolorami.

Temat UFO narodził się dzięki amerykańskiemu pilotowi Kennethowi Arnoldowi, który w 1947 r. zaobserwował obiekty poruszające się jak „latające spodki”. Ma pan swoją interpretację, co naprawdę mógł wówczas zobaczyć?

Raczej nie, bo to zbyt stara historia i mamy jedynie ustną relację. Ale spośród kilku sceptycznych wyjaśnień najbardziej prawdopodobnym wydają mi się pelikany.

ROZMAWIAŁ MARCIN ROTKIEWICZ

Wszechświat, nasza miłość

Tworzymy świat tak samo, jak świat tworzy nas – mówi Thomas Hertog, belgijski kosmolog, najbliższy współpracownik i przyjaciel Stephena Hawkinga.

KAROL JAŁOCHOWSKI

Uporządkować cyrk z wszechświatami – taki cel postawił sobie Stephen Hawking w publikacji, która do periodyku „Journal of High Energy Physics” wpłynęła w marcu 2018 r., kilka dni przed jego śmiercią. Ten kosmolog – znany tyleż ze znakomitego dorobku naukowego, co ze zmagania ze stwardnieniem zanikowym bocznym – zawarł w niej propozycję uporania się z jednym z największych wyzwań kosmologii współczesnej. Ideę, którą z Thomasem Hertogiem rozwijał przez ostatnie 20 lat życia.

Powszechnie rozważane teorie kosmologiczne przewidują istnienie multiświata – nieskończonej ilości wszechświatów, w których realizowane są wszystkie możliwe rozwoju wydarzeń. Co jednak wdzięcznie przekłada się na fantazję filmową – vide „Wszystko wszędzie naraz” Daniela Kwana i Daniela Scheinerta czy „Doktor Strange w multiwersum obłądu” Sama Raimiego – niewdziecznie tłumaczy się na realną naukę. Niewiele konkretnego mówią bowiem o tym, dlaczego nasz zakątek kosmosu wygląda, jak wygląda. – *Ten stary paradygmat prowadził do powstania obrazu, w którym kosmos jest gigantyczną przestrzenią z różnymi prawami fizyki* – mówi Hertog.

Stephen Hawking uważał, że teoria multiświata nie jest już nauką. – *Nie chodziło mu o to, że nie można przeskoczyć do innego wszechświata i go sprawdzić. Problem polega na tym, że nie można sformułować choćby nawet niejasnych przewidywań dotyczących tego, co powinniśmy obserwować w naszym wszechświecie. Tego Stephen nie akceptował. Mówił, że musi być coś nie w porządku z tym podobnym do boskiego punktem patrzenia na kosmos. To dało nam energię do działania.*

Słabnący Hawking zobowiązał przyjaciela, by o tym działaniu opowiedział. A Hertog, naukowiec z Katholieke Universiteit Leuven, dotrzymał słowa – w formie niezwyklej, przekraczającej granice ►

ILUSTRACJA RYSZARD KAJZER



► dziedzin książki „O pochodzeniu czasu” (w Polsce wydanej niedawno przez wydawnictwo Zysk i S-ka). Jest ona także odpowiedzią na postulaty niemieckiej filozofki Hannah Arendt, sformułowane 60 lat temu, w epoce gwałtownej ekspansji technologii i nauki.

Arendt w kosmosie

Nauka współczesna to wspaniałe osiągnięcie. Rozwój wyrządził jej jednak pewne szkody. Krok po kroku wystawiał człowieka poza obręb kosmosu. Aż wystawił zupełnie. Tam, na zewnątrz, musi się bowiem ustawić naukowiec chcący uzyskać perspektywę archimedesową, czyli obiektywne zrozumienie badanych obiektów i zjawisk. – *Takie podejście świetnie działa w laboratorium* – mówi Hertog. – *Kłopoty zaczynają się dopiero, kiedy zadajesz głębsze pytania: Co czyni wszechświat sprzyjającym życiu? Jaki jest związek między naszym istnieniem a sposobem działania kosmosu?*

Arendt obawiała się tej alienacji człowieka ze świata – przypomniał Hertog. Przekonywała, że w dążeniu do spojrzenia z góry jest coś pysznego, może nawet władczego – coś z chęci zbudowania sztucznego świata, „technotopu”. W eseju „Podbój kosmosu a ranga człowieka” Niemka wyrażała nadzieję na pojawienie się nowego światopoglądu, bardziej geocentrycznego i antropomorficznego: „Nie w dawnym rozumieniu, gdzie Ziemia jest centrum wszechświata, a człowiek zajmuje najwyższe miejsce w hierarchii istnienia. Ale geocentryczny w tym sensie, że Ziemia, a nie punkt poza wszechświatem jest punktem centralnym i domem ludzkości. I antropomorficzny w tym sensie, że człowiek będzie traktować własną skończoność jako jeden z elementarnych warunków, dzięki którym jego wysiłki naukowe będą w ogóle możliwe”.

– *Lubię u Arendt to, że myślała jednocześnie w dwóch kategoriach: nauk humanistycznych i przyrodniczych. Próbowwała znaleźć mosty, głębsze związki między nimi* – mówi Hertog, który wspólnie z Hawkingiem podsuwa propozycję takiej właśnie perspektywy – zapobiegającej alienacji nie tyle ze świata, co z całego wszechświata.

Darwin w istocie

W ich ujęciu cała rzeczywistość jest jak pojedyncza cząstka, opisywana prawami mechaniki kwantowej: jej właściwości niejako ustalają się dopiero w chwili obserwacji. Przy czym może się to odbywać bez udziału świadomości. Cząstki mogą ustalać owe własności w interakcji

z otoczeniem. Nie inaczej miałyby być z kwantowym wszechświatem Hawkinga i Hertoga. W nim jednak rośnie znaczenie człowieka: „Namacalna rzeczywistość fizyczna wyłania się z szerokiego horyzontu możliwości za pomocą ciągłego procesu zadawania pytań i dokonywania obserwacji” – pisze Hertog w „O pochodzeniu czasu”.

Zdaniem Hawkinga i Hertoga ewolucji podlegały nie tylko materia, ale także prawa fizyki. Nabierały znanego nam kształtu wraz z dojrzewającym wszechświatem. Wpływały na nie przypadkowe wariacje, efekty kwantowych fluktuacji – odpowiedniki mutacji w teorii Darwina. I to ona – ewolucja właśnie – jest jedyną prawdziwie pierwotną zasadą. Prawem praw. Dwaj kosmolodzy sugerują, że dzieje wszechświata, podobnie jak ewolucja gatunków, stają się zrozumiałe dopiero w retrospekcji. – *Przecież Darwinowi nie chodziło o przewidywanie rozwoju drzewa życia, a jego rekonstrukcję* – przestrzega Hertog. Wspaniałość jego teorii polega między innymi na tym, że nie potrzebował bilionów innych planet, żeby zrozumieć biologię ewolucyjną na Ziemi. Z kosmologią kwantową jest podobnie.

W im dalszą przeszłość zaglądamy, tym prostsze struktury widzimy. Hawking i Hertog twierdzą jednak, że wraz z tym upraszczaniem rozmycia ulegają też prawa. I w końcu sam czas też się rozmywa. Przyczynowość i czas uważają bowiem za wielkości emergentne, wyłaniające

się z interakcji między niezliczonymi cząstkami. „Początek czasu jest nie tylko początkiem wszystkiego materialnego, co istnieje” – pisze Hertog. Jest ostateczną granicą tego, co można powiedzieć o naszej przeszłości. Zupełnie jakby był we wszechświata wbudowany jakiś mechanizm, który stawia granicę tego, co można o nim powiedzieć.

Nie sposób zaprezentować kosmologię kwantową – wykorzystującą elementy teorii strun, tzw. zasady holograficznej oraz innych wyrafinowanych narzędzi współczesnej fizyki – bez dramatycznych uproszczeń. To dlatego, między innymi, Hertog napisał książkę. A nawet ona ugina się pod ciężarem szczegółów, które stają się zrozumiałe tylko wtedy, gdy zapisać je w języku matematyki. Szukając sedna tej wizji, być może należałoby wskazać „Wojnę i pokój” Lwa Tołstoja albo „Fundację” Isaaca Asimova, albo dowolny tytuł Thomasa Pynchona – dowolną powieść o uwikłaniu bohaterów w świat i świata w los bohaterów. O mimowolnym stwarzaniu rzeczywistości poprzez samą w niej obecność.

Ta analogia ma dodatkowy poziom. Czytelniczka i czytelnik wędrując w ogrodzie rozgałęziających się możliwych interpretacji, wybiera jedną ścieżkę – rozszyfrowując przypuszczalne zasady i nadając powieści sens. Jak kosmolodzy. Jeden z nich, znakomity John Wheeler, pisał w eseju „Genesis and Observership” z roku 1977, że na mocy praw mechaniki kwantowej



W nieformalnej szkole Stephena Hawkinga badano głębokie pytania intensywniej niż w innych – wspomina Thomas Hertog.



„jesteśmy nieuchronnie zaangażowani w kształtowanie tego, co wydaje się dziać”. „Tworzymy świat tak samo, jak wszechświat tworzy nas” – pisze zaś Hertog.

Hawking w podróży

W kosmogonii kwantowej traci rację bytu pytanie o zagadkową przyjazność wszechświata wobec życia, jakie znamy. O dręczący niektórych kosmologów fakt, że fizyka wydaje się sprzyjać powstaniu człowieka – bo gdyby wartości stałych pojawiających się w równaniach, mas czy ładunków cząstek elementarnych były inne niż obecnie, biosfera by nie zaistniała. Wszechświat Hawkinga i Hertoga sam kreuje własną bioprzyjazność. Zgodnie z ich teorią „życie i wszechświat niejako pasują do siebie, ponieważ w głębszym sensie są razem powoływane do istnienia”.

Skupienie na tego rodzaju „nie fizycznym” problemie może się wydawać zaskakujące u Hawkinga, nieskorego do metafizycznych dywagacji. Ale nie Hertogowi. – *Już w późnych latach 90. uderzyło mnie, że Stephen jest jednym z niewielu naukowców kierujących się naprawdę wielkimi pytaniami filozoficznymi. Jego badania Wielkiego Wybuchu i czarnych dziur dotyczyły w istocie kondycji ludzkiej, naszego miejsca we wszechświecie. Pogłębialiśmy ten humanistyczny aspekt naszej pracy przez 20 lat. Zdałem sobie wtedy sprawę, że Stephena motywuje nie abstrakcja matematyczna, a coś*

głębszego. Hertog uległ uzasadnionemu wrazeniu – bo Hawkingów było dwóch. Wczesny i Późny.

Pierwszy był jak Albert Einstein i inni, których w latach 60. krytykowała Hannah Arendt – fizycy należący do pokolenia usiłującego znaleźć Teorię Wszystkiego. Ostateczne prawo wszechświata, niezależne od udziału człowieka, dające obiektywne zrozumienie, dlaczego rzeczywistość jest, jaka jest. – *Stephen należał do tej grupy, bo w niej się wychował* – mówi Hertog.

W tym najpopularniejszym schemacie myślenia o kosmosie był – i wciąż jest – co najmniej jeden fundamentalnie zastanawiający element. Wynikał z teorii Einsteina i mówił, że śledząc pradzieje, dotrzemy do początku wszechświata zwanego Wielkim Wybuchem. A tam teoria się zapada. – *Przez całe dziesięciolecie fizycy próbowali jakoś obejść tę konkluzję* – mówi Hertog. I mimo angażujących dziesiątki, a może i setki tysięcy osób wysiłków – bez sukcesu. Teorie najbliższe realizacji tego celu, zakładające istnienie wieloświata, nie mają mocy predykcji i wyjaśnień, co zaczęło budzić sprzeciw Hawkinga.

Rodził się Stephen Późny, szukający obrazu szerszej obejmującego rzeczywistość. – *Był jednak bardzo ostrożny, zbaczać z drogi równań* – wspomina Hertog. – *Bo wydaje się, że istnieje pewna magiczna linia. Jeśli powędrujesz za nią, stracisz umocowanie w nauce. Jeśli jednak pozostaniesz za blisko równań, utracisz swój humanizm. Hawking nie nazwałby tego, jak sądzę, filozofią. Powiedziała by raczej, że po prostu próbowaliśmy czytać nasze równania w przenikliwy, głęboki, ludzki sposób. Zdaliśmy sobie sprawę wcześniej, niedługo, trzy, cztery lata po rozpoczęciu współpracy w roku 2002, że problem kosmologii leży w punkcie widzenia, w epistemologii. Ale niejako wywrócić ją na lewą stronę jest bardzo trudno. Bo w fizyce jesteś skrupowany przeróżnymi regułami matematycznymi i spójnością systemu. Dlatego jemu i Hawkingowi naszkicowanie nowej kosmogonii zajęło dwie dekady.*

Tyle właśnie lat Thomas Hertog, urodzony w 1975 r., przeszedł w towarzystwie Brytyjczyka. Był w centrum towarzyszącej mu grupy. A może raczej szkoły. – *Stephen nie mógł pisać równań, rozwinął więc własny sposób myślenia o łączeniu mechaniki kwantowej z grawitacją. Bardzo obrazkowy, geometryczny. To było bardzo stymulujące środowisko, bardzo intymne, nieduże, w sumie liczące zwykle 10–20 osób. Choć oczywiście była też*

diaspora – wspomina. Teraz zajmuje się dalszym poszerzaniem tej grupy. Buduje w Leuven własną, nieformalną szkołę. Rozwija wątki kosmologii kwantowej, bo przecież wspólnie zdołali zarysować tylko szkic. I szuka sposobów na jej doświadczalną weryfikację.

– *Nowa perspektywa ma moc przewidywania, której nie mieliśmy w teorii multiświata, gdzie wszystko było przypadkowe* – mówi. Trzeba szukać potwierdzających ją skamielin, pozostałości pradawnego wszechświata. Zbadać charakterystyczne zmarszczki czasoprzestrzeni, ślady po gwałtownej ekspansji. – *Nie da się tego zaobserwować w zakresie fal elektromagnetycznych* – wyjaśnia. – *Musimy rozwijać astronomię fal grawitacyjnych, która sonduje głębokie fazy kosmosu.*

Hertog w nadziei

Teoria Hawkinga i Hertoga ma pewną zasadniczą „wadę”. Każde definitywnie zapomnieć o Teorii Wszystkiego. W każdym razie w takiej formie, jakiej niektórzy by pragnęli. Może nawet ustawia ją na półce z relikdami przestarzałego światopoglądu. Uwalnia ją, jak pisze Hertog, od „wszelkich roszczeń do prawdy absolutnej”. – *Ludzie sądzili, że taka teoria da nam fundamenty, na których będzie budować wszystko – chemię, biologię. Prawie platońską prawdę. A my mówimy: Spójrzcie, nawet prawa fizyki są częścią ewolucji. I znikają w Wielkim Wybuchu, który jest horyzontem epistemologicznym, granicą ich zasięgu. Porzucamy cel fizyki. Porzucamy cel Einsteina, czyli odnalezienie matematycznej, niezależnej od tego, co można nazwać kondycją ludzką, teorii, która mówi Wszechświatowi, jaki ma być.*

Niektórzy będą zawiedzeni. Ale nie inaczej było, kiedy swoją teorię ogłosił Karol Darwin. Straciliśmy nadzieję na zdolność przewidywania, dokąd zmierza przyroda, ale zobaczyliśmy schemat ewolucji gatunków. – *Jeśli rozszerzymy to darwinowskie myślenie na fizykę, zacniemy dostrzegać związki między cząstkami, siłami, fizyką i życiem* – przekonuje Hertog. – *Jak Hannah Arendt Stephen tak bardzo kochał świat, że chciał go sobie wyobrazić na nowo.*

KAROL JAŁOCHOWSKI

Thomas Hertog,
O pochodzeniu czasu.
Ostateczna teoria
Stephena Hawkinga,
przeł. Tomasz Lenczewski,
Zyski i S-ka, Poznań 2023



MARTA ALICJA TRZECIAK

Na co nam mamut

Naukowcy mają chrapkę na klonowanie wymarłych gatunków. To z pewnością interesujące wyzwanie. Tylko czy sukces nie przyniesie poważnych problemów?

Jak sklonować zwierzę? Trzeba pójść w ślady twórcy słynnej, urodzonej w 1996 r. owcy Dolly. Zdobyć jądro komórkowe z kompletnym materiałem genetycznym danego osobnika, czyli sto procent genów, które posiada zwierzę, by móc żyć, rosnąć czy rozmnażać się. Do tego potrzebne jest „puste”, czyli pozbawione DNA, jądro komórki rozrodczej. Wystarczy już tylko impuls elektryczny, który pobudzi proces embriogenezy, czyli tworzenia zarodka. I klon gotowy. Nie wydaje się to szczególnie skomplikowane w przypadku gatunków żyjących. Co jednak z gatunkami wymarłymi?

Owca Dolly nie przetrwała szlaków

Kwasy nukleinowe są relatywnie nietrwałą grupą związków chemicznych. Po 500 latach od śmierci zwierzęcia połowa jego materiału genetycznego ulega rozpadowi. Chyba że warunki utrwalenia ciała są bardzo korzystne dla DNA. Takich przykładów jest coraz więcej, ponieważ globalne ocieplenie sprzyja uwalnianiu okazów z wiecznej zmarzliny. Z pomocą przychodzi też współczesna nauka i technologia.

W 2019 r. na łamach „Scientific Reports” ukazały się rezultaty próby naprawy uszkodzeń w mamucim DNA. Japońscy naukowcy pobrali jądro komórkowe z bardzo dobrze zachowanych komórek Yuki – osobnika sprzed 28 tys. lat, a następnie wszczepili je do mysich oocytów (w uproszczeniu: komórek jajowych). Liczyli na to, że świeże, żywotne komórki myszy same zreperują uszkodzenia w pradawnym DNA. I słusznie. Przynajmniej część nieprawidłowości w mamucim genomie została usunięta, a powstałe w ten sposób komórki zachowywały żywotność.

Różnice pomiędzy myszą a mamutem są jednak zbyt duże, by mogło dojść do czegoś więcej niż tylko przeprowadzenia drobnych renowacji.

Pierwsze klonowanie wymarłego gatunku – o czym mało kto wie – ludzkość już dawno ma jednak za sobą. Oryginałem był koziorożec pirenejski – ssak z rodziny wołowatych, mierzący ok. 70 cm w kłębie. W 1999 r. uczeni pobrali próbkę skóry od Celi – ostatniej przedstawicielki tego gatunku – i zamrozili cenne tkanki w ciekłym azocie. 10 lat później pobrali z komórek jądra z kompletnym DNA i przeszczepili je do „pustych” oocytów udomowionych kóz.

Komórki jajowe z genomem koziorożca udało się pobudzić do rozwoju embrionalnego. Po kilku dniach zarodki przeszczepiono do macic surogatek należących do blisko spokrewnionego koziorożca hiszpańskiego. Przedsięwzięcie było realizowane na ogromną skalę: implantacji dokonano u ponad 200 samic. Z tego przyjęło się jednak zaledwie 7 zarodków, a tylko jedna ciąża została donoszona. Młode urodziło się w lipcu 2003 r., ale umarło zaledwie kilka minut po przyjściu na świat. Przyczyną śmierci był defekt płuc.

Tak niski sukces implantacji, udanych porodów i przeżyć noworodków jest typowy dla klonowanych zwierząt. Uczeni nie mają pewności, co jest tego przyczyną. Uważają, że ma to związek z procesem usuwania jądra,



przeszczepiania go oraz pozaustrojowych manipulacji komórkowych.

Kiedy pobrano próbki od Celi, samica nadal żyła (zmarła rok później). Od wykonania biopsji do klonowania minęło zaledwie kilka lat, a DNA było niewspółmiernie lepiej zachowane niż materiał genetyczny najlepiej nawet utrwalonego mamuta. Trudności, z jakimi spotkali się naukowcy, dotyczą także przywracania do życia zwierząt wymarłych wieki temu. Tyle że ograniczeń jest znacznie więcej.

Przenoszenie jąder komórkowych to jednak niejedyny sposób, by „skopiować” zwierzę. Biotechnolodzy i genetycy zwrócili się ku technikom, o których twórcy Dolly nie mogli nawet marzyć.

Słoń nie jest lustrzanym odbiciem

CRISPR-Cas9 najpierw podejrzano u bakterii. To bardzo młoda, ale przełomowa metoda edytowania genów – za jej opracowanie Jennifer Doudna i Emmanuelle Charpentier otrzymały w 2020 r. Nagrodę Nobla. Technika ma bardzo wiele do zaoferowania nie tylko medycynie i terapiom genowym. I może stać się przełomowym narzędziem do przywracania gatunków.

Najbardziej zaawansowane są prace prowadzone przez Colossal Biosciences – firmę, której czołową postacią jest prof. George Church, genetyk z Harvard Medical School. Jego zespół od kilkunastu lat dąży do przywrócenia do życia mamutów. Nie bazuje oczywiście tylko na własnych odkryciach. Staje na „ramionach gigantów”, korzystając z tego, co osiągnęły wcześniej inne laboratoria. Na przykład z kompletnego mamuciego genomu, który został zsekwencjonowany przez uczonych ze Swedish Museum of Natural History i opublikowany w 2015 r. na łamach „Current Biology”.

Tu uwaga: pozyskanie DNA z ciał zamrożonych osobników to coś zupełnie innego niż odczytanie ich genomu. To pierwsze przypomina znalezienie niezniszczonego egzemplarza papirusu sprzed kilku tysięcy lat. Drugie: odtworzenie jego treści. Jeśli dysponuje się przynajmniej dwiema kopiami, można je ze sobą porównać i uzupełnić luki spowodowane zniszczeniami. Jest jeszcze łatwiejsze, gdy dysponuje się treścią referencyjną, np. bardziej współczesnym tłumaczeniem. W przypadku mamuta jest nim słoń indyjski, czyli najbliższy spokrewniony żyjący krewny pradawnych trąbowców.

Tak właśnie pracuje zespół Churcha: genetycy najpierw „rozplatają” genom

słonia oraz mamuta, a następnie szukają w nich różnic, które uznali za istotne. Słoń indyjski ma duże uszy, a mamut powinien mieć małe. Współczesny trąbowiec ma skąpe owłosienie, a jego wymarły krewny – bardzo gęste. Badacze manipulują więc genetyką tak, aby osiągnąć ten drugi fenotyp. I tak, opierając się na swoim wyobrażeniu mamuta, budują coś, co nie jest ani słoniem, ani mastodontem. A później czekać ich jeszcze będzie długa i trudna praca, podobna do tej, którą przebyli twórcy kłona Celi. Z tym że o wiele bardziej skomplikowana.

Skoro jednak wiadomo, jak wygląda kompletny genom mamuta, to dlaczego zespół Churcha po prostu nie zbuduje od podstaw całego DNA tego zwierzęcia i nie wszczepi go do dowolnej komórki? Niestety: znać treść książki, a stworzyć jej egzemplarz, to dwie różne sprawy. Genom wymarłego trąbowca to kilka miliardów par zasad, które trzeba by mozolnie poukładać. Dużo łatwiej jest bazować na wzorcu i doklejać do niego pojedyncze sekwencje. Poza tym nawet kompletna nitka DNA sama nie stworzy nowego organizmu. Potrzebne są komórki, które wiedzą, jakie geny, w jakiej kolejności aktywować.

Badacze z Colossal Biosciences chcą jeszcze pobierać próbki skóry słonia i łączyć je z komórkami macierzystymi wyposażonymi w mamucie geny – by uzyskać hybrydowe embriony, które będą musieli przeprowadzić przez proces podobny do tego, który przeszły kłony Celi. Kłopot w tym, że tamten koziorożec posiadał wielu żyjących, niezagrażonych wyginieciem krewnych, od których pobierano komórki, a później zapładniano. Słoń indyjski jest zaś gatunkiem zagrożonym, więc jakiegokolwiek manipulacje budzą wątpliwości etyczne.

Poza tym ciąża słonia trwa prawie 2 lata. Nie wiadomo, czy płód mamuta rozwijał się tak samo długo – bardziej prawdopodobne jest, że były tu przynajmniej drobne odstępstwa. A one mogą zdecydować o porażce projektu. Czy można sobie pozwolić na zapładnianie setek samic słoni, noszących przez wiele miesięcy ciężę, z których większość zakończy się niepowodzeniem?

Zespół Churcha równolegle do projektu mamuciego planuje prowadzić program ochrony populacji słoni azjatyckich. Trudno powiedzieć, czy jest to greenwashing, czyli strategia mająca stworzyć wrażenie, że jego działania są etyczne, czy chęć realnego działania. Może jedno i drugie. Realizatorzy projektu planują też przeniesić

życie prenatalne mamutopodobnych płodów z prawdziwych do sztucznych macic – które jednak nigdy nie były testowane na taką skalę.

Trąbowiec nie musi być łagodny

Projekty odtwarzania wymarłych gatunków budzą też innego rodzaju wątpliwości. Badacze twierdzą, że mamuty – zjadając szybko rosnące, produkujące niewiele tlenu lasy i wspierając wzrost traw, które potrafią bardzo wydajnie wiązać dwutlenek węgla – pomogłyby nam walczyć z globalnym ociepleniem. Bo wielkie tundrowe połacie wzmacniają zdolność planety do odbijania promieniowania słonecznego.

To uzasadnienie brzmi naiwnie. Ostatnia żyjąca na Ziemi populacja mamutów, która zasiedlała Wyspę Wrangla (Czukocki Okręg Autonomiczny) ok. 4 tys. lat temu, liczyła do tysiąca osobników. Taka liczebność okazała się niewystarczająca do podtrzymania populacji i zwierzęta wyginęły. Ile mamutów musielibyśmy stworzyć, żeby projekt miał ekologiczny sens? Ponadto noworodki trąbowców są bardzo wrażliwe. Przeciwnością z organizmu matki przenikają do płodu tylko w niewielkim stopniu, więc młode rodzą się niemal bez żadnej odporności (tę budują dopiero, pijąc siarę, czyli pierwsze mleko matki), co w dzisiejszym świecie mogłoby oznaczać ich wysoką śmiertelność.

Poza tym uczeni, którzy badali geny zwierząt żyjących na Wyspie Wrangla, ustalili, że jedną z przyczyn porażki tej populacji mogła być nieprawidłowa struktura ich sierści. Włosie mamutów stało się bardziej jedwabiste i lśniące – i prawdopodobnie nie chroniło odpowiednio przed chłodem. Skąd wiadomo, że sierść, którą odtworzymy u mamuto-słonia będzie odpowiednia? I co to znaczy – odpowiednia? Dostosowana do dawnych czy nowych warunków?

Ile podobnych drobnostek mogło zadecydować o sukcesie lub porażce włochatych gigantów? Czy ktokolwiek jest w stanie odtworzyć gatunki roślin, które te zwierzęta jadły, mikrobiom zasiedlający ich trzewia, pasożyty oddziałujące na ich odporność? Czy będą mamuto-słonie bez skomplikowanej sieci powiązań symbiotycznych, w których kiedyś funkcjonowały? I wreszcie: Czy ktokolwiek ma prawo odbierać współczesnym organizmom powiązania, które budowały przez lata? Może mamut stanie się kolejnym gatunkiem inwazyjnym? ■



Demontaż płaskorzeźby z pomnika Chwały Wojennej Armii Radzieckiej we Lwowie, 23 kwietnia 2021 r.

Naród, który nie chce zniknąć

Jarosław Hrycak kolejny raz mierzy się z dziejami swojego narodu. Jego fascynująca „Ukraina. Wyrwać się z przeszłości” trafiła właśnie do księgarń.

M

EDWIN BENDYK

ilan Kundera, zmarły niedawno pisarz, w głośnym eseju „Zachód porwany. Tragedia Europy Środkowej” z 1983 r. rozważał los Czechów, Węgrów, Polaków – narodów niemających wątpliwości, że są częścią Europy. Oderwane jednak od swych cywilizacyjnych

korzeni skazane były na mierzenie się z rosyjskim imperializmem w radzieckim wydaniu, ukrytym pod osłoną ideologii komunizmu. Kundera przekonywał, że nie ma nic bardziej

odmiennego od środkowoeuropejskiej różnorodności niż ponura uniformizacja zapisana w radzieckim projekcie, którego celem było uczynienie ze wszystkich ludów zamieszkujących imperium jednego narodu radzieckiego, czyli w istocie rosyjskiego.

Czeski pisarz jako przykład tego procesu podał zanikanie wielkiego narodu ukraińskiego, ze zgrozą pisząc, że działo się to na oczach świata, który niczego nie dostrzegał. Jarosław Hrycak, znakomity ukraiński historyk związany z Ukraińskim Uniwersytetem Katolickim we Lwowie, autor uznanej pracy „Historia Ukrainy 1772–1999: Narodziny nowoczesnego narodu”, podchwycił obserwację Kundery w jednym ze swoich esejów.

Tak, przełom lat 70. i 80. XX w. był dla ukraińskiego społeczeństwa wyjątkowo ponury. Najwybitniejszy ukraiński poeta drugiej połowy XX w. Wasyl Stus trafił do łagru skazany za szerzenie „ukraińskiego nacjonalizmu”. W 1979 r. wrócił z zesłania, ale ponownie aresztowany w 1980 r. nie doczekał wolności, zmarł w więzieniu w 1985 r. Sześć lat później Ukraina ogłosiła niepodległość, swą decyzją doprowadzając do rozpadu Związku Radzieckiego.

Ukraińcy nie zniknęli, nie pierwszy zresztą raz – groziło im to pod koniec XVIII w., przypomina Hrycak, gdy po upadku państwowości kozackiej ukraińskiej elity polityczne rozpuściły się w żywiole rosyjskiego, imperialnego aparatu dworsko-państwowo-administracyjnego, tracąc swą kulturową tożsamość. Ponownie zagrożenie powróciło w drugiej połowie XIX w., kiedy tajny okólnik ministra spraw wewnętrznych Imperium Rosyjskiego Piotra Wałujewa z 1863 r. i wzmacniający go w 1876 r. ukaz cara Aleksandra II zakazały drukowania i wydawania czegokolwiek w języku ukraińskim, zabraniając nawet używania słowa Ukraina.

Historyk zwraca uwagę na rozróżnienie między ludem i narodem. Lud porównuje do trawy, gdy jest tak liczny i rozległy jak Ukraińcy – nie sposób go zniszczyć. Nikita Chruszczow wspominał, że Stalinowi chodziło po głowie pomysł, by wszystkich Ukraińców wywieźć na Syberię. Zrezygnował, gdy się dowiedział, że nie ma i nie będzie odpowiedniej liczby wagonów. Można jednak próbować zniszczyć naród, czyli lud zorganizowany w instytucje i struktury społeczno-kulturalne, zapewniające trwanie i rozwój oryginalnej kultury, wiedzy, religii, praktyk samoorganizacji. O takim właśnie zanikaniu pisał Kundera. I o takie rozumienie narodu toczyła się i toczy ukraińska walka z rosyjskim imperializmem.

W książce noszącej polski tytuł „Ukraina. Wyrwać się z przeszłości” autor wyjaśnia źródła oporu Ukraińców wobec kolejnych prób narzuconego im zniknięcia. Czyni to nie tylko po to, by udowodnić, że naród ukraiński był, jest i będzie, a rosyjscy imperialiści od Piotra I po Władimira Putina mylili się, kwestionując to istnienie i próbując je unieważnić. Ukraiński historyk nie jest bezkrytycznym apologetą swojego narodu. W przeszłości szuka nie tylko odpowiedzi na odporność Ukraińców na miazdzący walec dziejów. Zastanawia się, jak uciec od samej historii, bo to ona jest także najprawdopodobniej źródłem ukraińskich problemów wyrażających się we współczesnej, tragicznie paradoksalnej kondycji ukraińskiego społeczeństwa. Bo jak wytłumaczyć, że jedno z najlepiej wykształconych społeczeństw na świecie, mieszkające w kraju o niezwykłych zasobach przyrodniczych i surowcowych, fantastycznych warunkach klimatycznych, plasuje się na końcu europejskich rankingów zamożności, za to wybija się pod względem powszechności korupcji? Z czego wynikają ukraińskie problemy z nowoczesnością?

Ukraińcy absorbują ją, wyglądając i zachowując się tak jak inne nowoczesne społeczeństwa, jednocześnie jednak tej nowoczesności nie przyswajając zbyt głęboko.

Hrycak nie boi się trudnych kwestii, co udowodnił, prowokując wielokrotnie gorące dyskusje, jak choćby esejem „Tezy do dyskusji o UPA” opublikowanym w przededniu kampanii prezydenckiej w 2004 r. W tym właśnie eseju pokazał, że historii nie sposób sprowadzić do komiksu z czarno-białymi ilustracjami jednoznacznie pokazującymi złych i dobrych. Złożoność historii nie unieważnia faktu, że dotyczy ona konkretnych ludzi w różnych rolach – ofiar i katów, bohaterów i przestępców. Problem w tym, że role te potrafią się nakładać, bohater historii jednego narodu w historii innego może być zbrodniarzem. Hrycak więc opisywał zbrodniczy charakter „akcji antypolskiej” na Wołyniu, pokazywał głupotę polityczną kierownictwa Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN) – ostatecznie cel, jaki sobie stawiało, czyli utworzenie Ukrainy w jej etnicznych (niemal) granicach, zrealizował Józef Stalin po drugiej wojnie światowej, a nie Stepan Bandera.

Ale też Stalin, włączając do Radzieckiej Ukrainy tereny należące przed drugą wojną do Polski, Wołyń i wschodnią Galicję, zainfekował radziecki organizm wirusem irredenty. Ukraińska Powstańcza Armia (UPA) prowadziła walki jeszcze w latach 50., a osadzeni w łągach żołnierze byli głównymi nosicielami buntowniczej energii, stawiając opór i wszczynając powstania, o czym pisał nawet Aleksander Sołżenicyn. Tyle tylko, że zachodnia Ukraina płaciła też za swój opór wysoką cenę, bo składnikiem patriotycznego ducha była niezgoda na jakąkolwiek kooperację ze strukturami radzieckiej władzy. To skazywało rzesze Ukrainek i Ukraińców na życie na marginesie, bez szans na awans i wpływ.

Ale też Stalin, włączając do Radzieckiej Ukrainy tereny należące przed drugą wojną do Polski, Wołyń i wschodnią Galicję, zainfekował radziecki organizm wirusem irredenty. Ukraińska Powstańcza Armia (UPA) prowadziła walki jeszcze w latach 50., a osadzeni w łągach żołnierze byli głównymi nosicielami buntowniczej energii, stawiając opór i wszczynając powstania, o czym pisał nawet Aleksander Sołżenicyn. Tyle tylko, że zachodnia Ukraina płaciła też za swój opór wysoką cenę, bo składnikiem patriotycznego ducha była niezgoda na jakąkolwiek kooperację ze strukturami radzieckiej władzy. To skazywało rzesze Ukrainek i Ukraińców na życie na marginesie, bez szans na awans i wpływ.

Tak właśnie Hrycak opowiada historię, pokazując, że nie jest prostą linią łączącą kluczowe wydarzenia uruchamiane decyzjami ważnych ludzi. Jest gęstym i złożonym procesem, w którym decyzje prowadzą do nieprzewidywanych konsekwencji, a historia lokalna jest jedynie miejscowym odpryskiem dziejów globalnych. I tylko przyjęcie takiej globalnej perspektywy daje szansę na zrozumienie zarówno tego, co się wydarzyło w przeszłości, jak i teraźniejszości.

W najnowszej książce patrzy więc Jarosław Hrycak na historię Ukrainy, stosując dwie perspektywy: globalną oraz długiego trwania (*longue durée*), czyli uwzględniając konieczność badania „najgłębszych nurtów przeszłości, które wciąż mają wpływ na naszą współczesność”. Jeśli chodzi o perspektywę globalną, historyk zwraca szczególną uwagę na kilka momentów. Na przykład rok 1492, kiedy Kolumb dotarł do Ameryki. Wtedy także „we wschodniej części kontynentu europejskiego doszło do wydarzenia, które też, chociaż w skromniejszy sposób, ►



Wasyl Stus, najwybitniejszy poeta ukraiński drugiej połowy XX w., zmarł w radzieckim więzieniu.



Stepan Bandera jest pokazany przez Hrycaka jako postać niejednoznaczna; bohater historii jednego narodu, zbrodniarz w historii innego.

► miało wpłynąć na podział mapy świata. W dolnym biegu Dniepru lokalne plemię Czerkasów i Kozaków zdobyło i zniszczyło turecki statek. Opis tego zajścia jest pierwszą wzmianką o Kozakach zaporoskich. Półtora wieku do dwóch stuleci później nazwa terytorium, gdzie żyli Kozacy – Ukrainy, ziemi kozackiej, stanie się nazwą dla całego narodu i państwa”.

W opowieści Hrycaka Kolumb staje się bohaterem narodowym Ukrainy, bo swoim osiągnięciem uruchomił proces, który spowodował że drobny, lokalny incydent na Dnieprze został poniesiony przez nurt historii. Otwarcie drogi morskiej do Ameryk i napływ stamtąd kruszców, zwłaszcza srebra, zmieniły relacje gospodarcze w Europie. Jedną z konsekwencji była konsolidacja modelu społeczno-gospodarczego Rzeczypospolitej, z takimi aspektami tego procesu, jak wprowadzenie wtórnej pańszczyzny i kolonizacja ziem ukraińskich. Późniejszą historię doskonale znamy, Hrycak umiejętnie jednak opisuje z ukraińskiej perspektywy ambiwalentną rolę, jaką odgrywała Rzeczpospolita.

Była z jednej strony wzorem rozwiązań ustrojowych dla kozackich elit, tworzących później strukturę państwa kozackiego powstałego w wyniku rewolucji Bohdana Chmielnickiego. Pełniła rolę pośrednika z Zachodem i ówczesnym światem nie tylko w wymiarze przepływów gospodarczych, ale także kulturowych. Dzieci ruskiej szlachty i elity kozackiej kształciły się często w jezuickich kolegiach rozwijanych w ramach programu kontrreformacyjnej ekspansji katolicyzmu. Przez takie kolegia przeszli zarówno Chmielnicki, jak i Iwan Mazepa, najwybitniejsi ukraińscy hetmani. Jezuicki model stał się też inspiracją dla modernizacji ruskiego prawosławia i rozwoju systemu kształcenia, którego filarem stało się Kolegium Kijowsko-Mohylańskie (utworzone w 1632 r.) i szkolnictwo organizowane przez bractwa prawosławne.

Jarosław Hrycak wiele uwagi poświęca roli Rzeczypospolitej dla powstania nowożytnego ukraińskiego tożsamości. Wprowadzając jednak globalną perspektywę, przedstawia relacje polsko-ukraińskie jako efekt procesu, na który lokalni gracze – elity polskie, litewskie, ruskie, kozackie miały ograniczony wpływ, będąc jednocześnie rozgrywającymi i pionkami w grze o znacznie większej liczbie zmiennych. Rewolucja Chmielnickiego w takim ujęciu nie jest jedynie antypolskim buntem, lecz przejawem działania sił, które w tamtym czasie kształtowały cały kontynent.

Jeszcze wyraźniej walor takiego podejścia widać, gdy przesunie się zegar czasu do 1914 r., kolejnego wielkiego momentu historii globalnej. Wraz z wybuchem pierwszej wojny światowej na tereny Europy Środkowej i Wschodniej wylała się przemoc o skali porównywalnej być może do wojny trzydziestoletniej. W latach 1914–45 w Ukrainie śmierć poniosł co drugi mężczyzna i co czwarta kobieta, straty demograficzne wyniosły prawie 15 mln osób. Hrycak zastrzega, że trudno poznać dokładne statystyki – niezależnie jednak od tego, ile milionów ofiar udałooby się „zaoszczędzić”, i tak nie zmieni to faktu, że dla mieszkańców Ukrainy, Polscy, Białorusi nowoczesność manifestowała się poprzez doświadczenie przemocy o charakterze totalnym, wręcz uprzemysłowionym.

To w takim właśnie kontekście, podobnie jak w wieku XVII, rozwijały się relacje polsko-ukraińskie z ich tragicznymi momentami, jak rzeź wołyńska. Jarosław Hrycak przypomina ten kontekst nie po to, by relatywizować zbrodnie. Przekonuje jednak, że jeśli historia ma być nauczycielką życia i pomóc w uniknięciu tragicznych błędów w przyszłości, należy pamiętać o jej złożoności oraz stosować odpowiednią skalę.

Oryginał książki „Ukraina. Wyrwać się z przeszłości” ukazał się w księgarniach pod koniec 2021 r., tuż

przed rosyjską agresją na Ukrainę. Polski przekład uwzględnia już doświadczenie trwającej wojny, z najważniejszym chyba wnioskiem, który nie był jeszcze oczywisty w 2021 r. Wojna pokazała, że Ukraińcom najprawdopodobniej udało się wyrwać z przeszłości. Skuteczny opór dowodzi, że „przez trzydzieści lat Ukraina stała się tym, czym Rosja nie jest – demokratycznym państwem, gdzie regularnie zmienia się władza, funkcjonuje społeczeństwo obywatelskie, przeprowadzane są reformy systemowe”.

Więcej, Ukraina po latach samotności i izolacji po odzyskaniu niepodległości w 1991 r. wróciła na globalną scenę jako podmiot historii. Płaci za to najwyższą cenę, „wskutek działań wojennych Ukraina w najbliższych dziesięcioleciach – bezpośrednio i pośrednio – może utracić od 25 do 35 proc. swojej populacji”, pisze Hrycak. Inaczej niż bywało wcześniej w historii, tym razem Ukraińcom nie grozi zniknięcie, o którym z trwogą pisał w latach 80. Milan Kundera.

Co najważniejsze, Ukraińcy zrozumieli globalną stawkę toczącej się wojny. Wiedzą, że właśnie maksymalne jej umiędzynarodowienie, wyrwanie z narracji „specjalnej operacji wojskowej”, jaką chciał narzucić Władimir Putin, daje jedyną szansę na zwycięstwo. Rzecz nie tylko w sojuszniczej pomocy, jakiej udzielałoby państwa tzw. kolektywnego Zachodu. Jakkolwiek ważne dla rozstrzygnięcia wojny są sukcesy militarne, to warunki pokoju ustalane będą przy stole rokowań. Stawką jest narzucenie ram negocjacji oraz wizji świata po wojnie.

Ukraińcy podejmują takie próby niemal od początku agresji, prowadząc intensywne działania dyplomatyczne

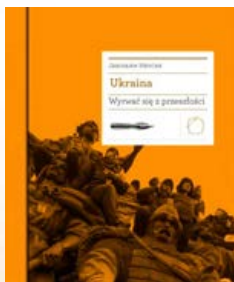
nie tylko wśród pewnych sojuszników, ale także budując relacje z państwami Globalnego Południa. Konferencja o formule pokoju Wołodymyra Zełenskiego zorganizowana w Dżuddzie w Arabii Saudyjskiej w sierpniu br. ściągnęła przedstawicieli ponad 40 państw, wśród nich byli uczestnicy z Chin, Brazylii, Indii, Afryki Południowej.

Hrycak swoją książką włącza się w ten wysiłek, gdy pisze: „rosyjska ukraińska wojna jest nie tylko lokalną wojną między Rosją a Ukrainą – ten konflikt określa kształt przyszłego świata. Ogłoszenie ukraińskiej niepodległości stało się częścią trzeciej fali globalnej demokratyzacji. Rozpoczęła się ona od rewolucji goździków 1974 roku w Portugalii, nabrała wyjątkowej siły wraz z upadkiem komunizmu w latach 1989–1991 i osiągnęła nową intensywność w pierwszych dwóch dziesięcioleciach XXI wieku”.

Ten proces napotkał opór w postaci kontrfali autorytaryzmów. Jednym z nich jest Rosja Władimira Putina. Ukraina, stawiając opór, „stała się odważnikiem, którego rzucenie na światową wagę określi, na którą stronę przechylił się szale. Ukraińska i globalna historia znowu spłoty się w krytycznie ważny węzeł”.

Warto czytać Hrycaka. Nie po to, żeby się z nim we wszystkim zgadzać. I nie po to, żeby zyskać jakiś nowy dostęp do historycznej prawdy. Bo w istocie nie o historię w jego opowieści chodzi, tylko o przyszłość. A ta rzeczywiście wyłoni się m.in. z walki, jaką prowadzą dziś Ukrainki i Ukraińcy. Książka Jarosława Hrycaka pomaga zrozumieć ich aspiracje, marzenia i źródła motywacji. Pomaga też zrozumieć, jak działa świat. A przy okazji rzuca ciekawe światło na naszą historię, którą też przydałoby się w końcu przewyciężyć.

EDWIN BENDYK



Jarosław Hrycak, **Ukraina. Wyrwać się z przeszłości**, przeł. Katarzyna Kotyńska i Joanna Majewska-Grabowska, Międzynarodowe Centrum Kultury, Kraków 2023.

Nieuleczalni lubieżnicy

DARIUSZ ŁUKASIEWICZ

Zakopywanie w końskim nawozie, wyklinanie z ambony, nadzór policyjny – jak usiłowano sobie radzić z chorobami wenerycznymi.

Choroby weneryczne zawsze stygmatyzowały, bo postrzegano je jako skutek grzechu i działalności przestępczej. Wedle greckiej idei *kalokagatii* zło kojarzono z brzydotą, a więc z zewnętrznymi objawami choroby, a zepsucie moralne z cuchnącym odorem i niedomaganiem fizycznym. Uważano, że to kara za występki, podobnie jak karą bożą miały być nieurodzaje, pożary i powodzie. Równie mocno stygmatyzowane były epilepsja oraz choroby umysłowe. Wprawdzie szaleństwo czasem miało posmak świętości, ale częściej opętania przez szatana. Choroby weneryczne wiązano z plagami nierządu, alkoholizmu, hazardu i biedy.

Demoralizacja kojarzona z nowoczesnością miała wyniszczać zwłaszcza industrialną klasę robotniczą w siedliskach wielkomiejskich w stuleciach XIX i XX. Albert Neisser, Josef Jadassohn i Alfred Blaschko – wybitni niemieccy uczeni i lekarze przełomu XIX i XX w. – uczestniczyli w burzliwej publicznej dyskusji o zagrożeniach w tym zakresie. W 1899 r. odbył się międzynarodowy kongres medyczny w Brukseli, podczas którego zastanawiano się, jak ograniczyć rozmiary zjawiska chorób płciowych, a w 1902 r. w Berlinie miało miejsce zebranie założycielskie Niemieckiego Towarzystwa do Zwalczenia Chorób Płciowych. Już w 1904 r. liczyło ono 3,5 tys. członków, a w 1912 – 5 tys. Wzrastała też szybko liczba lekarzy chorób płciowych i dermatologów w Niemczech: ze 160 specjalistów w 1904 r. do 1069 w 1937 r.

Wrzód na ciele społecznym

Francuski pisarz i publicysta Louis-Sébastien Mercier pod koniec XVIII w. o chorych wenerycznie pacjentach szpitala *Bicêtre* na przedmieściach Paryża napisał: „W *Bicêtre* przyjmują także osoby płci obojej, zakażone chorobą weneryczną; wystarczy w tym celu przynieść kartkę od szefa policji, a kartkę otrzymuje się po stwierdzeniu choroby przez chirurga szpitalnego. Liczba chorych nie jest stała, przyjmuje się ich tylu tylko, ile mogą pomieścić sale przeznaczone na ten użytek”. Dotkniętych tą przypadłością Mercier charakteryzował jako „straszny wrzód na ciele społecznym: wrzód ogromny, głęboki, ropiejący; niepodobna spojrzeć nań i nie odwrócić oczu. Powietrze nawet, bijące w nozdrza na odległość czterystu sążni zapowiada, że zbliżacie się do więzienia, do przybytku nędzy, poniżenia, niedoli”. Zwiedzająca ten przybytek szwajcarska publicystka i pisarka Albertine Necker de Saussure ujrzała „nieszczęśników leżących współ na jednym postaniu ▶

© POLONA

POLSKIE TOWARZYSTWO EWGENICZNE
ISTNIEJĄCE OD 1915 ROKU. POSIADA ODDZIAŁY W:
WARSZAWIE, POZNANIU, WILNIE, BIAŁYMSTOKU, KATOWICACH, KRAKOWIE, WŁOCŁAWKU
ZARZĄD GŁÓWNY – WARSZAWA – NOWY ŚWIAT 1



**RODZICE CHORZY NA SYFILIS A. ZANIEDBUJĄCY
LECZENIE. BIERZCIE PRZYKŁAD Z TYCH KTÓRZY-
SYMNIENNIE WYLECZYLI SIĘ I POSIEDLI ZDROWE
WESOŁE DZIECI.**

BRUNO W. S. WILKIN

Plakat z dwudziestolecia międzywojennego.

► w kałuży odchodów; chorzy przekazywali sobie nawzajem śmiertelne zadatki”.

Syfilis, który stał się palącym problemem, począwszy od końca XV w., wywoływał przerażenie. Jako datę przybycia do Europy tej choroby z Ameryki Południowej podaje się rok 1495, chociaż część historyków twierdzi, że na dolegliwość tę cierpiano wcześniej, choć nie było jej rozpoznania. Roznoszona była szczególnie przez żołnierzy i nierządnic, które też najszybciej zaczęły stosować prezerwatywy jako osłonę przed zarażeniem. Lekarz Wojciech Oczo, nadworny medyk Stefana Batorego i Zygmunta III Wazy, jak wielu innych jako przyczynę upowszechniania zarażeń podawał rozwiązłość obyczajów i dowodził, że „przymiot choroba (...) z nierządnego i nieczystego obcowania przyrzucac zwykła”. Jeszcze w XVIII w. korzystano z prezerwatyw wykonywanych z naturalnych materiałów – zwierzęcej kiszki czy rybiego pęcherza – i nie były one masowo stosowane. Przeciw prezerwatywie wypowiedział się w 1853 r. jednoznacznie Kościół katolicki – uznał jej użycie za grzech.

W rzeczywistości jednak płatnego seksu poszukiwały często osoby nie rozpustne, ale samotne. Jeżeli spojrzymy na społeczną strukturę dawnego, feudalnego miasta, to zobaczymy, że związki małżeńskie zawierali mężczyźni zamożniejsi, a więc co najmniej rzemieślnicy, majstrowie, kupcy. Czeladników nie było stać na utrzymanie żony, szukali więc rozwiązań prowizorycznych, podobnie jak na wsi parobkowie.

Tak też było z wojskowymi, wiele lat skoszarowanymi w garnizonach. W 1764 r. w Tulonie komendant wojskowego szpitala stwierdził, że żołnierze chodzą właściwie wyłącznie do nierządnic, czego rezultatem jest wielka liczba chorych wenerycznie. Dlatego problem z chorobami wenerycznymi występował też w niewielkich ośrodkach, jak np. na ziemiach polskich Bydgoszcz, Gniezno czy Inowrocław, jeśli były tam garnizony. Żołnierze często przybywali do nich z wielkich aglomeracji, już chorzy. W 1888 r. w Gnieźnie 70 rekrutów, których przeniesiono z Berlina, natychmiast poddano hospitalizacji. Kiła i rzeżączka w Poznaniu i Bydgoszczy stanowiły w latach 1910–13 ok. 3–5 proc. wszystkich zachorowań. To typowy odsetek. Wyższy był w miastach portowych, np. w Gdańsku wynosił aż 10–15 proc.

Ta sytuacja sprzyjała rozwojowi prostytucji, którą uważano w miastach za społeczny wentyl bezpieczeństwa i mniejsze zło niż uwodzenie mężatek i panien,

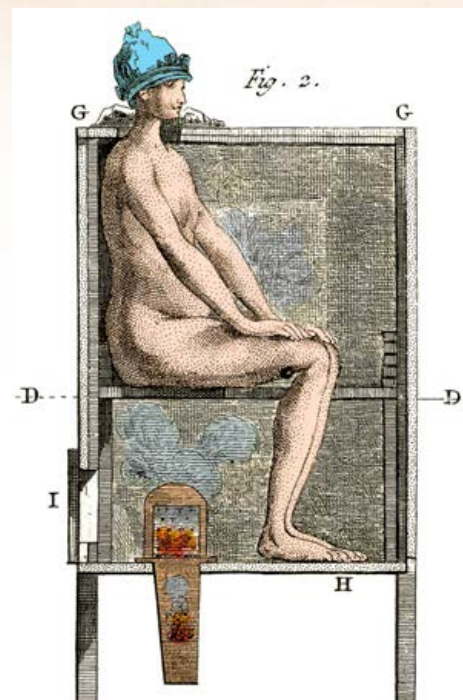
szczególnie służących, stanowiących łatwy łup. Uwiedzenie mogło skutkować hańbą nieślubnego macierzyństwa i „bękartem”, aborcją, nawet dzieciobójstwem. Już św. Augustyn w IV w. stwierdził: „Zlikwiduj prostytutki, a nieszczęścia i zło wstrząsną światem, nadaj im rangę uczciwych kobiet, a niegodziwość i niesława zniszczą cały świat”.

Miasta grzechu

Polscy podróżnicy, opisując wielkie zagraniczne miasta, wspominali także o tamtejszych „ladacznicach”. Francuszek Ksawery Bohusz o amsterdamskich dziewczynach w latach 1777–78 napisał: „Nie ma podobno czytelnika, który by nie słyszał o sławnych musico domach amsterdamskich. Są to domy, czyli szynki publiczne, do których się zbierają wieczorem mężczyźni pod pretekstem tańcowania, w rzeczy zaś samej dla wybierania według gustu swojego kobiet, uczęszczających na to miejsce, i zaprowadzenia ich do domów wygodniejszych”. O podobnych „dziewkach” w Londynie napisał: „po wszystkich ulicach liczba wielka niezmiernie. One przykrzą się przechodzącym, zastępują drogę, chwytają za skraj sukni, ledwie się im obronić można. Po mniejszych uliczkach nie ze wszystkim bezpiecznie, bo tam są sprawne, że ani się spostrzec, jak ci zegarek i pieniądze z kieszeni wyciągną”.

Grzeszemu stylowi życia metropolii przeciwstawiano sielski świat wiejski, gdzie obok rodziny są tylko dobrze znani i przyjaźni sąsiedzi. Gdzie nie ma lupanarów, nieślubnych dzieci, przerażających dzielnic nędzy i występku. Z badań historyka Waława Urbana opublikowanych w pracy „Znaczenie kiły w dziejach Pierwszej Rzeczypospolitej” wynika, że na sarmackiej wsi problem chorób wenerycznych nie miał większego znaczenia. Lekarz i zakonnik Ludwik Perzyna (1742–1812) w podręczniku zdrowia dla włościan dodał jednak aneks o „chorobie lubieżnej”. Stwierdził tam, że wieśniacy zarażali się kiłą w miastach i w wojsku jako rekruci.

I rzeczywiście na wsi i w miasteczkach prostytutki pojawiały się zdecydowanie rzadziej, czasami na jarmarkach i odpustach. W wielkich aglomeracjach było ich dużo ze względu na odwiedzających turystów, polityków, posłów (Warszawa) i pątników (Rzym). A dawniej mężczyźni częściej podróżowali sami, bez żon. W miastach na pokusy narażało przebywanie w kręgach dworskich, w środowisku arystokracji, wśród bogatych i swobodnych elit, zamożnego mieszczaństwa i kupców.



Ilustracja przedstawia jedną z metod leczenia chorób wenerycznych, 1776 r.

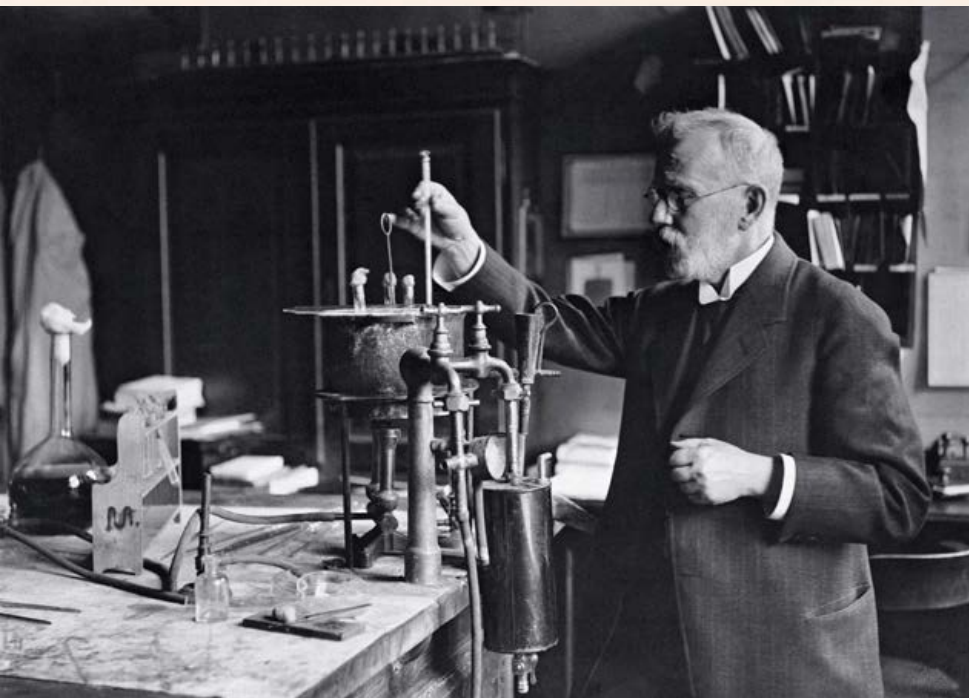
Nawet nazewnictwo podkreślało wielkomijski charakter wstydlivej przypadłości. Pod zaborem pruskim kiłę nazywano m.in. chorobą warszawską, a wcześniej francuską, czyli franą. Kojarżono ją również z przybyciem do Polski Włochów w XVI w.

Legalizacje i zakazy

O skali zarażeń w Warszawie końca XVIII stulecia podobne zdanie wyrazili podróżnik Fryderyk Schulz, lekarz króla Stanisława Augusta Poniatowskiego Leopold Lafontaine i śląski medyk Johann Kausch – kiła była rozpowszechniona.

Jak więc z nią walczyło? W czasopiśmie „Monitor” zwracano uwagę na nieskuteczność tępienia nierządu: „historia uczy, że daleko okropniejsze wynikały skutki po owych wielkich miastach, gdzie najbardziej usiłowano wykorzenić nierząd i z których tym się bawiące niewiasty wyrzucano. Zaraz bowiem liczniejsze następowały cudzołóstwa, gwałty, porywanie panien, zabójstwa i dzieciobójstwa”.

W okresie oświecenia problem chorób wenerycznych próbowano rozwiązać przede wszystkim wśród żołnierzy garnizonów poprzez legalizację nierządu i ujęcie go w cywilizowane ramy. Zamiast represji wprowadzano przepisy sanitarne oraz nadzór lekarski. Nicolas Edme Restif de la Bretonne, francuski pisarz i liberyn, sugerował to już w 1769 r. Do reformowania prostytucji zabrały się we Francji rządy rewolucyjne i później



Bakteriolog Paul Ehrlich, który w 1909 r. wynalazł skuteczny środek na kiłę.

napoleońskie, a w Prusach Fryderyk II Hohenzollern. W 1800 r. w Paryżu zobligowano urzędników „do baczenia na domy rozpusty, na ich mieszkańców i osoby w nich przebywające oraz do zapewnienia środków zapobiegających chorobom wenerycznym i ich rozprzestrzenianiu się”. W 1802 r. wprowadzono przymusową rejestrację prostytutek oraz regulaminy dla domów publicznych. Ich liczba rosła szybko nie tylko w okresie cesarstwa, ale również po restauracji dynastii Bourbonów w 1815 r. W Paryżu do 1812 r. liczba zarejestrowanych prostytutek wzrosła z 1200 do 3000, z tego w domach publicznych z 700 do 1000, jednak wielokrotnie liczniejsze były pracujące nielegalnie. Dziennikarz Sebastian Mercier podawał w końcu XVIII w. orientacyjnie, że w Paryżu swoje rzemiosło wykonuje 30 tys. ladacznic i 10 tys. utrzymanek.

Kontrole lekarskie odbywały się dwa razy w miesiącu w domach publicznych i w prefekturze. Lekarze narzekali jednak, że te wizyty są zbyt rzadkie, aby utrzymać kobiety przy zdrowiu. Hospitalizacja chorych wenerycznie prostytutek przebiegała z trudnościami. W 1811 r. w szpitalu wenerycznym w Paryżu wydzielono dla nich osobny oddział. Kobiety, które opuszczały szpital, potrzebowały środków utrzymania, więc natychmiast wracały na ulicę, często werbowane przez stojące pod szpitalem naganiaczki, i zarażały się ponownie.

Wielu ta legalizacja się nie podobała. Konserwatyści francuscy w czasie swych rządów zamykali domy publiczne przy większych ulicach i starali się skanalizować prostytucję na obszary getta. „Nieszczęsne ofiary nędzy lub niedbalstwa rodziców – czytamy. – Jakże zacny i niezamierzony ojciec rodziny ma się spodziewać, iż zachowa córkę swoją czystą i nieskałaną, skoro dziewczę dorósłszy widzi u swoich drzwi wystrojoną ladacznicę, jak rzuca się na mężczyznę, obnosi się z swą niecnotą, opływa złotem wśród nierządu i pod skrzydłami prawa korzysta z owoców rozpusty? Po zastanowieniu dziewczyna powie sobie, iż za cnotę nie czeka ją żadna nagroda”. Konserwatysta, lekarz higienista Parent-Duchatelet, oceniał to znacznie bardziej krytycznie: prostytucja musi być spychana na margines i tam jest jej miejsce. Aby ulokować ją w getcie, analitycy przeszłości tworzyli wokół prostytucji klimat zbroczenia oraz odchyłeń umysłowych.

Dyscyplina burdela

W 1835 r. ustalono w Prusach przepisy dotyczące zwalczania chorób dróg płciowych. Jednocześnie rozwijano sprawozdawczość statystyczną, aby zorientować się w zakresie i strukturze zachorowań, a także prowadzono kursy ostrzegające przed syfilisem, m.in. na uczelniach humanistycznych i technicznych. W 1841 r. władze zakazały funkcjonowania domów publicznych, które swe podwoje otworzyły

oficjalnie za rządów Fryderyka II. Władca ów otoczył prostytutki opieką lekarską, aby nie zarażały armii królewskiej i nie osłabiały jej zdolności bojowej. Zjawisko prostytucji jako nieuchronne chciano nadzorować oraz regulować. Wiek XIX stał się jednak coraz bardziej pruderyjny i restrykcyjny.

Długo przypadłości weneryczne uznawano za na tyle hańbiące, że wyłączano je z ubezpieczeń zdrowotnych. W 1884 r. w Bydgoszczy, Magdeburgu czy Szczecinie wprowadzono dla nierządnic opłatę na leczenie chorób zawodowych w wysokości pół marki miesięcznie, co zapewniało tym kobietom w razie potrzeby hospitalizację i leczenie. Ukrywanie choroby było zabronione i karane grzywną. Zakazano też wynajmowania prostytutkom mieszkań i stręczycielstwa.

Do ubezpieczenia zdrowotnego w Prusach włączono chorych na choroby dróg płciowych dopiero w 1893 r. Według ustaleń z 1897 r. prostytutki nadzorowała policja i specjalnie do tego wyznaczony lekarz, który miał przeprowadzać badanie pacjentki wyłącznie w gabinecie, a nigdy w mieszkaniu swoim ani kobiety. Podejmowano też środki mające ułatwić kobietom zajmującym się nierządem powrót do normalnego życia.

Kuracja w łajnie

Z syfilisu leczono nieskutecznie. Często kuracja połączona była z represją. Jedną z dolegliwych metod było zakopywanie chorych na kiłę w gnoju końskim, co widywano w niektórych miastach, a co miało też pełnić funkcję pedagogiczną i odstraszającą. Kuracje nazywano „gnojnikami” i stosowano już w XVI w. w Krakowie i Warszawie. Trwały nawet 6–7 dni. Sądzono, że nawóz ma własności rozgrzewające i zmiękczone. Gnój miał „wyciągnąć na wierzch to, co jest w ciele, przy tym zapalenie każde chłodzić”. W XVIII w. przeważały preparaty rtęciowe niesłusznie uważane za skuteczne. Stosowano też rośliny: gwajak oraz driakiew, często sporządzano dziwaczne, cuchnące mieszanki, np. z oczami raków i łupinami ostryg.

Pod koniec XIX w. narastały alarmy lekarzy zaniepokojonych skalą zjawiska. W Prusach w 1900 r. odnotowywano 41 tys. chorych wenerycznie. W Berlinie na tę przypadłość zapadał rocznie tysiąc młodych mężczyzn.

Dopiero w 1909 r. bakteriolog Paul Ehrlich wynalazł skuteczny salwarsan, zawierający arsen, który stał się realnie działającym lekiem przeciw kile, zanim wprowadzono penicylinę.

DARIUSZ ŁUKASIEWICZ



na ekranie

Poniżej poziomu bohatera 3/6

Raport Pileckiego, reż. Krzysztof Łukaszewicz, prod. Polska, 118 min

Film o Witoldzie Pileckim trafił na ekrany kin po kilku latach produkcji i niezliczonych problemach – zmiana na stanowisku reżysera i przepisanie scenariusza wymusiły nakręcenie części materiału od nowa, pod koniec prac nad filmem zmarł producent Włodzisław Niderhaus, długo trwały również spory z twórcą pierwotnej wersji Leszkiem Wosiewiczem, którego nazwisko w napisach ostatecznie się nie pojawia. Burzliwy okres produkcji bez wątpienia odcisnął się znacząco na gotowym filmie: mimo okazałego budżetu (niektóre źródła mówiły nawet o 40 mln zł – pisali o tym Violetta Krasnowska i Artur Zaborski w POLITYCE 42/20) i zaangażowania do roli reżysera Krzysztofa Łukaszewicza, doświadczonego w pracy nad kinem wojennym, „Raport Pileckiego” przypomina raczej hagiograficzną czytankę zaadaptowaną na potrzeby Teatru Telewizji. Fabuła rozpoczyna się w chwili aresztowania rotmistrza przez bezpiekę, a podczas sadystycznego przesłuchania Pilecki opowiada o roli, jaką pełnił w czasie

wojny: od kampanii wrześniowej, poprzez pobyt w Auschwitz, po udział w powstaniu warszawskim. Debatę na temat wierności faktom zostawmy historykom: jest w tej filmowej biografii poniekąd zrozumiały (ze względu na instytucje współfinansujące produkcję, z Polską Fundacją Narodową na czele) prawicowo-katolicki przechył, jest też kilka scen i sugestii wystarczająco kontrowersyjnych, by o nich dyskutować. Gorzej, że poza heroizmem nie ma w „Raporcie...” miejsca ani na moralne wątpliwości, ani prawdziwe emocje, ani nawet na szersze zarysowane tło. Współpracownicy i rodzina Pileckiego zostali sprowadzeni do ról statystów, a mocniej niż wojenni bohaterowie zapadają w pamięć przesłuchujący rotmistrza ubecy. Nawet aktorzy nie wydają się przesadnie zaangażowani w swoje zadania, może z wyjątkiem grającego główną rolę **Przemysław Wyszyński**. Ostateczną ocenę podwyższa waga tematu, ale wybierając się do kina, proszę pamiętać, że to jeszcze nie jest ten film, na który bohater formatu Pileckiego zasłużył.

JAKUB DEMIAŃCZUK

na scenie

To działa 4/6

Pogo, według Jakuba Siczki, reż. Kinga Dębska, Teatr Polonia w Warszawie

Kinga Dębska, reżyserka filmowych opowieści chwytających za serce, przeniosła na scenę chwytającą za serce opowieść Jakuba Siczki. Autor jest stołecznym anestezjologiem, znanym także z relacji z akcji ratunkowych Medyków na (polsko-białoruskiej) Granicy. W „Pogo” opisał lata, które przepracował jako szef zespołu ratowników medycznych na warszawskim Grochowie. Jest tu wszystko, czego można oczekiwać: przypadki banalne (bolesne miesiączki, problemy z sikaniem związane z przerośniętą prostatą), irytująco-wzruszające (samotne staruszki wzywające pogotowie, by mieć z kim porozmawiać), męczące (bezdolni i osoby upojone alkoholem) i przerażające (zagrożenie życia młodych ludzi i dzieci). Jest stopniowanie emocji i są momenty humorystyczne, obserwacje społeczne i perspektywa osobista, trochę wiedzy (inaczej niż w serialach, w rzeczywistości sukcesem kończy się tylko 12 proc. resuscytacji)



i złote myśli („wydolność krążeniowo-oddechowa to już całkiem dużo”). Z boku sceny stoją dwa fotele symbolizujące karetkę, na jednym na stałe zainstalowany jest Radosław Luka, miksujący muzykę i niemo wcielający się w rolę kierowcy, w tle stoją prycze i biały miś dla małych pacjentów. Krążący między nimi **Marcin Hycnar** w pomarańczowym stroju ratownika sumiennie i z charyzmą odgrywa balansowanie bohatera na linii rozpiętej między adrenaliną i rutyną. To działa, a jednak doskwiera dosłowność i oczywistość użytych środków. To nie film, to teatr, zabrakło reżyserskiego pomysłu.

ANETA KYZIOŁ



w telewizji

Rodzice i dzieci 4/6

Belfer 3, reż. Łukasz Grzegorzek, 8 odc., Canalplus.com, premiera 8 września

Po sześciolatej przerwie **Maciej Stuhr** znowu wraca do roli tytułowego licealnego polonisty i dorosłego detektywa. W pierwszym sezonie Paweł Zawadzki odkrywał, kto stał za śmiercią 17-latkę w otoczonych jeziorami Dobrowicach, w drugim tropił (krwawe) tajemnice uczniów prestiżowego liceum we Wrocławiu, w trzecim zaś twórcy fundują mu powrót do korzeni, czyli do rodzinnego Małomorza. Wprowadza się do domu ojca, nazywanego Kapitanem (Jacek Koman), z którym jest w nie najlepszych relacjach, zaczyna pracę w maturalnej klasie, spotyka dawną miłość Ewę Krawiec (Roma Gąsiorowska), obecnie rzutką policjantkę i samotną matkę 17-latkę. A nowa zagadka wiąże się z tajemniczym zaginięciem najbliższego przyjaciela córki Ewy, Kacpra (Michael Zieliński) podczas szkolnego rejsu pod opieką Kapitana. Śledztwo Pawła staje się okazją do przyjrzenia się pokoleniu rodziców – szczególnie ojcom – lokalnej elicie i jej interesom. Obraz, jaki odśladają się w kolejnych odcinkach, nie jest jednak oryginalny, przeciwnie – sprawia wrażenie wymęczonego, jak, nie przymierzając, grany przez Mirosława Bąkę biznesmen, którego szemraność i depresję widać z kilometrów. Lepiej wypada wątek młodych, z ciekawą przewrotnością i przesłaniem. Ożywają „Belfra 3” aktorzy, wspomagani przez naturalnie brzmiące dialogi. Reżyserujący sezon Łukasz Grzegorzek udowodnił swoimi filmami, że zna się na psychologii i pracy z aktorem, i tu też nie zawodzi. AK

w telewizji

Lojalność i wolność 5/6

Infamia, reż. Anna Maliszewska, Kuba Czekaj, 8 odc., Netflix

Infamia należy do bardzo dziś popularnego gatunku *coming-of-age* – historii o dorastaniu i poszukiwaniu swojej tożsamości, z nastolatkami w rolach głównych. Na tle międzynarodowej konkurencji serial Anny Maliszewskiej (pomysł, współautorstwo scenariusza, z Daną Łukasińską i Julitą Olszewską oraz reżyseria – na spółkę z Kubą Czekajem) wyróżnia polsko-romski kontekst, pokazany wielowarstwowo i różnorodnie. Zaś na tle rodzimych produkcji – staranność realizacji: wypieszczone kadry autorstwa Wojciecha Zielińskiego, wspomaganego przez pion kostiumowy, scenograficzny i castingowy, oraz świetna muzyka czerpiąca z tradycji romskiej i rapu (twórcy: Łukasz Targosz i Wojtek Urbański). Główna bohaterka, 17-letnia



Gita Burano (**Zofia Jastrzębska**), po latach spędzonych w Walii wraca z najbliższymi (Sebastian Łach, Magdalena Czerwińska) do rodzinnej Białej Góry na Dolnym Śląsku, malowniczej, ale naznaczonej trudnymi relacjami polsko-romskimi i polskim nacjonalizmem. Rodowi Burano przewodniczy wuj Stefan (Artur Dziurman), kierujący się tradycyjnymi romskimi wartościami. Dziewczyna jest zmuszona lawirować między nowoczesnością i tradycją, między pragnieniem wolności a lojalnością wobec rodziny i kultury, a potem do gry wchodzi jeszcze miłość. Brzmi to schematycznie, ale „Infamia” potrafi tchnąć (skomplikowane) życie w klisze, nasączyć bohaterów wątpliwościami, ich dylematy uwiarygodnić. Nie unikając przy tym rozmaitych pułapek, ale też bawiąc się konwencjami i wpisując tę opowieść w dzisiejszy globalny świat, który miesza języki i kultury. AK

w galerii

Powrót do przeszłości 3/6

Łacińskie figur racje. Tadeusz Boruta, Antoni Cygan, Piotr Naliwajko, Galeria Zachęta, Warszawa, do 15 października

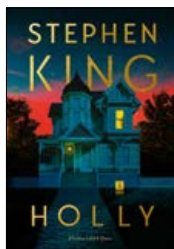
Janusz Janowski, dyrektor Zachęty, a w tym przypadku także kurator wystawy, konsekwentnie pakuje galerię w wehikuł czasu i przenosi w przeszłość. Tym razem każe zwiedzającym delektować się figurą ludzką,



Tadeusz Boruta, „Św. Franciszek oddaje się pod opiekę Kościoła”, 2005 r.

a żeby widz interpretacyjnie nie zbłądził, podkreśla, że chodzi o takie walory jak „gra światła i cienia”, „zestrojona barwno”, a nawet „emulacja jako strategia wyrazowa”. Słowem: wielki triumf formy. A treść? Tu przydałoby się przy wejściu i wyjściu z galerii umieścić kropielnicę, bowiem motywy biblijne wręcz sakralizują przestrzenie wystawowe. Mamy zatem Tadeusza Borutę z silnie estetyzującym, patetycznym i pełnym ekspresji, ale i dość monotonnym obrazem człowieka (alter ego artysty) szukającego w wierze sensu w bezsensownym świecie. Mamy Piotra Naliwajkę, niegdyś członka słynnej anarchizującej formacji Tercet Nadęty, który najsilniej, najbardziej różnorodnie i zdecydowanie najciekawiej z prezentowanej trójki twórców próbuje wykorzystać testamentowe wątki do opowieści o współczesnym świecie. I w końcu Antoniego Cygana, którego obrazy może świetnie nadają się do transeptu czy absydy, ale nie do Zachęty nawet w jej odmienionym programowo kształcie. Dyrektor galerii zapytany, jak czuje się, gdy na sali wystawowej mijają figurę Matki Boskiej, odpowiedział: „To doświadczenie ciekawe i osobliwe, z którym czuję się bardzo dobrze”. Cóż, „osobliwe” to określenie trafne, choć zdecydowanie eufemistyczne.

PIOTR SARZYŃSKI

książki Fragmenty książek na stronie: www.polityka.pl/czytelnia

Ta straszna Ameryka 5/6

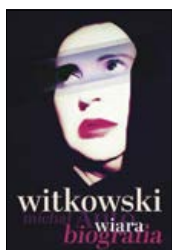
Stephen King, **Holly**, przeł. Tomasz Wilusz, Prószyński i S-ka, Warszawa 2023, s. 560

Im dalej Stephen King odchodzi od tradycyjnie rozumianego horroru, tym lepiej robi to jego książkom. Groza, jeśli się już pojawia, jest jedynie metodą opisaną rzeczywistości. Czarne charaktery nowej powieści – para emerytowanych wykładowców uniwersyteckich, przekonana, że kanibalizm pozwoli im przedłużyć życie – oczywiście budzą lęk i atawistyczny wstręt, lecz czy odżywające wśród ludzi demony rasizmu i nienawiści nie są bardziej przerażające? King patrzy na post-Trumpowską Amerykę bardzo krytycznie, zdążył już czytelników do tego przyzwyczaić. Zdarza mu się wpadać w mentorski, publicystyczny ton, choć służący słusznej sprawie. W „Holly” wracają także inne tematy, po które w ostatnich latach sięga obsesyjnie: od próby pogodzenia się z własną śmiertelnością, po siłę płynącą z pisania, w szczególności poezji, której poświęcony jest bardzo ważny wątek drugoplanowy.



Wiadomo, że ambicje Kinga sięgają daleko ponad tworzenie masowej literatury, lecz przecież „Holly” to także po prostu pierwszorzędne czytadło, z powodzeniem łączące kryminał z powieścią obyczajową i społeczną (akcja toczy się w szczytowym okresie pandemii, co ma niebagatelny wpływ na fabułę). A jej tytułowa bohaterka, prywatna śledcza Holly Gibney, urosła z drugoplanowej postaci w cyklu kryminalnym o Panu Mercedesie do jednej z najciekawszych, najbardziej złożonych bohaterek powieści Kinga. Ambitna, inteligentna, nieustannie zmagająca się z całym zestawem lęków, kompleksów i społecznych fobii, z jednej strony odgrywa rolę everywoman, z którą większość czytelniczek i czytelników może się łatwo zidentyfikować, z drugiej – choć wpisuje się w Kingowski kanon silnych postaci kobiecych, nawet na ich tle pozostaje kreacją wyjątkową.

JAKUB DEMIAŃCZUK



Zawsze na scenie? 4/6

Michał Witkowski, **Autobiografia. Tom pierwszy: Wiara. 1975–1990**, Znak Literanova, Kraków 2023, s. 496

Pierwsza część zamierzonego na kilka tomów autobiograficznego cyklu Michała Witkowskiego. O tej książce krążyły w literackim środowisku legendy: że obrazoburcza, demaskatorska, bezkompromisowa. Impnuje rozmachem. A jako że tom pierwszy obejmuje 15 pierwszych lat życia autora, przypadających na barwny pod względem

społeczno-historycznym okres lat 1975–90, rozmach ten idzie w parze z drobiazgowością opisu. Tyle smaków, zapachów, wydarzeń – stan wojenny, Czarnobyl, pierwsze zachłyśnięcie Zachodem. Dla pisarza, który lata 80. i czas przełomu uczynił jednym z głównych tematów swej prozy, powrót do tych czasów jest ciągiem reminiscencji i sentymentalnych zachwytności, a dla fanów Witkowskiego – możliwością podpatrzenia, co z życia autora „przydało się do prozy”. Najciekawsze jest obserwowanie, jak Michaś, wrażliwy chłopiec z inteligentnej rodziny, przekształca się w figurę, która wejdzie do prozy jako Michaśka. To w formacyjnym okresie dzieciństwa i nastoletniości pojawiają się sygnały teatralizacji rzeczywistości, nieustannego czynienia z siebie pierwszoplanowego aktora. Tu ujawnia się główne pęknięcie tej autobiograficznej prozy: potrzeba bycia na scenie nie do końca idzie w parze z bestywalnym niemal narracją „Wiary”. Witkowski, który jest zawołanym stylistą, zdiera z siebie maski, wychodzi z roli. Życie zostało odarte z literatury, został sam mięsz.

MACIEJ ROBERT



Bo po co cynizm 4/6

bell hooks, **Wszystko o miłości. Nowe wize**, przeł. Karolina Iwaszkiewicz, Wydawnictwo Filtry, Warszawa 2023, s. 264

Esej słynnej amerykańskiej pisarki i feministki, która pisze pod pseudonimem bell hooks, ukazał się pierwszy raz na początku tego wieku. Najciekawsze jest to, że się nie zestarzał – miłość nadal potrzebuje obrony. Dziś może nawet bardziej, bo po latach pandemii, wymuszonej izolacji i gorzkiego triumfu samotności (nazywanej wręcz chorobą cywilizacyjną) miłość zesłała na plan dalszy, wypaczana jeszcze przez popkulturę. Autorka nie jest cyniczna, przeciwnie, pisze z ekscytacją osoby, która pierwszy raz doświadcza zakochania. Nawet jeśli prędzej czy później sprawdza to na nas żalobę. bell hooks postuluje powrót do miłości i sama wraca do przemyśleń pierwszych teoretyków bliskości, jak choćby Erich Fromm. To zarazem miłość szeroko rozumiana: i jako związek, i jako dowolna wspólnota ludzi. hooks (zmarła w 2021 r.) o degradację miłości wini nie tylko banalną romantyczność, ale i patriarchat. Mężczyźni – pisze – zapomnieli, co znaczy „służyć” w dobrym rozumieniu tego słowa. Trudno jednak oprzeć się wrażeniu, że hooks bywa w swoich peregrinacjach sentymentalna. Chyba najlepiej o tym świadczy ostatni rozdział o aniołach zwiastujących miłość. Brakuje ludzkiego doświadczenia, które nie zawsze da się naprawić „pozytywnym myśleniem”. Ale może przemawia przeze mnie cynizm? Blisko tej książce do trzymającej się życia popowej „Książki o miłości” Olgi Drendy i Małgorzaty Halber, a krok dalej idzie w swoich rozważaniach świeższy esej „Wymyślić miłość na nowo” Mony Chollet. Wszystkie na swój sposób przypominają, że o miłości warto rozmawiać, szukać dla niej miejsca w różnych przestrzeniach i kontekstach. I mimo wszystko pielęgnować ten może najważniejszy mit.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

na płycie

Przeboje i boje 5/6

Róisín Murphy, **Hit Parade**,
Ninja Tune

Już kontakt z zapowiadającymi płytę singlami sugerował doskonałą zabawę, w dodatku podwójną, bo choć płyty Róisín Murphy są z reguły radosne, a muzyka rytmiczna, zawsze trzeba się mocno starać, by bawić się lepiej niż sama bohaterka. Szalona w estetyce, za to technicznie perfekcyjna diwa sceny klubowej. Na „Hit Parade” cała ta „klubowość” z pewnością nie ciąży. Oznacza w tym wypadku taneczne rytmy z gatunku lekkich, najczęściej zdradzające wpływy R&B i soulu, rzadziej house’u. Brzmi to naturalnie – nawet gdy Murphy sięga po Auto-Tune’a, by przetwarzać swój głos, robi to jakby od niechcenia. Wśród współpracowników znaleźli się tym razem niemiecki producent DJ Koze i mistrz dubu, lubiany w Polsce Mad Professor. Ich pomysły są na tyle ekstrawaganckie, żeby pasować do wokalistki Moloko, ale zarazem wystarczająco przebojowe, by minęła się na listach przebojów z Jessie Ware. Klimat imprezy zakłóciły ostatnio oskarżenia Murphy o transfobię, gdy Irlandka skrytykowała stosowanie blokerów dojrzewania u dzieci borykających się z dysfonią płciową. Będzie więc trochę zamieszania z przyjęciem płyty, choć sama muzyka jest znakomita i wpisuje się w historię clubbingu, niezerwalnie związanej ze środowiskiem LGBT.



BARTEK CHACIŃSKI

Praga wyśpiewana 5/6

Justyna Jary i Alegancka Kapela, **Praskie Ballady**,
Justyna Jary i Alegancka Kapela /Agora

Dziwne, że do tej pory nikt naleyście donośnie nie zachwyił się w mediach głosem Justyny Jary. Ma on wszelkie zalety mezzosopranu, choć Justyna częściej wykorzystuje go w wyższych niż średnie rejestrach. Potrafi być uwodzicielski, ale też zaczepny, niekiedy nawet krzykliwy. Bywa znanym z ludowego śpiewu głosem białym. Pięknie wyraża balladowe narracje i miłości, ale także historie utrzymane w konwencji zbliżonej do satyry. Przykładem tego z ostatniej płyty Justyny i jej Aleganckiej Kapeli (połowa składu pochodzi z dobrze nam znanej Szwagierkolaski) może być z jednej strony „Kołysanka dla Miłości”, a z drugiej – zaśpiewana wspólnie z Czesławem Moziłem ballada o Zenonie, który ma iść na terapię. Album „Praskie Ballady” manifestuje stylizację na dawną warszawską muzykę „podwórzową”, niekiedy wchodzi w klimaty dancinowe, ale, co warto podkreślić, te folklorystyczne zabiegi dotyczą oryginalnych, teraz powstałych tekstów i oryginalnej muzyki (autorką jednego i drugiego jest Justyna). Można więc się przekonać, jak całkiem dzisiejsza tematyka piosenek wyraża się w muzycznym entourage’u sprzed lat. Przekonajmy się, posłuchajmy!



MIROSLAW PĘCZAK

REKLAMA

5-23.09.2023
NOSPR



Międzynarodowy
Konkurs Muzyczny
im. Karola
Szymanowskiego

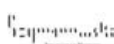


szymanowski-competition.com

Organizator



Współorganizacja i dofinansownie



Partner Strategiczny



Partner medialny



Partner Technologiczny



Mówią weki

Ministrowi Gliškiemu nie udało się zmienić narracji w wielkich polskich galeriach na prawicowo-narodową.

Zamiast tego zmienił estetykę na staroświecko-akademicką. To zwrot ku sztuce bezpiecznej – na wszystkich frontach.

PIOTR SARZYŃSKI

O

bawy o to, że w muzeach i galeriach teraz będzie patriotycznie i bogobojnie, były uzasadnione. Wystarczyło spojrzeć na kierunki w innych dziedzinach kultury, z pomysłami rządu na kinematografię na czele. Nominacja Piotra Bernatowicza na szefa Centrum Sztuki Współczesnej Zamek Ujazdowski zda-

wała się ten scenariusz potwierdzać. Ów rzetelnie wykształcony historyk sztuki nigdy nie ukrywał, że znacznie bliżej mu do sztuki konserwatywno-prawicowej niż liberalno-lewicowej i że ma zamiar dać temu wyraz w programie placówki.

Szybko jednak okazało się, że z wielu powodów realizacja szerokiego prawicowego projektu we współczesnej polskiej sztuce nie jest wcale taka prosta, a samo przejście gabinetów nie wystarczy. Z jednej strony to kwestia oczekiwań publiczności. Wprawdzie od dekad była ona edukowana ku sztuce zaangażowanej, ale zawsze ku tej z sercem po lewej stronie. Ci, którzy regularnie odwiedzali i odwiedzają wystawy aktualnej sztuki, praktycznie od czasów triumfu „szkoły krytycznej” jeszcze w latach 90. XX w. (Kozyra, Żmijewski, Libera itd.) przyzwyczaili się do stałej obecności takich wątków, jak prawa LGBT, kryzys klimatyczny, migranci, manipulacje władzy, sytuacja kobiet, przemoc, wojny, nierówności społeczne itd.

Trzeba zresztą przyznać, że sam artystyczny mainstream był w tej kwestii wyjątkowo zgodny, a lewicowy wizerunek sztuki umacniała większość graczy na artystycznej scenie: krytycy, kuratorzy, dyrektorzy instytucji wystawienniczych oraz – last but not least – sami artyści. Próba przestawienia wajchy z lewej ku prawej i symboliczne zastąpienie gejów żołnierzami wyklętymi (tylko Mikołaj Sobczak potrafił w swej sztuce obie te kategorie brawurowo połączyć) okazała się więc zadaniem karkołomnym. Wbrew gustom i poglądom większości widzów, bo trzeba pamiętać, że miłośników Konfederacji czy choćby PiS trudno uznać za wiodący target sztuki współczesnej. Ale też wbrew większości środowiska.

Najważniejszą przeszkodą dla prawicowej narracji okazała się dramatycznie krótka ławeczka z dobrymi artystami, którzy ów program byliby gotowi realizować. Z twórców znanych być może (co nie oznacza, że faktycznie tak jest) poza wąskim



Praca Tadeusza Kulisiewicza „Głowa dziewczyny”, z cyklu Meksyk, 1959 r., pokazana na jego retrospektywie w Zachęcie.



środowiskiem artystycznym wypada wymienić rzeźbiarza Jerzego Kalinę (lat 79) i performerę Zbigniewa Warpechowskiego (lat 84). Nic dziwnego, że odzyskany z rąk lewicy CSW Zamek Ujazdowski po bojowym początku (wystawa „Sztuka polityczna”) wyraźnie spuścił z tonu. A kilka wystaw wymyślonych pod prawicowo-narodową narrację okazało się słabych – np. „Polska sztuka niezależna lat 80.” – lub wręcz kompromitująco złych, jak autorskie popisy Wojciecha Korkucia czy Jacka Adamasa.

Dysponenci państwowej polityki kulturalnej szybko pojęli, że z prawicowo-narodową narracją może być krucho i w swych kolejnych personalnych wyborach nie próbowali już na siłę szukać ideologicznych jastrzębi. Zadowolili się kandydatami tzw. bezpiecznymi, którzy wprawdzie nie poprowadzą sztuki na antylewicowe barykady, lecz nie oddadzą też we władanie przebrzydłym „awangardykom”, bo zapatrzeni w przeszłość gwarantują estetyczną ostrożność, niechęć do artystycznych eksperymentów i progresywnych teorii, a znacznie bliżej im do kategorii piękna niż prawdy. W ten sposób warszawską Zachętę objął we władanie malarz Janusz Janowski, a łódzkie Muzeum Sztuki – malarz Andrzej Biernacki.

Rzecz ciekawa, że niedługo przed tymi wyborami na łamach magazynu „Szum” ukazał się artykuł Wiktorii Kozioł, w którym artystka próbowała analizować prawą stronę polskiej sceny sztuk wizualnych. Wśród kilku kategorii zapędzających ją uczestników wymieniła m.in. „homary” („niepewnie stoją na nogach, przegrały bitwy o terytorium, ze smutkiem opuszczają szczyt, ale cierpliwie czekają na lepsze czasy”). A wśród jej najważniejszych ideologów znaleźli się obaj nominowani artyści. A więc się doczekali.

Zdaniem Wiktorii Kozioł „homary” cechuje neutralność ideologiczna, konserwatyizm, niechęć do progresywnych nurtów w sztuce, a szczególnie do konceptualizmu, za to uznanie i głęboki szacunek do osiągnięć cywilizacji łacińskiej, z antykiem i tradycją chrześcijańską na czele. Bardziej pociąga ich sztuka emocjonalna niż intelektualna, cenią biegłość warsztatową, stosowanie alegorii i metafor, patos i harmonię. Słowem: kończymy z jazdą do przodu, ścieżką modernizmu i progresywnych teorii, włączamy bieg wsteczny i nawigujemy ku klasycie, rozpiętej gdzieś między starożytną Grecją a sztuką XVIII w. Co najwyżej osadzonej w nowoczesnym *entourage'u*.

Dotychczasowe pomysły programowe zdają się doskonale ilustrować strategię programową „homarów”. Oto lista artystów, których indywidualne wystawy w Łodzi planuje w najbliższym czasie Andrzej Biernacki: Artur Nacht-Samborski, Józef Panfil, Jerzy Nowosielski, Andrzej Zwierzchowski, Antoni Starczewski. Tylko ten ostatni to rzeźbiarz o awangardowych korzeniach, choć i jego trudno zaliczyć do burzycieli estetycznego porządku. Wszyscy pozostali to rasowi malarze, których dorobek wręcz idealnie mieści się w kanonach owego tradycyjnie rozumianego piękna, ale z tradycją muzeum niewiele ma wspólnego.

Podobnie jest w Zachęcie. Jedną z pierwszych decyzji Janusza Janowskiego było zorganizowanie ogromnej (i, dodać trzeba, wyjątkowo nudnej) retrospektywy Tadeusza Kulisywicza, artysty arcybiegłego w sztuce rysunku i archywowawczego w formie i treści. Trudno też do sztuki progresywnej zaliczyć bajkowy świat Stasysa Eidrigevičiusa, malarskie wariacje na temat patriotyzmu Ignacego Czwartosa czy wariacje na temat „łacińskich figuracji” Tadeusza Boruty, Piotra Naliwajki i Antoniego Cygana (patrz: Afisz w tym wydaniu POLITYKI). Nawet Piotr Bernatowicz w U-jazdowskim z konieczności ►

© MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

► musiał odpuścić sobie ideologiczną bezkompromisowość i zaczął sztukować program artystami, którzy malują zrozumiale i przyjemnie dla oka, choć bez politycznych kontekstów, jak Jarosław Modzelewski, Wojciech Fangor czy ostatnio Odd Nerdrum.

Kształtowany przez dziesięciolecia, mocno osadzony w tradycji sztuki progresywnej i mający się jak pączek w maśle polski artystyczny mainstream bardzo nerwowo zareagował na fakt, że trzy tak ważne instytucje wystawiennicze przeszły w ręce tych, których dotychczas lekceważono, nie zauważano, a nawet wyśmiewano. Środowisko przystąpiło więc do kontrataku, dyskredytując nowych dyrektorów, zanim jeszcze wprowadzili się do swoich nowych gabinetów, i wieszcząc totalny upadek zasłużonych instytucji. W dużym stopniu słusznie, bo jeśli spojrzymy choćby na to, co się dzieje w łódzkim Muzeum Sztuki, trudno o choćby iskrę optymizmu. Co jednak ciekawe, wytykając lansowanie konserwatywnej wersji sztuki, nie zauważa się, że zjawisko to dotyczy praktycznie całego polskiego środowiska sztuki.

Wystarczy choćby pobieżnie przyjrzeć się galeriom samorządowym w Polsce, by przekonać się, że zdecydowanie przeważa w nich program niespecjalnie progresywny, oparty na tradycyjnych środkach wyrazu, jak malarstwo i fotografia, a niekiedy rzeźba, unikający nowatorskich rozwiązań, może nie zawsze przyjemny, ale na pewno łatwy w odbiorze. A przecież jeszcze 10 czy 20 lat temu były to miejsca, w których odważnie sięgano po artystyczne eksperymenty, chętnie wpuszczano performanse, sztukę konceptualną, wideo-art, wymagające od odbiorcy wysiłku interpretacyjnego instalacje, sztukę wykraczającą poza swoje tradycyjne ramy, w stronę społecznego lub politycznego aktywizmu. Dziś na palcach jednej ręki można policzyć galerie, które nie boją się romansować z szeroko rozumianą awangardą. To choćby Labyrinth w Lublinie, Arsenał w Białymstoku czy jej imiennik w Poznaniu.

Konserwatywny język sztuki umacnia się także w galeriach prywatnych. Nigdy nie były one zresztą szczególnie progresywne. Wszak z założenia muszą się skupiać nie na prezentowaniu sztuki, ale na jej sprzedaży, co oznacza liczenie się z gustami i potrzebami potencjalnych klientów. Ale też wydaje



Obraz Odda Nerdruma „Self portrait as a dog”, prezentowany na wystawie „Malarz Północy” w CSW Zamek Ujazdowski.

się, że jeszcze jakiś czas temu dużo więcej było wśród nich takich, które próbowały promować sztukę trudną, wymagającą, nieoczywistą. Spójrzmy na dwie galerie uważane powszechnie za absolutnych liderów rynku. W Fundacji Galerii Foksal, która przez lata lansowała sztukę progresywną, dziś łatwiej trafić na wystawę młodego realistycznego malarstwa (Karol Palczak, Agata Słowak) niż dawnych niepokornych, jak Paweł Althamer, Artur Żmijewski czy Piotr Uklański. Podobnie rzecz się ma z Rastrem, najchętniej sięgającym po efektowne malarstwo figuratywne (Karolina Jabłońska, Paulina Stasik, Alicja Pakosz) i abstrakcyjne (Emilia Kina). Do wyjątków należą takie miejsca, jak Galeria Rodriguez w Poznaniu, które na kulturę kupieckich sentymentów się nie oglądają.

O ile upolityczniona prawicowa narracja sztuki kiepsko przyjęła się wśród bywalców wystaw, o tyle narracja konserwatywna zdaje się trafiać na podatny grunt. Dlaczego? Wpływ na to ma na pewno naturalna skłonność człowieka do wyborów łatwiejszych, a nie trudniejszych, emocjonalnych, a nie intelektualnych, posługujących się znanymi, a nie nowatorskimi schematami. Być może znaczenie ma także powszechna sytuacja niepewności i czyhających zagrożeń (klimat, wojna, inflacja, pandemia, polityczny chaos itd.), które sprawiają, że widz w sztuce bardziej od wyzwania i napięcia poszukuje estetycznego uspokojenia, wyciszenia, akademickiej stabilizacji. Ale też znaczenie ma uwierająca percepcję odbiorcy swoista antynomia pojawiająca się przy prezentowaniu sztuki progresywnej.

Zwróciła na nią uwagę Izabela Franckiewicz-Olczak, która pisała: „Muzeum sztuki jawi się jako instytucja rozdarta: negująca hermetyczność języka sztuki i posługująca się tym językiem, tworząca go; negująca w duchu dekonstrukcyjnym możliwość zrozumienia dzieła sztuki, jednocześnie opatrująca swe eksponaty dokładnymi opisami, niepozwalającymi na dowolność interpretacji; mająca przeświadczenie, że sztuka nie jest dla każdego, pobrzmiwająca elitaryzmem i walcząca o wysokie wskaźniki frekwencji. Współczesne muzeum sztuki to instytucja prowadząca żonglerkę pomiędzy dedystansowaniem a dystansowaniem sztuki” (cytat za periodykiem „Pogranicze. Studia Społeczne”).

Nie da się ukryć, że oferta sztuki zachowawczej już owej żonglerki nie wymaga. Wszystko staje się czytelne, zaś odbiorca zadowolony, bo nie czuje się zagubiony czy zaniebdany. Konserwatywne sentymenty dostrzec można nawet u widzów w instytucjach, które od lat starały się edukować publiczność ku sztuce wymagającej. Na przykład w Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie największym hitem ostatnich kilku lat okazała się wystawa surrealistycznego malarstwa Aleksandry Waliszewskiej, którą o jakiegokolwiek skłonności progresywne trudno podejrzewać. Zaś w Zachęcie ręce może zacierać Janusz Janowski – na wystawę Katarzyny Koziry (spadek po poprzedniej dyrekcji) przyszło 20 tys. widzów, ale na klasycyzującego Ignacego Czwartosa i na klasyka Kulisiewicza – po dwa razy więcej.

Obserwowane z boku oddalanie się art worlду od spuścizny modernizmu i XX-wiecznych awangard wydaje się grą o sumie niezerowej, a wręcz dodatniej. W otoczeniu sztuki zanurzonej mentalnie i formalnie w przeszłości widz czuje się pewnie, instytucje cieszą się dobrą frekwencją, prowadzący galerie nie narzekają na obroty, artyści szybko dostosowują strategię do nowej sytuacji (przypomina się profetyczna w tej kwestii, ale i gorzko-ironiczna praca Pawła Kwieka „Awangarda bzy maluje” z 2004 r.). Odrzucanie awangardy wydaje się dziś całkiem awangardowym gestem.

PIOTR SARZYŃSKI

Rebecca Makkai (ur. 1978 r.)

– amerykańska pisarka i autorka opowiadań. W Polsce w Wydawnictwie Poznańskim ukazała się jej powieść „Wierzyliśmy jak nikt”, która trafiła do finału Pulitzera i National Book Award. Teraz premierę ma jej najnowsza powieść „Mam do pana kilka pytań”.

Podkasterka na tropie

Wyjaśnianie zbrodni leży w naturze człowieka, a prywatne dochodzenia zwracają często uwagę na to, co przegapiono w śledztwie – opowiada pisarka **Rebecca Makkai** o swojej nowej bohaterce, autorce kryminalnego podkastu.

Nowa powieść Rebeki Makkai „Mam do pana kilka pytań” (przeł. Rafał Lisowski, Wydawnictwo Poznańskie) łączy intrygę kryminalną z opowieścią o sytuacji kobiet i ruchu #MeToo, a rozgrywa się w szkole z internatem. Spotkałyśmy się w Chicago, które było sceną wydarzeń jej poprzedniej, nominowanej do Pulitzera powieści „Wierzyliśmy jak nikt” – o epidemii AIDS w latach 80. Jechałam na spotkanie słynną linią „The L”, czyli naziemną kolejką, do której ciągle wskakują bohaterowie, nazywający ją czule „elką”. Wiało, jak to w Chicago, do tego w trakcie rozmowy co chwila przejeżdżały na sygnale straż pożarna i karetki. Zwykła sobota w Chicago – skomentowała Rebecca Makkai. Na spotkanie przyszła cała na czarno, prosto z nabożeństwa żałobnego młodego chłopaka, co przypomniało nam pierwszą scenę pogrzebu ofiary AIDS z „Wierzyliśmy

jak nikt”. Nowa powieść przenosi nas do 1995 r., kiedy to na kampusie liceum Granby’ego w stanie New Hampshire ginie współlokatorka głównej bohaterki.

JUSTYNA SOBOLEWSKA: – „Mam do pani kilka pytań”, tak zaczyna się niemal każdy wywiad o tej książce. Ja chciałam zacząć od historii rodzinnej o uchodźcach z Węgier. W jaki sposób ta przeszłość panią ukształtowała?

REBECCA MAKKAI: – Rzeczywiście prawie wszyscy tak zaczynają rozmowę. Ale wiedziałam, na co się piszę, wybierając ten tytuł. Moja historia rodzinno-emigracyjna jest bardzo typowa dla Ameryki. Ojciec uciekł z Węgier w 1956 r., potem skończył studia w Bostonie. Dorastałam pod Chicago otoczona uchodźcami, prześladowanymi wcześniej przez reżim Ceaușescu Węgrami z Rumunii, którym pomagali moi rodzice. Język węgierski był

cały czas wokół mnie, ale nikt nie zwracał się do mnie w tym języku. Uczylałam się go w dorosłym życiu i po kilku latach ciągle jestem na etapie prostych zdań. Ale to jest piękny język i mam cel – moja babcia, mama ojca [Rózsa Ignác – red.], była pisarką i chciałam mieć czytać jej książki. Trudność polega na tym, że pisała powieści historyczne o Transylwanii, językiem bardzo archaicznym. Nie mogła publikować swoich najbardziej politycznych książek. Moi rodzice przemycali więc jej powieści za granicę, mama w latach 60. szmuglowała jej rękopis przyczepiony do paska.

Podobno wcześniej zaczęła pani marzyć o byciu pisarką?

W domu wszyscy pisali książki. Mojemu dzieciństwu towarzyszył dźwięk maszyny do pisania, to były lata 80. i głośnie maszyna elektryczna. Lubiałam ten dźwięk. Siostra grała na fortepianie, więc często między parterem i piętrem naszego domu ▶

► powstawała melodia na pianino i maszyna do pisania. Zanim zaczęłam jako 13-latką myśleć o byciu pisarką, chciałam zostać badaczką historii i właściwie udało mi się połączyć te dwa marzenia: kiedy pisałam „Wierzyliśmy jak nikt”, siedziałam w archiwach, a teraz podczas pracy nad nową książką zamawiam stare katalogi z 1936 r., w których mogę znaleźć wszystko, co wtedy kupowano.

Moje dzieciństwo było zanurzone w opowieściach uchodźców o traumie i wojnie. Ojciec jako dziecko przeżył oblężenie Budapesztu. To mnie nauczyło, że w którymś momencie dopada nas historia. Ale też pamiętam zawsze, że dla mojej babki pisanie było aktem politycznym. Podobnie postrzegam literaturę. Dlatego ważne jest dla mnie, że mogę pisać swobodnie o czasach, w których żyję, nie muszę się uciekać do alegorii. Opowiadam o współczesnym świecie, o kwestiach genderowych i klasowych, o rasizmie i seksizmie. Moim zadaniem jako pisarki jest przede wszystkim stawianie pytań, a nie udzielanie odpowiedzi.

W nowej powieści rozlicza się pani ze współczesną obsesją na punkcie true crime. Skąd się ona bierze?

Mam kilka teorii. Wyjaśnianie zbrodni leży w naturze człowieka, to jest instynktowne. Ludzie w dawnych czasach też dociekali przyczyn morderstw swoich kompanów czy członków społeczności. A kiedy rozwinęło się dziennikarstwo, można było w dodatku śledzić przypadki osób nieznanymi nam osobistość. Przez ostatnie 10 lat media się rozrosły, pojawiały się kryminalne podcasty, strony internetowe, profile, które pozwoliły ludziom stać się aktywnymi uczestnikami postępowania i śledztwa. Nie tylko mogą oglądać, ale też być w środku. Czasami to owocuje naruszeniem prywatności albo wchodzeniem na teren zbrodni. Ale takie prywatne dochodzenia zwracają także często uwagę na to, co przegapiono w śledztwie, albo przywracają pamięć o zapomnianych, nierozwiązanych przypadkach. Prywatne śledztwo przeprowadza bohaterka powieści ze swoimi uczniami z Granby'ego. Pragnęłam pokazać taki stan umysłu, kiedy ogarnia ich obsesja i nie mogą przestać myśleć o sprawie. To wszystko jest oczywiście fikcją, ale chciałam, żeby brzmiała ona prawdopodobnie.

Bohaterka wyklada historię kina i jest podkasterką. Prowadzi kurs podcastowy w swojej dawnej szkole. To chyba jedna z pierwszych powieściowych bohaterek-podkasterek?

Kiedy kilka lat temu zaczynałam pisać tę książkę, nie widziałam żadnej powieści

z podkasterem w roli głównej, ale od tego czasu w powieściach kryminalnych zaczęli się pojawiać podkasterzy jako detektywi. Pierwszy podcast kryminalny w Ameryce powstał chyba w 2014 r. Myślałam, że jestem jedną z pierwszych, ale już pojawiły się głosy młodych ludzi: o nie, znowu powieść o podkasterce, tyle razy już to czytałam. W powieściach detektywistycznych istnieje długa tradycja detektywa amatora lub detektywki amatorki, np. starszej pani, która rozwiązuje zagadkę kryminalną. Podkaster jest idealnym bohaterem, bo też jest amatorem, ale ma narzędzia, żeby tropić, i ma platformę do snucia przypuszczeń i czasem do nagłaśniania spraw, które już były zamknięte. Podcasty są zazwyczaj krótkie i nastawione na rozwiązanie zagadki, moja powieść jest długa i pokazuje też cenę, jaką się płaci za grzebanie w przeszłości.

Główną bohaterkę ta powieść przenosi do czasów szkolnych, ale nie jest to opowieść nostalgiczna. Bodie patrzy z dzisiejszej perspektywy na przeszłość, zdaje sobie sprawę z upokorzenia, nękania, seksizmu. Wtedy kobiety tolerowały rzeczy dziś niedopuszczalne, bo myślały, że to jest w porządku?

Niewiele łączy mnie z Bodie poza tym, że też chodziłam do takiej szkoły w 1995 r. Mieszkam zresztą na terenie kampusu mojej szkoły, w której teraz uczy mój mąż. Doświadczenia mojej bohaterki są zupełnie inne niż moje. Ale podczas pisania przypominałam sobie własne nadzieje, frustracje i traumy, a także to, co było wtedy modne. Pamiętam swoją obsesję na punkcie serialu „Beverly Hills 90210”, tyle że nie mieliśmy kablówki, więc oglądałam go w tak złej jakości, że nie mogłam się połapać, kto co mówi. Czułam się jak wyrzutek, bo wszyscy tylko o tym gadali. Chciałam opowiedzieć, co to znaczyło być nastolatką w latach 90. Kiedy pisałam tę powieść, wybuchł ruch #MeToo i uświadomił nam, że nie chodzi tylko o gwiazdy filmowe ani o te wielkie traumy, ale też o to, co kiedyś wydawało się normalne, a było napastowaniem, nękaniami, upokorzeniem. Teraz możemy sobie uświadomić zachowania nauczycieli, uczniów, o których zapomnieliśmy. Wtedy udawaliśmy, że wszystko jest OK, ale rozmaite drobne zranienia w nas zostały.

To jest też książka o tym, że tę przeszłość każdy pamięta inaczej.

Pamięć jest bardzo subiektywna. Kiedy odwiedziłam mój uniwersytet kilka lat temu, mogłabym przysiąc, że budynek, który pamiętałam, przesunął się, a przecież ma 300 lat. Ale zapamiętałam go zupełnie gdzie indziej. Spotkałam kiedyś

znajomą ze szkoły i zapytałam, jak się ma jej brat, a ona popatrzyła na mnie dziwnie, bo nie miała brata – był tam chłopiec o tym samym nazwisku i ja cały czas byłam przekonana, że są rodzeństwem. Dałabym sobie rękę uciąć. Tutaj to nie miało znaczenia, ale w śledztwie ludzka pamięć może zmienić bieg sprawy i czyjeś życie. Rzeczy bywają inne, niż je zapamiętujemy, o tym też jest ta książka. Często w filmie wspomnienia są pokazywane jako coś, co rzeczywiście się zdarzyło. Powieść też nierzadko wrzuca nas w przeszłość, którą bohaterowie zapamiętali w każdym szczególe. A tymczasem pamięć tak nie działa.

Ta powieść sprawia, że myślimy również o wpływie mediów społecznościowych. Wstrząsająca scena, kiedy bohaterka w wannie, po kilku kieliszkach wina, zaczyna tweetować. Skutki są katastrofalne – można zrujnować sobie karierę, stać się obiektem linczu. Każdy może się znaleźć w takiej sytuacji.

Media społecznościowe są częścią naszego życia. Kiedy czytamy opowieść o latach 60., to chcemy mieć detale z tamtego okresu. Może dlatego, że to jest książka o upływie czasu, bardzo chciałam ją zakorzenić we współczesności. Zadaję pytanie o to, kto może zabrać głos i kiedy decyduje się wyrazić swoje opinie, a kiedy zachowuje swoje sady dla siebie. Istotne jest, kto w 1995 r. rozmawiał z policją, a kto chciał coś ukryć. Moja bohaterka nie chce wywołać chaosu, ale to wracanie do przeszłości działa jak tornado. Pakuje się w tarapaty na wszystkich frontach.

Nie obawia się pani wpadnięcia w podobne tarapaty za sprawą mediów społecznościowych?

Nie, wpływ sieci na moje życie był przede wszystkim pozytywny. Pisanie to samotna praca i można się oderwać i pogadać z ludźmi, co oczywiście nie zastępuje kontaktu twarzą w twarz. Można sobie zrujnować opinię, i to się dzieje również w świecie literackim, ale zwykle te kompromitacje są szybko zapomniane. Czasem wydaje się, że nastąpił koniec świata, a on się toczy dalej. Przejmujemy się głupim tweetem, a potem nikt o tym nie pamięta. Oczywiście są w mediach społecznościowych rzeczy przerażające: farmy trolli, ich wpływ na politykę i wybory, coraz bardziej jesteśmy świadomi, że możemy być manipulowani. Dopiero uczymy się odróżniać czyjąś opinię od fejków, prawdziwych ludzi od botów. Starsza generacja ma z tym więcej problemów, bo żyła długo w zupełnie innym świecie.

Młodsze pokolenia i dzieci często mają większą świadomość ochrony

prywatności. A przy okazji: „kto zajmuje się teraz pani dziećmi?” – w powieści bohaterka zwraca uwagę, że tylko kobietom zadaje się to pytanie.

No właśnie. Rozmawiałam niedawno ze znajomym o jakiejś powieści, w której bohaterka jedzie gdzieś do pracy, i on powiedział, że to jest nierealistyczne, bo przecież nie mogłaby zostawić dziecka. Zapytałam go, czy tak samo by zareagował, gdyby to mężczyzna jechał do pracy i zostawiał dziecko? To pytanie, kto zajmuje się moimi dziećmi, słyszę non stop, kiedy jestem w trasie promocyjnej książki. Zwykle zadają je starsze kobiety, jak rozumiem, same nie miały kiedyś takiej swobody podróżowania i postrzegają ją jako winę.

To jest bardzo genderowe poczucie winy, możesz się czuć świetnie, ale kiedy usłyszysz kolejny raz, że dzieciom musi być ciężko, zaczynasz czuć się winna, nawet jeśli wcześniej nie miałaś takich myśli. Mam dwie córki, obie uzdolnione artystycznie. Sądzę, że to ważne, żeby miały w domu wzorce rozwoju artystycznego i kariery. Zabawne, że to zdanie zwykle cytują czytelnicy, którzy już znają książkę, ale na jednym spotkaniu ktoś przed jej lekturą wypalił: a kto teraz zajmuje się pani dziećmi? – i sala wybuchła śmiechem. Nie jestem perfekcjonistką w wielu sprawach, ale w pracy staram się być, a to trudno zbalansować z życiem.

W Polsce „Wierzyliśmy jak nikt” było bestsellerem, to z pewnością również zasługa przekładu Sebastiana Musielaka.

Moi rodzice są lingwistami, tata znał 16 języków, mama 11, więc czasem zanosila im egzemplarze moich książek w obcych językach, ale polskiego przekładu nie przeczytaliby. Autor nie wie, jak książka radzi sobie w innych krajach, dopóki nie wejdzie na Instagram. Wtedy np. okazuje się, że 60 proc. hashtagów zawiera okładkę polskiego wydania. Uwielbiam też projekt polskiej okładki „Mam do pana kilka pytań”. Moja znajoma pisarka stała się niezmiernie popularna w Korei Południowej i nie miała pojęcia dlaczego. Jest kilka krajów, w których poza Stanami „Wierzyliśmy jak nikt” stało się bestsellerem, Polska była w czołówce. Może to dlatego, że Chicago jest bardzo polskim miastem?

Szłam dziś przez Chicago śladami bohaterów i zastanawiałam się, czy „Boystown” nadal istnieje?

Boystown, czyli przyjazna osobom LGBT okolica, nadal istnieje, ale dziś nazywa się bardziej inkluzywnie: Northalsted, od nazwy ulicy. Ta część miasta się

zmieniła, zgentryfikowała, ale są bary i wszędzie wiszą tęcze flagi. Nie znalazłam tego miejsca, bo byłam za młoda, żeby je poznać w latach 80. Musiałam zrobić dogłębny research, żeby poznać przeszłość. Znalaliśmy podobne historie o Nowym Jorku czy San Francisco, ale ta historia Chicago była nieznaną. Przy pracy nad książką „Mam do pana kilka pytań” nie było aż takiej potrzeby badania archiwów, za to musiałam zgłębić system prawny w stanie New Hampshire, no i jeszcze dowiedzieć się, jak się rozpryskuje krew ofiary.

Książka, nad którą teraz pracuję, wymaga wielu źródeł, pierwszy raz piszę o prawdziwych osobach, a nie wymyślonych ludziach, więc muszę odtworzyć nie tylko realia epoki, ale i to, jak oni wyglądali i co robili. Mam nadzieję, że ukaże się w 2026 r., czyli muszę ją skończyć w 2025 r., ile pracy przede mną! A tymczasem mój komputer wczoraj ostatecznie padł. Zajmę się tym w przyszłym tygodniu. A teraz będę po prostu cieszyć się dniem bez komputera, jakby to były lata 90.

ROZMAWIAŁA JUSTYNA SOBOLEWSKA

REKLAMA



Wyrusz z nami w podróż do renesansowej Italii 1500 roku.
Wystawa z okazji jubileuszu 550. urodzin Mikołaja Kopernika.

MISTERIUM SŁOŃCA KOPERNIK

SYN RENESANSU

9 września - 12 listopada 2023
Ratusz Staromiejski
Toruń, Rynek Staromiejski 1



Wystawa towarzyszy
Światowemu Kongresowi
Kopernikańskiemu



Patronat honorowy nad wystawą objęli:

Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego
prof. Piotr Gliński

Marszałek Województwa Kujawsko-Pomorskiego
Piotr Gallecki

Prezydent Miasta Torunia
Michał Zaleski

Ambasador Republiki Włoskiej w Polsce
Jego Ekscelencja Luca Franchetti Pardo

Organizator wystawy:

Muzeum Okragłe
w Toruniu

Partner główny wystawy:
Samorząd Województwa
Kujawsko-Pomorskiego

Patroni medialni wystawy:

KULTURA NARRA WISCIWI PŁC

Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

MIĘDZYNARODOWY
FUNDUSZ PROMOCJI KULTURY

MIĘDZYNARODOWY
FUNDUSZ PROMOCJI KULTURY

MIĘDZYNARODOWY
FUNDUSZ PROMOCJI KULTURY

Dofinansowane
z Funduszu Kultury i Dziedzictwa Narodowego
początkujących i Funduszu Promocji Kultury
Program Wspieranie działań muzealnych

Dofinansowane
z Funduszu Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Program Wspieranie działań muzealnych

Dofinansowane
z Funduszu Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowane
z Funduszu Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Mezonas wystawy
OLEN
TORUŃ

Sponsor wystawy

Igor Spolski
(w białych
spodniach)
z muzykami
z nepalskiej
Happy Village
Orchestra.



© SHIVA THAPA

Z ziemi polskiej do wioski

Igor Spolski, znany kiedyś z zespołu Płyni, pod wpływem filmów Herzoga zaczął grać w nepalskich wioskach z orkiestrą, która robi furorę.

MICHAŁ WIECZOREK

Jego związek z Nepalem to efekt serii zbiegów okoliczności. – *Pojechałem tam pierwszy raz w 2010 r. za namową kolegi. Polecił mi nie tylko sam kraj, ale też człowieka, który prowadził tam studio – mówi ze swojego polskiego domu w Beskidzie Niskim Igor Spolski, lider nepalskiej Happy Village Orchestra i beskidzko-warszawskich Dorosłych. Wciśnięty między Indie a Chiny, położony w trzech strefach klimatycznych kraj wielkości połowy Polski stał się dla niego drugim domem. – Całe życie zaaranżowałem tak, żeby móc żyć w tej podwójności, pół roku spędzać w Polsce, drugie pół w Nepalu – dodaje.*

Spolski jest niespokojnym duchem. Pracował w kilku europejskich krajach, m.in. na Cyprze, co opisywał w piosenkach Płynów, zespołu, który założył na początku XXI w. Śpiewał, grał na gitarze, komponował piosenki, pisał błyskotliwe teksty. Do Limassol, gdzie „pachy pachną słońcem”, jeździł montować bojlera albo pracować w grocery store.

Po 10 latach dokumentowania życia miasta formuła zaczęła się wyczerpywać. – *Płyni były zespołem piszącym piosenki dokumentalne, trochę w tonie sowiżdzal-skim, mało śpiewaliśmy o porowach serca. W pewnym momencie przestało mi*

to wystarczać – przyznaje. Zbiegło się to z coraz dłuższymi wyjazdami do Azji, w tym do samego Nepalu.

W tym azjatyckim kotle Spolski do-brze się poczuł. – *Nepal przy pierwszym spotkaniu przypominał chaotyczną Polskę lat 90., gdy każdy próbował ułożyć swoje życie na nowo. Zauroczyła go także nepalska różnorodność. To kraj podzielony na trzy części: płaski i gorący Teraj; Pahad, Małe Himalaje, gdzie mieszka większość Nepalczyków, oraz na wysokie Himalaje, gdzie ludzi jest niewiele i zajmują się przede wszystkim pasterstwem.*

Najlepiej nepalską różnorodność krajobrazu widać z autobusu, najpopularniejszego środka transportu. Pojazdy w różnym stanie wspinają się po stromych drogach, przejeżdżają przez przełęcze, przedzierają się skrajami dżungli. – *Podczas podróży autobusem można kilkrotnie zmienić porę roku, niezależnie od tego, czy trwa właśnie pora monsunowa, czy sucha – mówi. Pogoda zmienia się jak w kalejdoskopie, potrafi być też poważną przeszkodą. Podczas pory monsunowej częste są osunięcia ziemi i lawiny błotne, zrywające drogi, odcinające od świata całe społeczności.*

Na pomysł grania w nepalskich wioskach niezapowiedzianych koncertów Igor wpadł w 2018 r. – *Naoglądałem się filmów Herzoga i podoba mi się idea, że na koniec świata jedzie grupa wariatów nakręcić film na własnych zasadach. To jest podobnie partyzanckie działanie – śmieje się. Na pierwszą trasę skrzyknął poznanych podczas azjatyckich wojaży muzyków z Izraela, Holandii i Nepalu. Na wariackich papierach odwiedzili kilka wiosek i miasteczek. Grali przede wszystkim lokalny folkowy materiał, przeplatany napisanymi na przestrzeni lat autorskimi piosenkami Igora i polskimi ludowymi klasykami. Specjalnie wybierali miejscowości, które nie przyciągają zagranicznych turystów. – Porównałbym to do sytuacji, w której ekipa czarnych chłopaków wysiada z samochodu we wsi pod Sieradzem i zaczyna zniemacka grać oberki – mówi.*

Każdą trasę poprzedzają przygotowania fizyczne, trzeba przyzwyczaić się do wysokiej wilgotności, rozrzedzonego powietrza w górach. – *Nosimy wszystko na plecach, nie wszędzie dojeżdża autobus, nie zawsze stać nas na dodatkową ekipę, która pomogłaby nam dźwigać instrumenty. Trzeba się do tego wszystkiego przygotować, nabrać kondycji – wspomina. Nie biwakuja*

na dziko, z dala od uczęszczanych szlaków trekkingowych – to zbyt niebezpieczne. – Raz tylko widziałem tygrysa, był po drugiej stronie szerokiej rzeki, ale co roku zdarza się przynajmniej kilka przypadków ataków na ludzi i zwierzęta domowe.

Już drugi występ zweryfikował wyobrażenia o Nepalu. – Myśleliśmy, że trafiliśmy na tereny zupełnie dziewicze. Na pierwszy koncert przyszła cała wioska, a później nasz przewodnik zadzwonił do szefa kolejnej, do której mieliśmy trzy dni marszu. Miała być to tajemnica, ale na miejscu się okazało, że wszyscy o nas wiedzą, bo dostali na telefony filmiki z poprzedniego koncertu – śmieje się. Na początku niezapowiedzianego występu w wiosce ludzie są nieufni. Jednak zespół wypracował metody przełamania lodów. – Zabieramy ze sobą proste instrumenty perkusyjne, które rozdajemy, by znieść podział na wykonawców i publiczność, zachęcić ludzi do współuczestnictwa. Gramy nepalskie folkowe szlagiery w naszych trochę desert-bluesowych aranżacjach – mówi Spolski.

Na TikToku, najpopularniejszym medium społecznościowym w kraju, nagrania z koncertów mają ponad 10 mln wyświetleń. Każdy występ, każde pojawienie się na platformie pomaga zwrócić uwagę na lokalne problemy albo po prostu zachęcić turystów do odwiedzin. – Ludzie chcą, żebyśmy do nich przychodzili i promowali ich region, to dla nich ważne, również ze względów finansowych. Szczególnie oddalone społeczności potrzebują zwrócić uwagę władz państwowych, które są odpowiedzialne np. za stan dróg – mówi Spolski. Jest w tym podejściu pewien idealizm i potrzeba wspólnotowości. – Nie jest moją zasługą, że urodziłem się w Polsce i mam dużo łatwiejsze życie niż większość mieszkańców planety. Moje życie jest luksusowe w skali globalnej, mam pracę,

mam co do garnka włożyć. I swój wolny czas spędzając w ten sposób, że daję ludziom i sobie radość, mogą też im jakoś dać zapomnieć o trudach codzienności.

Po pandemii skład zespołu się ustabilizował, choć nadal jest to inicjatywa otwarta. Grają w nim członkowie folkowego zespołu Lakshya. – To prawdziwi profesjonaliści, muzycy od wielu pokoleń. Grają koncerty albo biorą udział w sesjach nagraniowych prawie bez przerw – mówi Spolski, który dzięki swojemu pierwszemu nepalskiemu gospodarzowi wszedł w środowisko lokalnych topowych artystów. A Katmandu ma bardzo bogatą i różnorodną scenę muzyczną. W latach 60. i 70. miasto leżało na hipisowskim szlaku, wraz z kolejnymi wizytami muzyków zaczęły powstawać koleje studia nagraniowe. Zachodnich artystów miejsce przyciągało egzotyką, hinduską i buddyjską mistyką, położeniem u stóp Himalajów. Dziś można w nim studiować nie tylko muzykę hindustańską, nepalski folk, ale i np. jazz. – W Katmandu uczą ludzi po Berklee School of Music, jednej z najważniejszych wyższych szkół muzycznych w Stanach.

Do tego dochodzą festiwale przyciągające międzynarodową publiczność i artystów. – Nepalczycy dużo mocniej reagują na muzykę niż Europejczycy, łatwiej jest ich porwać do tańca. Jak się jest muzykiem, to się tęskni do takich rzeczy – tłumaczy Spolski swój głód występów w wioskach i miasteczkach Nepalu.

Powoli Spolski zaczyna wplatać w swoje kompozycje język i muzykę nepalską. Na najnowszym albumie HVO „Dear & Near” zdarza mu się zaśpiewać w tym języku. Początki były trudne. – Nie ma żadnego zaczepienia w znanym źródłostowie, z początku moje śpiewanie piosenek ludowych było jak wymawianie zaklęć w tajemnym języku. Teraz już

trochę mówię, jestem w stanie się dogadać. Na szczęście nepalski nie jest językiem tonalnym, jak chiński czy wietnamski – mówi. Inną trudność sprawiał odmienny charakter nepalskiej muzyki. – Muzyka nepalska, podobnie jak indyjska, nie ma koncepcji harmonii, ale jest bardzo rozbudowana pod względem rytmiki i melodyki. Ma sporo w sobie transowości.

Zespół po kilku sezonach jest już na takim etapie, że przedstawiciele wiosek sami się zgłaszają do Happy Village Orchestra, pojawiają się też propozycje koncertów – jak sami mówią – komercyjnych, przede wszystkim jednak za nepalską granicą. – Nepalczycy mają bardzo silną diasporę. Kto może, wyjeżdża do pracy do Indii, Australii, krajów Zatoki Perskiej. Flagowe nepalskie zespoły koncertują na całym świecie. My właśnie wchodzimy na ten wyższy poziom, w listopadzie czeka nas pierwsza trasa po Indiach.

Przez dwa lata Happy Village Orchestra pozostawała w zamrożeniu z powodu pandemii i ograniczających podróże restrykcji. W tym czasie Spolski przebudował swoje polskie życie. W trakcie pierwszego lockdownu wyjechał z rodzinnej Warszawy w Beskid Niski i już tam został. – Mieszkam w starej, stuletniej chacie, do której nie ma dobrej drogi. Kiedy pada, rzeka odcina mnie od świata. To wymarzona sytuacja: mam dom, w którym są idealne warunki do nagrywania; dom, w którym koncentruję się na muzyce. Podobnie jak w Nepalu.

Przez 13 lat corocznych wyjazdów Spolski był świadkiem tego, jak Nepal się zmienia. – Żyje się szybciej, ale Katmandu wciąż wygląda jak połączenie wioski i miasta. Sporo się zmienia; widać inwestycje w infrastrukturę, powstają nowe drogi nawet do najbardziej odległych wiosek.

A nowe drogi wiadomo – to nowe szlaki, nowe trasy i kolejne spotkania z Nepalczycami. ■

REKLAMA



INSIDE
SEASIDE

FESTIVAL

'23

SOBOTA, 11 LISTOPADA

**GIRL IN RED
NILS FRAHM
EZRA COLLECTIVE**

**SHAME
BRODKA**

NIEDZIELA, 12 LISTOPADA

**NOTHING
BUT THIEVES
TOM ODELL
SLEAFORD MODS**

**BLACK HONEY
KAŚKA SOCHACKA**

pełen program na:
www.insideseaside.pl

GDAŃSK
11—12 LISTOPADA '23
AMBEREXPO

organizatorzy:



bilety:



patroni medialni:



Cel: incel

Na rynku wydawniczym kolejne raporty ze świata odrzuconych przez kobiety „przegrywów”, którym przyglądają się autorki książek, również kobiety. Jaki jest ten świat?

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

Książek o kobietach i adresowanych do kobiet ukazuje się ostatnio mnóstwo. O mężczyznach dla odmiany pisze się rzadko. I zwykle źle. „Przegryw” też nie zapowiada afirmacji męskości. Reportaż Aleksandry Herzyk i Patrycji Wieczorkiewicz pod tym tytułem to opowieść o incelach, czyli mężczyznach zagniewanych na kobiety, rodziców, otrzymane geny i/lub zastany porządek świata. Incele nie uprawiają seksu, żyją solo. Wspierają się w sieci i utwierdzają nawzajem w ponurych przekonaniach. Słowo jest modne na świecie, bo pozwala zidentyfikować m.in. część zwolenników radykalnej prawicy: Donalda Trumpa, Viktora Orbána albo, nie szukając daleko, naszej rodzimej Konfederacji. Pytanie, czy to istotna siła, czy tylko głośny margines. O co tyle hałasu?

Wykopki

Żeby to ustalić, Herzyk i Wieczorkiewicz przez kilkanaście miesięcy przebywały w (wirtualnym) towarzystwie parunastu mężczyzn, którzy sami siebie nazywają „incelami” albo „przegrywami”. Te grupy różnią się minimalnie. Przegryw generalnie sądzi, że „przegrał w życie” (jak w grę wideo), ma poczucie porażki i niesprawiedliwości. Incelom ciąży też frustracja seksualna. Sam termin jest zlepką angielskich wyrazów „involuntary” i „celibate”. Bo tu nie chodzi o celibat z wyboru, ale o przeświadczenie, że odrzucają ich i nie dopuszczają do siebie kobiety. To nie tyle celibat, ile „wykluczenie seksualne”.

To prawda, że młode Polki są lepiej wykształcone, dwukrotnie częściej niż Polacy migrują z małych miast i wsi do większych aglomeracji, częściej niż oni mają liberalne poglądy. Jak to ujął

w rozmowie z POLITYKĄ prof. Mikołaj Cześniak, socjolog i politolog z Uniwersytetu SWPS, między płciami „zienie wręcz aksjologiczna przepaść”. Statystyczni Polacy może nie istnieją, ale zdeklarowany incel z, dajmy na to, lewicową feministką nieprędko znajdzie wspólny język. Autorki „Przegrywa” na to chyba nie liczą. Słuchają, cytują bez cenzury, nie oceniają. Wszyscy ich bohaterowie są osobliwie barwni (a co najmniej brunatni), zwykle niezamożni, słabo wykształceni, często i niezależnie od wieku mieszkają z rodzicami. Grają w gry i rzadko się gdzieś wypuszczają. Raczej zapuszczają korzenie w swoich domach („piwnicach”). Pogardzają na równi „p0lkami”, czyli Polkami, oraz „normikami”, czyli mężczyznami,

którzy niespecjalnie odstają od reszty, a zarazem jakoś im się w życiu wiedzie. O kobietach inceli mają jak najgorsze zdanie: „jeżdżą na karuzeli kutasów”, aż przekroczą granicę 30 lat i przestaną być obiektem pożądania.

Autorki reportażu nurkują w tzw. manosferę, miejsca okupowane w sieci przez mężczyzn takich jak ci wyżej opisani. Wyjaśniają: „Tę przestrzeń można sobie wyobrazić jako cyfrową krainę, podzieloną na kilka mniejszych obszarów. Każdy z nich zamieszkaany jest przez inną grupę, różniącą się nieco od pozostałych. Wszystkie składają się niemal z samych mężczyzn w wieku od kilkunastu do trzydziestu kilku lat i przesiąknięte są misogynią, co nie znaczy, że każda osoba, która tam trafia, powieli antykobiece przekonania (są tacy, którzy aktywnie się im sprzeciwiają, ale stanowią zdecydowaną mniejszość)”. Ta mniejszość, której zdarzy się przejść od słów do czynów, ma na sumieniu ciężkie przewiny. Jest wśród nich Elliot Rodger, który w 2014 r. na różne sposoby zamordował sześć osób i popełnił samobójstwo, dając początek zjawisku nazywanemu „incelską rebelią”. Chris Harper-Mercer zabił ośmioro studentów na kampusie uniwersytetu Umpqua. Scott Beierle pozbawił życia sześć kobiet ćwiczących jogę na Florydzie. I tak dalej, i tak dalej.

Większość poprzestaje na słowach, a prowokatorów nawołujących do przemocy – tak przynajmniej twierdzą rozmówcy Herzyk i Wieczorkiewicz – uznaje za trolli, atencjuszy



ILUSTRACJA PATRYK SROCZYŃSKI

i szkodników dla incelskiej społeczności. W ostatnich latach w taki bastion toksycznej męskości przeobraził się m.in. polski Wykop, forum wymiany myśli, linków, memów, kiedyś względnie neutralne, dziś kipiące często złą energią. Wykopki – jak określa się użytkowników portalu – migrują w inne miejsca sieci, mają swoje nisze. I zdarza im się nadać ton ogólnej wirtualnej debacie, bo kształtują trendy, które z czasem wchodzą do mainstreamu. Tu szerzyła się m.in. moda na drwiące papieskie memy. Funkcjonują prócz tego różne zamknięte grupy, jak Spermawka na Facebooku, która od czasu do czasu wietrzy swoje szeregi i usuwa z nich kobiety. Czyli przeprowadza „babokaust”.

Odpadki

Przegrywy z „Przegrywa” o sobie samych, wbrew pozorom, nie myślą wcale lepiej niż o kobietach czy ogólnie świecie. Na przykład Piasqun przedstawia się tymi słowami: rasista, antysemita, mizogin. Czasem jeszcze: śmieć. Życiowe motto: „Próbując, marnujesz czas, który mógłbyś wykorzystać na pogodzenie się z porażką”. On się pogodził, co nie oznacza, że przestał lamentować. Raz był u psychiatry – przepisane leki na depresję sprzedał. Za to nigdy nie był na randce, nigdy się nie całował, nie ma matery, „ma głównianą pracę”, „świński zarost”, niskie IQ i „małego penisa”. Czuje się jak „odpad genetyczny” i wątpi, że jakaś kobieta się nim zainteresuje. Zresztą kobiety – jak uważa – szukają tylko samców alfa albo „beciaków”, którzy będą łożyć na nie i ich dzieci. Co z tym począć? Piasqun sądzi, że zostają z grubsza dwie opcje: wegetacja albo *bohater*. Czyli samobójstwo. Wyraz pochodzi od *an hero* (z ang. bohater) i upamiętnia nastoletniego Mitchella Hendersona, który popełnił samobójstwo. Anonimowa dziewczyna w sieci uznała ten rozpaczliwy czyn za przejaw odwagi – jej wpis wywołał kontrowersje, bo niejako aprobuje samobójstwo. Wśród inceli się przyjął.

Hauser z kolei nienawidzi kobiet ot tak, po prostu – bo nie dają mu seksu. „To jedyny powód i nie zamierzam dorabiać do tego żadnej filozofii”, objaśnia autorkom książki. Ma 27 lat i jest prawnikiem (grozi mu niechybnie „staroprawnictwo”). Postuluje, żeby państwo finansowało dostęp do prostytucji, bo seks to jedna z podstawowych potrzeb człowieka. Nie ma nic przeciw idei aranżowanych małżeństw. Weteranem w tym gronie jest natomiast Grzegorz z Kłodzka, czterdziestoletni prawnik, najmłodszy w swojej rodzinie – ma pięciu braci, dlatego mama

w dzieciństwie chuchała na niego i dmuchała. Późno się usamodzielniał, długo nie umiał nawet zawiązać sznurówek. Po śmierci matki – miał 17 lat – uciekał przed surową ręką ojca na dworce, do parków i w alkohol. A w dorosłości już głównie do sieci.

To nie są wesołe historie z happy endem, wegetacja prowadzi tych chłopaków i mężczyzn donikąd. Jeden z bohaterów twierdzi, że zgłaszuje w wyborach na każdego, kto obieca eutanazję na życzenie. 24-letniego Karola autorki odwiedzają w szpitalu psychiatrycznym. Trafił tu z powodu samookaleceń. I miesiąc wstrzymywał się od masturbacji (w sieci przysługuje za ten wyczyn etykieta „mnicha”). Wymyślił kiedyś hasło „kłątwa goblina”, sugerujące, że „brzydki chłopak”, w dodatku z bagażem rodzinnych dysfunkcji i psychicznych problemów, nie ma szans na odmianę losu. Wykoppek Bordo wniknął w to środowisko i próbował je kiedyś przekonać – na własnym przykładzie – że mało atrakcyjny mężczyzna też może mieć powodzenie. Ale gdy wypłynęło do social mediów jego zdjęcie w towarzystwie nader urodziwej kobiety, incelle poczuli się zdradzeni.

Chłopcy

Wydany równo rok temu reportaż „F*ck, Fame & Game. Co faceci robią w sieci” Elżbiety Turlej też, jak się zdaje, powstał na fali zaciekania „incelosferą” i dociekań, skąd się biorą młodzi pravicowi radykałowie, fani Janusza Korwin-Mikkego i orędownicy tradycyjnego podziału ról. Tu autorka się nie dystansuje i nie kryje zdumienia: „Przyznaję, że na początku zbierania materiałów do tej książki dziwiłam się, że mężczyźni urodzeni po 1989 r. uciekają przed życiem do internetu. Wydawało mi się, że powinni garściami korzystać z wolności, którą wyszarpnęło dla nich moje pokolenie”.

Bohaterowie Turlej to często seksoholicy, którzy nigdy nie widzieli na żywo nagiej kobiety, za to umieją masturbować się przez cztery godziny z rzędu. Strony pornograficzne i aplikacje randkowe zlewają im się w jedno. Słowo „incel” tutaj akurat ani razu nie pada, ale oba reportaże powołują się na badania socjologa i dziennikarza Krzysztofa Pacewicza i pracowni Kantar, z których wynika, że wśród osób urodzonych po 1989 r. jest dwukrotnie więcej singli niż singielek. – „F*ck, Fame & Game” to książka napisana „z kamerą wśród zwierząt”. Opisuje wiele zjawisk, które dla współczesnych bywalców internetu są dość oczywiste, jako coś dziwnego – komentuje Michał R. Wiśniewski, pisarz i dziennikarz.

– Autorki „Przegrywa” dużo swobodnie poruszają się w kulturze internetu. Sporo tu też incelskiej nowomowy, więc wgląd w tę rzeczywistość jest relatywnie głęboki. Tylko co z tą wiedzą teraz zrobić?

Zastanawia się Wiśniewski: – *Jeden z bohaterów ma braci, którzy założyli rodziny [wspomniany Grzegorz z Kłodzka – red.]. To wydaje mi się największą zagadką, na którą książka nie przynosi racjonalnej odpowiedzi: gdzie jest ten punkt bez powrotu, czy jest nim internet? Polska tradycjonalistyczna rodzina? Szkoła niedbająca o dobrobyt uczniów? Pewnie wszystko po trochu.*

Żadna z książek nie podsuwa jednoznacznych diagnoz i gotowych recept (chyba słusznie), choć przywołany w charakterze motta dla „Przegrywa” cytat z bell hooks, czyli ukrywającej się pod tym pseudonimem amerykańskiej pisarki Glorii Jean Watkins, sugeruje, że roztrząsanie męskich problemów to robota dla kobiet. W wydanej niedawno po polsku książce „Gotowi na zmianę. O mężczyznach, męskości i miłości” bell hooks orzeka: „Współczesny ruch feministyczny stworzył społecznie sankcjonowaną przestrzeń, w której dziewczynki mogą budować poczucie własnego ja wolne od ograniczeń seksistowskich definicji. Tej samej wolności nie rozszerzono jednak na chłopców”. Przegryw, przekonany, że i tak na starcie jest bez szans, pewnie dałby się poprowadzić za rękę, ale nie na tym chyba polega owo cenne poczucie sprawstwa. Kobiety wywalczyły je sobie same.

Może należałoby zacząć od wymiany patrona? W swojej najnowszej książce „Chłopcy. Idą po Polskę” reporter Marcin Kącki z werwą opisuje losy dzisiejszych liderów Konfederacji. Trudno o większego przegrywa: Janusz Korwin-Mikke latami nie był w stanie przekroczyć 2–3 proc. poparcia. A gdy Sejm wprowadzał 5-proc. próg wyborczy, głosował za. ■

REKLAMA



tylko do 10/09/2023

LETNIA PROMOCJA

Kupując elementy legendarnej „Marii” (w wersji białej, kwiatowej lub w nowych pastelowych odcieniach) o wartości 2500 pln otrzymasz bonus 1000 pln!

www.rosenthal.pl

Mea pulpa



czyli kronika popkulturalna
Kuby Wojewódzkiego

Jan Tomaszewski wystartuje w wyborach do Senatu z Łodzi, niestety jako kandydat PiS. Legendarny bramkarz kiedyś zatrzymał Anglię. Teraz będzie miał okazję zastrzymać całą Europę.

Mamy wielki powrót Bożeny Dykiel. Aktorka wznęła w dniu swych 75. urodzin, że sekretem jej urody jest nacieranie włosów wódką. Dla wszystkich, którzy chcą przetestować tę metodę, proponuję wódkę z lodem.

Filip Chajzer wraz z Agnieszką Kołodziejką poprowadzi sobotnią audycję w radiu ZET pod wyrafinowanym tytułem „Na luzie w Radiu ZET”. Brzmi groźnie. Filip jest jednym z tych dziennikarzy, którzy nie rozumieją, że bycie zabawnym to przywilej, a nie konieczność.

Influencerka i zawodniczka MMA Aniela Bogusz, znana jako Lil Masti, urodziła córeczkę. Na sali porodowej towarzyszył jej partner oraz fotografka. Teraz już wiem, dlaczego nie jestem ojcem. Słabo wychodzę na zdjęciach.

Ciekawe badania na temat telewizji śniadaniowych. Statystyczny widz „Pytania na śniadanie” ma wykształcenie podstawowe, a „Dzień dobry TVN” średnie. Wszyscy z wykształceniem wyższym w tym czasie śpią.

Etatowa gwiazda imprez Tadeusza Rydzka, czyli Sławomir Świerzyński, lider zespołu Bayer Full wystąpił w nagraniu wyborczym Janusza Kowalskiego, zrealizowanym w Czyżowicach w powiecie prudnickim. Janusz ma w sobie coś z disco polo. Prostą melodię i rubaszne teksty.

TVP wybierała Przebój lata 2023. Wśród propozycji był utwór Heleny Vondráčkovéj

„Malovaný džbánku” z 1982 r. Dla aktualnej władzy to inspirujący rok. Delegalizacji instytucji i ograniczania swobód obywatelskich.

Sławomir Sierakowski w książce „Społeczeństwo populistów” skomentował karierę Krzysztofa Stanowskiego, zarzucając mu prymitywizm treści i nietrzeźwość na antenie. Ten nazwał go skrzywionym popaprańcem oraz małym chu...kiem. Po wnikliwym przeczytaniu tego, co napisałem, trudno wyłonić zwycięzcę.

Marcin Mroczek podziękował obsadzie „M jak miłość” za współpracę i fantastyczną przygodę. Czyżby aktor chciał opuścić serial? To byłby szok. Był jednym z nielicznych, którzy potrafili sprawić, że cebula płacze.



© MACIEJ NABRDALIK/EAST NEWS

5 października ruszy proces Antka Królikowskiego, który został zatrzymany podczas kierowania pojazdem pod wpływem środków odurzających. Aktor w publicznym oświadczeniu sam ujawnił, że zażywa medyczną marihuanę. Czym zepsuł zabawę ministrowi Niedzielskiemu.

„Jeśli ten cymbał Czarnek będzie nadal stał na czele polskiej edukacji, to na bank Nadzieja nie pójdzie do polskiej szkoły”. Tak na pytanie o przyszłość swojej córki odpowiedziała Zosia Zborowska. Takie dylematy spotykają wszystkich, którzy robią sobie Nadzieje.

„Ciężko jest mi się pogodzić z myślą, że nadchodzą czasy terroru. Albo większość terroryzuje mniejszość, albo ta mniejszość dąży do tego, aby być większością, która terroryzuje tych pozostałych”. Tak Robert Górski odniósł się w One-cie do sytuacji w „Szkle kontaktowym”. Całe szczęście skończyło mi się miejsce na komentarz.

Wokalistka Daria Zawiałow została twarzą firmy YSL, tym samym dołączając do takich postaci jak Zoë Kravitz czy Dua Lipa. W wolnym tłumaczeniu Podwójny przypał.

Maciej Orłoś oskarżył TVN o hipokryzję, gdyż stacja na swój festiwal zaprosiła gwiazdy TVP: Kasię Moś, zespół Feel, Łukasza Zagrobelnego czy Sławka Uniatowskiego. Nie zgadzam się. To nie są gwiazdy.

Krystyna Prońko krytycznie odniosła się do kariery Viki Gabor i Roxi Węgiel: „Dzieci nie powinno się wpuszczać na scenę”. Kiedyś artystka pytała: „Na co w kolejce tej czekasz? Na starość, na starość, na starość”. Widocznie nie lubi tych, co wypychają się bez kolejki.

Najsłynniejsza rozwódka XXI w., Paulina Smaszcz-Kurzajewska, objęła stanowisko dyrektora marketingu w firmie IRCenter, zajmującej się badaniami. Brawo. Może wreszcie zbadają, z jakiego powodu Paulina nie może wziąć rozwodu z Kasią Cichopek.

Wszystko wskazuje na to, że szykuje się powrót wielkiego duetu XX wieku, czyli **Wojciecha Manna** i **Krzysztofa Materny**. Nareszcie. Oni jak mało kto udowadniali, że śmiech to najlepszy sabotażysta głupoty i niekompetencji.



Pierogi i obwarzanki

Co pan tak stoi z tym workiem? – usłyszałem za plecami znajomy głos.

– Nie jestem pewien, gdzie wyrzucić torebkę z połową pączka – odparłem pogrążony w analizie swoich śmieci.

– Do mieszanych. Albo pączek do bio, a opakowanie do papieru – poradziła sąsiadka z tonem politowania.

– Ale jest uwalany konfiturą – broniłem swojego dylematu.

– Było zjeść całego, nie trzeba by teraz wyrzucać – odpowiedziała zniecierpliwiona, po czym wyjęła mi pakunek z ręki i wsadziła do kosza.

Na przyjemność trzeba zasłużyć nieprzyjemnością. Na tym fundamentalnym prawie spoczywa cała pedagogika. Nikt lepiej nie zilustrował perwersyjnej zasady nieprzyjemności niż genialna Astrid Lindgren w „Dzieciach z Bullerbyn”. Oto podczas zaimprovizowanego pikniku bohaterowie zjadają wałówkę, którą mamy przygotowały im na wycieczkę. Poza pierogami Ollego – tych nikt nie chce jeść. Szczególne wzięcie mają za to słodkie obwarzanki, aż zostaje jeden, na który największą ochotę ma łasuch Bosse. Anna, której zrobiło się żal Ollego, proponuje Bossemu ostatni obwarzanek, pod warunkiem że wcześniej zje przygotowane przez mamę pierogi. Kiedy Bosse zjada je prawie wszystkie, nie ma już ochoty na obwarzanek.

O tej prawdzie literatury najdobitniej przekonałem się, kiedy w dzieciństwie ugryzł mnie nieszczepiony pies, a mama codziennie, po każdym zastrzyku w brzuch, kupowała mi w kiosku obok przychodni zdrowia zabawkę. Niemniej na długo zanim spowite bólem dziesięć zabawek znalazło się w moich rękach, dojrzałem do świadomości, że prawdziwe szczęście wyrasta wyłącznie na glebie cierpienia lub przynajmniej przykrości. Deser po dwudaniowym obiedzie z dużą ilością warzyw; czekolada po tym, jak poczęstuję rodziców, babcię i siostrę; „Teleranek” po „Kursie Rolniczym”; mecz po głupiej rozgrywce; podwórko po odrobionych lekcjach; wakacje po roku szkolnym, a cała reszta „jak będziesz dorosły”.

Patrząc na rodziców, podejrzewałem, że to kłamstwo, ale łudziłem się, że dorosły ma więcej przyjemności do wyboru, a przynajmniej nie musi na nią tyle czekać. Tak, śmieszne. Ale byłem wtedy dzieckiem, które jeszcze nie wiedziało, że papieros nigdy na czczo; kryminały po habilitacji; drzemka popołudniowa po 10 tys. kroków i tak bez końca. Gorzej, bo nie zdawałem sobie sprawy, że przyjemność dorosłego, nawet jeśli w końcu przyjdzie, na zawsze będzie zatruta poczuciem winy.

Kiedy zacząłem poznawać polską literaturę, z przerażeniem pojąłem, że nie ma na co czekać, ponieważ sztuka odwleczonej przyjemności jest naszą specjalnością narodową; ba! polską racją stanu, począwszy od rozbiorów, aż po dziś dzień. Gdy reszta cywilizowanego świata coraz odważniej artykułowała prawo jednostki do szczęścia

indywidualnego, Polak słyszał – niczym śpiący w Giewoncie rycerze – „jeszcze nie czas”. Tak kształtowała się polska pozycja polityczna, którą przyjąć musiał każdy, kto chciał nazywać się patriotą. Pierwsi uwięzili

nas w niej romantycy, tworząc pułapkę poczucia winy dla każdego inteligenta, który by spróbował choćby pomyśleć, że obok walki o niepodległość można by zająć się oświatą, gospodarką albo znieść pańszczyznę. Wydawałoby się, że kiedy w „Panu Tadeuszu” Zosia i Tadeusz uwalniają swoich chłopów, to Mickiewicz daje jasno do zrozumienia, że idzie nowe. Nic podobnego. Nie ten jest cywilizowany, kto pierwszy jadł widelcem:

„Nieraz mówią Wam, iż jesteście wpośród narodów ucywilizowanych i macie od nich uczyć się cywilizacji, ale wiedzcie, że ci, którzy Wam mówią o cywilizacji, sami nie rozumieją, co mówią. Wyraz cywilizacja znaczył obywatelstwo, od słowa łacińskiego civis, obywatel. Obywatelem zaś nazywano człowieka, który poświęcał się za Ojczyznę swą” – wyjaśniał wieszcz polskim emigrantom.

Pozytywiści, ośmieleni trzema przegranymi powstaniem, mieli czelność się postawić i powiedzieć, że nie ma co czekać, tylko trzeba sprawiedliwości społecznej drogę przygotowywać, a przyszła Niepodległa na pewno na tym nie straci. Ta lewacka herezja nie trwała długo. Prus przed końcem wieku ogłosił, że z pozytywizmu została kupa śmieci i fantazjował skrycie o przymusowym oświeceniu Polaków à la Napoleon; Orzeszkowa międzyklasowym romansiem próbowała zamaskować kapitalistyczny konflikt narastający w Korczyni po uwłaszczeniu chłopów, a chytry Sienkiewicz wykonał zwrot zaczepny i wymyślił literacką politykę historyczną, aby można było prześnić rewolucję, którą i tak muszą zrobić inni. No więc spaliliśmy na „Weselu” i kręciliśmy się w kółko z „Chłopami”. I kiedy wreszcie Polacy zrobili swoją własną rewolucję Solidarności, znów poproszono robotników, aby zczekali na rekompensatę, aż powstaną demokracja i kapitalizm.

Jeszcze nie teraz” – słyszymy i my, bo najpierw trzeba wygrać z PiS albo zyskać niepodległość wobec Brukseli i Berlina. Jako zromantyzowany pozytywista doradzałbym, aby podczas tego czekania na obwarzanek wziąć się jednak za pierogi. Annie przyznałaby rację również Kate Raworth, autorka „Ekonomii obwarzanka”. Kto chce mieć obwarzanek dobrego życia, musi zjeść także to, z czego został wykrojony; całą tę kłopotliwą i niechcianą resztę, która bynajmniej nie jest pustą dziurą. Tę zewnętrzną wypełniają zagrożenia klimatyczne i degradacja środowiska; tę w środku – nierówności społeczne, edukacja, dochody, mieszkania, prawa polityczne, wojna polsko-polska.

Zanim więc damy w wyborach politykom obwarzanek władzy, niech najpierw udowodnią, że potrafią i będą razem z nami gryźć pierogi wspólnych problemów.

RYSZARD KOZIOŁEK



Pamiętam ze szkoły

Pod koniec sierpnia szkoły pachną świeżą farbą. Wystarczy, że osoba poczuje ten zapach, a zaczyna się zastanawiać, przez jakie „żet” napisać „świeży”. O tej porze roku szkoły mają uchylone okna. Wciągają powietrze, trochę już jesienne. Powoli się budzą. W pracowni biologicznej szkielek prostuje stare kości. Żaba rechocze w spirytusie. Coś stuka w modelu maszyny parowej. Szkoły są pełne intrygujących przedmiotów. Gdzieś jeszcze stoją pomoce naukowe, z którymi mieliśmy się zapoznać w starszych klasach, a w końcu nigdy nie pozwolili nam ich dotknąć. Początek roku zawsze przynosi nowe obietnice.

Uczyłem się dobrze, ale uczniem byłem złym. Przemądrzałem i sceptycznym. Uniżonym i przebiegłym. Zawsze chętnym, żeby wytknąć nauczycielom błąd lub zadać podchwytliwe pytanie. Dość ostrożnym, żeby samemu nie dać się przyłapać na żadnym przewinieniu.

Prowadziłem ze szkołą ośmioletnią wojnę na przetrwanie. Najdziwniejsze, że wygrałem. Wciąż istnieję, a szkołę zlikwidowali. Podobno w dzielnicy przestały się rodzić dzieci. To teraz częsty problem. Wkrótce wpiszą dzieci do czarnej księgi zagrożonych gatunków.

Wciąż pamiętam rzeczy, których nas wtedy uczyli. Na przykład, że na Węgrzech wydobywa się boksyty. A może produkuje boksyty? Czymkolwiek są boksyty. Ze szkolnej perspektywy stanowiły po prostu fragment wykresu kołowego pt. „Przemysł surowcowy RWPG”. Kto by pomyślał, że akurat boksyty na zawsze skażą moją pamięć.

Pamiętam też układ taneczny, który wykonywała nauczycielka geografii, żeby nam uzmysłowić walory bułgarskiej turystyki.

– Plaża w Złotych Piaskach. Morze, słońce, a my wciskamy kuferek w gorący piaseczek... – Słowem „wciskamy kuferek” („kuferek!”) towarzyszyły energiczne ruchy bioder. – Wciskamy, mówię, wciskamy głębiej. Środkowy rząd też wciska! A ty czemu nie wciskasz?

Uczyli, jak przesuwać wilgotną kromką po najodleglejszych kątach mieszkania, żeby na chlebie wyrósł pleśniak biały. I wyrósł dorodny. Przypominał miniaturową lampę ze świecących nitek (takie lampy były wtedy ozdobą większości kwaciarni).

Uczyli przydatnych rymowanek. „Pamiętaj, cholero, nie dziel przez zero”. „Pamiętaj, chemiku młody, wlewaj zawsze kwas do wody”. W końcu i tak zawsze ogarniały mnie wątpliwości, co i do czego należy wlewać. Ostatecznie szkoła zaszczepiła mi przekonanie, że najlepiej unikać wszelkich manipulacji z kwasem i zeram.

Uczyli, że Mickiewicz, Sienkiewicz, Antek i Rozalka. Kiedyś zabrali nas na wycieczkę do Czarnolasu i pokazali lipę, ponoć prawnuczkę tej prawdziwej.

Przy innej okazji uczyli, że choroby weneryczne biorą swoją nazwę od imienia starożytnej bogini miłości. Kolega Wiskołek wspaniale odegrał zdumienie.

– Że miała syfa?! – spytał. Bardzo wtedy podziwiałem kolegę. Dzisiaj bardziej podziwiam starszą nauczycielkę, która odparła:

– Nazwa ta oznacza, iż choroby są przenoszone za pomocą ziemskich atrybutów bogini Wenery.

(Gdy dotarł do nas sens tej odpowiedzi, zaczęliśmy do siebie mówić „ty atrybucie”).

Uczyli, że pod Głogowem Niemcy przywiązywali polskie dzieci do maszyn obłączniczych. Pamiętam skrępowanego blond chłopca. Jego twarz miała niebieski kolor. Może na skutek przerażenia, a może z powodu niedoskonałości druku. Wisiał na początku pierwszego podręcznika do historii. Przed nim był tylko Mieszko w żelaznym czepek.

No i Biskupin – rodzaj rajskiego ogrodu. Nasz czysto słowiański Eden otoczony częstokołem.

Poza tym uczyli, że Niemcy są wrogiem. Uczyli, że Ukraińcy są wrogiem niecnym. Mają rysie pazury, grasują w terenach górskich, gdzie zbierają się w sotnie i kurenie. Uczyli, że Żydzi... Uczyli, że żadnych Żydów nie ma i nigdy nie było. Wielu rzeczy nie było w naszej szkole. Nie było też Boga ani seksu. Oczywiście na prze-

rwach wszyscy opowiadali o seksie. Opowiadali też straszne dowcipy o Żydach.

W młodszych klasach co kilka tygodni odbywało się sprawdzanie czystości. Kuśtykaliśmy w na wpół opuszczonych spodniach lub sukienkach, a higienistka starannie oglądała nogi (wystarczyło pokazać jedną). Potem drapała nas po głowach w poszukiwaniu wszy. Zawstydziała niedomytych. Zapisywała coś w zeszycie.

Nie trzeba dodawać, że ta szkoła była patriarchalna, heteronormatywna. Poddana politycznej kontroli, jednolita jak masło, a przy tym kołtuńska, nudna, brutalna (jak czujnie przymykała oko na przemoc wśród uczniów!). Była strefą wolną od mniejszości, wolną od wolności, od wesołości, od różnych różności i inszych inszości. Podejrzewam, że do takiej szkoły tęskni minister Czarnek. Mniejsza o ideologiczne ozdobniki.

A przecież nawet tamta szkoła uczyła nas liczby pi i prawa Archimedesa. Więc teraz wstydliwie i ukradkiem, już na samym skraju szpalty, napiszę, że ten różowy skrawek zanurzony w kwasie, reguła trzech, moreny czołowe i rozczapierzone delty, kawałki minerałów, zięby Darwina, że to wszystko było piękne. A piękna nic nie potrafiło do końca zniszczyć. Dlatego zawsze będę świętował pierwszy dzień szkoły. Może powinniśmy co roku wychwalać cud. Jeden z niewielu, jakie nam zostały. Niedofinansowany, zaniedbany i popsuty cud powszechnej edukacji.

MARCIN WICHA

† Szkoła była strefą wolną od mniejszości, wolną od wolności, od różnych różności i inszych inszości. †

Lepienie historii



Witaj, szkoło! Ten okrzyk wywołuje ciarki i wtrąca w przygnębienie, którego źródła czasem trudno dojść. Ławki, tablica, nowe podręczniki na 1 września – dla niektórych to było tak dawno, że w miejsce wspomnień zachowały się emocje unieruchomione w ciele. Słońce rozświetla nitki babiego lata, a nas strzyka i rwie jak przy ataku podagry. Jak zapisze się w ciałach uczniów i uczennic czas szkoły pod wezwaniem ministra Czarnka, tego jeszcze nie wiemy. Pewnie na tyle dotkliwie, że, jak wielu przed nimi, postawią na solidne wyparcie, by za dwie dekady wesoło oznajmić: „Szkoła? Super! A jakie banialuki nam do głów wciskano!”.

Z dystansu najciekawiej wyglądają lekcje historii. Przeszłość to guma do żucia, którą się rozciąga i memła w ustach tak długo, aż straci smak. Można jej użyć jako procy, strzelając w popiersie dawnego dyktatora. Wilhelm Sasnal namalował portret Hitlera, po czym zamazał go czarną farbą, przekreślił, a płótno zabił deską. Adam Szymczyk, kurator wystawy „Taki pejzaż” w Muzeum POLIN, gdzie obraz wystawiono, wyjaśnił, że to tradycja, która przyjęła się w odniesieniu do pomników z czasów rzymskich. *Damnatio memoriae*, po łacinie przekleście czyjejś pamięci, „dotyczyło osoby, która popadła w niełaskę – wtedy jej wizerunkowi deformowano twarz”.

Proces deformacji zaczyna się czasem na ulicy. Pomniki króla Leopolda II w Belgii od lat oblewane są czerwoną farbą na znak protestu, że wizerunek władcy odpowiedzialnego za masakry Kongijczyków wciąż obecny jest w przestrzeni publicznej. Leopold II trzyma się cokołów, ale niesławny generał Émile Storms, którego popiersie też notorycznie przez lata polewano na czerwono, pożegnał się już ze skwerem w centrum gminy Ixelles. Miejsce porośla trawa, po pomniku nie został nawet ślad.

Zmieniono też całkowicie ekspozycję Królewskiego Muzeum Środkowej Afryki, które ponad sto lat temu zbudował Leopold II, by służyło za narzędzie propagandy. Przekaz celował w młodzież, w ich świeże umysły. Pokolenia belgijskich uczniów jeździły na wycieczki szkolne do Tervuren i notowały w zeszytach, że biały człowiek niesie cywilizację do kraju dzikusów. Dziś, po gruntownych zmianach w muzeum, można zeszyty obejrzeć w gablotach, a obok nich zobaczyć kajdanki, łańcuchy i pejczy, w tym słynny chicotte, który rozrywał skórę podczas wymierzania kar. Wszystko po to, by skuteczniej nieść kaganek oświaty, budować kolej, szpitale i przekonywać do jedynie słusznej wiary.

Król Leopold II nie bawił się w niuansy: „Tu nie chodzi o kolonie belgijskie. Chodzi o utworzenie nowego, możliwie największego państwa i zarządzanie nim. Powinno być jasne, że w tym projekcie nie może być mowy o przyznaniu Murzynom* najmniejszej formy władzy politycznej. To byłoby śmieszne. Biali na stanowiskach trzymają całą władzę” (*„Negros”, określenie pogardliwe, już nieużywane).

Dziś w Muzeum Afryki w Tervuren o Kongu mówią Kongijki i Kongijczycy. Oprócz gruntownej zmiany ekspozycji i informacji, że w przeszłości miejsce przysłużyło się do krzewienia krzywdzących stereotypów, zorganizowano też przestrzeń pod hasłem „Porozmawiajmy o rasizmie”. Można się tam dowiedzieć, czemu „prawdy” o Kongijczykach utrwalane przez reżim Leopolda II wciąż mają się dobrze i jak z nimi walczyć. Dlaczego mówienie do osoby czarnej: „Och, ja naprawdę nie zwracam uwagi na to, jakiego koloru kto ma skórę” stanowi formę dyskryminacji. Nawet gdy zdanie to wypowiedziane jest w dobrej wierze, wypowiedziane przez białą osobę, przypomina o jej uprzywilejowaniu (tzw. *white privilege*). Kiedy Grażyna odwiedziła muzeum pod koniec wakacji, wśród zwiedzających byli i biali, i czarni, co może świadczyć o początkach odbudowania wzajemnego zaufania. Przynajmniej wobec muzeum.

O ile Belgia powoli rozlicza się z kolonializmem, o tyle w Polsce polityka historyczna lepi na nowo zbiorową pamięć. Historyk Wojciech Roszkowski w podręcznikach szkolnych „Historia i teraźniejszość” tak obraca kota ogonem, by to, co nie po linii obecnie rządzącej partii, wytknąć jako podejrzaną lub jawnie szkodliwą.

Z kolei Piotr Lipiński, autor m.in. książki o Cyrankiewicz, Bierucie czy Gomułce, wziął się za życie Wandy Wasilewskiej. Ta postać wzbudza wiele emocji. Kiedy Sylwia napisała kilka lat temu felieton do POLITYKI o przyjaźni Wasilewskiej i Janiny Broniewskiej, jeszcze wiele miesięcy po jego opublikowaniu dostawała maile z zarzutami, że promuje morderczynię, a w dodatku nie pisze o niej w jednoznacznie złym tonie. Dziś Wydawnictwo Czarne reklamuje biografię Wasilewskiej słowami autora, który podkreśla, że pisze o (anty)bohaterce, jakby asekurował się, by nie posądzono go o wystawianie Wasilewskiej pomnika. A przecież tu nie chodzi o oceny, tylko o pokazanie skomplikowanej postaci i jej wyborów. Zresztą Lipiński właśnie tak pisze tę biografię. W tym wypadku – komunistki deputowanej Rady Najwyższej na okupowanych terenach wschodnich, ale i przewodniczącej Związku Patriotów Polskich w ZSRR, która pomogła tysiącom osób wrócić do Polski. Kobiety, która w dwudziestolecie przebiła szklane sufity, nie podkreślając swojej „kobiecości” ani nią nie grając.

Biało-czarny obraz świata ma się dobrze, skoro w czasie Dnia Kultury Żydowskiej w Brzozowie cały program obchodów skoncentrowany był wyłącznie wokół postaci Polaków, którzy pomagali Żydom. Jakkolwiek by było i tych, którzy na nich donosili. Niuanowanie, tak ważne w dojrzałych demokracjach, na pewno nie jest specjalnością dyktatur ani krajów, które szparko zmierzają w tę stronę. Warto o tym pamiętać, wkraczając w kolejny rok szkolny.

GRAŻYNA PLEBANEK, SYLWIA CHUTNIK



*Do kupienia
w dobrych kioskach
i na sklep.polityka.pl*

**PRZEWODNIK
PO POLSKICH
GALERIACH SZTUKI
I WYSTAWACH**

W odpowiedzi PISF

Dyrektorowi Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej w teście o przejrzystości partyjnych rozliczeń (POLITYKA 33) nie spodobało się zdanie: „Pięć miesięcy przed wykonaniem sesji prezesowi PiS firma Golby dostała 15 mln zł dotacji (najwyższą w tamtym roku) na film fabularny od Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej, nad którym partia rządząca przejęła kontrolę”. W ostatnim numerze POLITYKI opublikowaliśmy sprostowanie PISF, w którym stwierdzono, że film, o którym mowa: „Skorzystał z systemu wsparcia finansowego, tzw. zachęt. (...) Przyznawanie tego rodzaju wsparcia odbywa się automatycznie, po spełnieniu ustawowych przesłanek i jest pozbawione elementu decyzyjności Dyrektora PISF, tak jak ma to miejsce przy przyznawaniu dotacji”.

Według naszych rozmówców z branży filmowej (chcąc pozostać anonimowi) przyznawanie wsparcia finansowego nie odbywa się automatycznie i nie jest pozbawione elementu decyzyjności dyrektora PISF – jak twierdzi Instytut.

Zgodnie z art. 4 ustawy z dnia 9 listopada 2018 r. o finansowym wspieraniu produkcji audiowizualnej, na którą powołuje się PISF w uzasadnieniu sprostowania, do zadań dyrektora Instytutu związanych ze wsparciem finansowym należy: „wydawanie certyfikatów kwalifikujących do uzyskania wsparcia finansowego”, czyli tzw. zachęty. Dalej w art. 16 czytamy, że: „Do wniosku o wydanie certyfikatu dołącza się wypełniony test kwalifikacyjny”. I wciąż za ustawą, że: „Test kwalifikacyjny zawiera zestaw kryteriów i przypisaną im odpowiednio punktację, które służą do oceny, czy dany utwór audiowizualny: 1) wykorzystuje polski lub europejski dorobek kulturowy” (...) (a jest co oceniać, m.in. – za rozporządzeniem ministra kultury z dn. 22 grudnia 2021 r. – punktowane jest to, czy „fabuła lub główny temat utworu audiowizualnego dotyczy polskiej lub europejskiej kultury, religii, historii, mitologii, bajek lub legend oraz przyczynia się w znacznym stopniu do budowy polskiej lub europejskiej tożsamości zbiorowej, w której istotne miejsce zajmują doświadczenia regionalne i lokalne”; „Utwór audiowizualny w istotny sposób ekspozuje polski lub europejski potencjał twórczy”; „Utwór audiowizualny nie zawiera treści, które mogą być postrzegane jako propagujące ustroje totalitarne, nawołujące do nienawiści na tle różnic narodowościowych, rasowych lub wyznaniowych”). Certyfikat może zostać wydany, jeżeli utwór audiowizualny uzyska w teście kwalifikacyjnym co najmniej 51 proc. punktów możliwych do uzyskania.

Tak więc, aby uzyskać wsparcie finansowe, tzw. zachętę, producent filmowy musi przejść test kwalifikacyjny, który jest oceniany i na podstawie tej oceny dyrektor podejmuje decyzję, czyli wydaje certyfikat kwalifikujący do uzyskania wsparcia finansowego, które z kolei pochodzi z dotacji celowej z budżetu państwa.

Dyrektor PISF, tak jak w przypadku przyznawania dotacji na podstawie Ustawy o kinematografii, „podejmuje decyzję po wcześniejszej ocenie danego przedsięwzięcia pod względem ekonomicznym i artystycznym” (cytat z pisma PISF), tak w przypadku wsparcia finansowego podejmuje decyzję po ocenie testu kwalifikacyjnego zawierającego kryteria artystyczne i ekonomiczne.

Produkcja filmu „Motyl”, na którą Alex Stern otrzymała zachętę, została zakończona. Trwają przygotowania do dystrybucji filmu.

Co do samej istoty określenia „dotacja” – czyli według Słownika języka polskiego PWN: „bezzwrotnej pomocy finansowej udzielonej przedsiębiorstwu, instytucji lub organizacji ze środków publicznych” – to jego użycie w teście jest uprawnione, bowiem wsparcie finansowe jest udzielane z dotacji z budżetu państwa, po drugie, jest ono również bezzwrotną pomocą finansową ze środków publicznych, a więc wypełnia definicję Słownika PWN.

ANNA DĄBROWSKA

Szanowni Czytelnicy!

Otrzymałmy sygnały o gorszej jakości druku niektórych egzemplarzy poprzedniego wydania POLITYKI (numer 36). Rzeczywiście, wskutek pomyłki drukarni, część nakładu naszego tygodnika została wydrukowana na papierze o innych właściwościach niż standardowy, co widać zwłaszcza w mniejszym kontraście i mniejszym nasyceniu kolorem publikowanych fotografii. Za naszym pośrednictwem drukarnia przeprasza za zaistniały błąd; wdrożono już dodatkowe procedury kontrolne. Mamy nadzieję, że nie utrudni on Państwu lektury POLITYKI. My też przepraszamy za ten incydent.

Uzupełnienie

Podczas redakcyjnej pracy nad artykułem „Pakt na Łysej Górze” (POLITYKA 36) wypadła z niego wypowiedź o. Pawła Gomulaka, rzecznika polskiej prowincji oblatów: – *Pius VII zażądał zwrotu nieruchomości, ale bez skutku, a komisja majątkowa odrzuciła wniosek, bo zajmowała się dobrami zabranymi w PRL, a nie w zaborze rosyjskim.*

REDAKCJA



Wojna na słowa

Z zaciekawieniem przeczytałam artykuł Justyny Sobolewskiej „Wojna na słowa” (POLITYKA 33). Niestety nie wszystko w nim zgadza się z prawdą. Autorka pisze, że Mikołaj Gogol pisał po ukraińsku. Zdziwiło mnie to i zaintrygowało, ponieważ niektóre jego utwory czytałam w oryginale po rosyjsku. Postanowiłam to sprawdzić. Gogol istotnie pochodził z ukraińskiej rodziny ziemiańskiej, ale pisał po rosyjsku. Potwierdził to podczas uroczystości w obwodzie połtańskim z okazji 200. rocznicy urodzin Gogola były prezydent Ukrainy Wiktor Juszczenko, mówiąc, że autor urodził się na Ukrainie i opisywał życie ukraińskie, ale pisał po rosyjsku. Sądzę, że można panu Juszczenko zaufać. Sympatia dla naszych sąsiadów nie może zmieniać faktów.

BARBARA LULIŃSKA

Od autorki: Rzeczywiście nieprecyzyjnie się wyraziłam. Chodziło o to, że Gogol znał język ukraiński, używał go, a nie o to, że jego utwory, które znamy, były napisane po ukraińsku. Bo oczywistą rzeczą jest, że powstały po rosyjsku.

JUSTYNA SOBOLEWSKA

GALERIA POLITYKI / IRENEUSZ SZUNIEWICZ



© IRENEUSZ SZUNIEWICZ

Aszurناسirpal

Dziękując za świetny artykuł Tomasza Targańskiego „Książko-bójstwo” (POLITYKA 33), dołączam kilka zdań komentarza. Zamieszczona na s. 66 fotografia to nie jest posąg Aszurbanipala. Jest to bowiem posąg Aszurناسirpala II (883–859 p.n.e.), odkryty w świątyni Ishtar w Kalchu/Nimrud, dziś w British Museum. Nie zachował się żaden posąg króla-bibliotekarza, niestety. Różnica niby niewielka, czasy odległe, ale to jakby pomylić Władysława II Jagiełłę z Władysławem IV. Nadto może Aszurbanipal nie był „subtelnym intelektualistą”, ale w swoich inskrypcjach powiadał, że potrafi odczytywać starożytne inskrypcje z czasów „przed potopu” (zatem – sumeryjskie), a na reliefach bywa przedstawiany z zatkniętymi za pas dwoma rylcami pisarskimi – gdy inni królowie zawsze posiadali dwa sztylety. I jeszcze: „Potrafię dodawać i odejmować, mnożyć i dzielić”.

Objaśnię też może te dziwaczne imiona:

– Aszurناسirpal = Aszszur-nasir-apli – „(bóg) Aszur strzeże mego dziedzica”

– Aszurbanipal = Aszszur-bani-apli – „(bóg) Aszur stwórcą mego dziedzica”

FRANCISZEK STĘPNIOWSKI, ARCHEOLOG

Na wykopaliskach w Niniwie byłem do 14 października 2022 r.

Administratorem Państwa danych osobowych jest Polityka Sp. z o.o. SKA z siedzibą w Warszawie 02-309, ul. Słupecka 6. Państwa dane osobowe będą przetwarzane w celu udzielenia odpowiedzi na Państwa listy i mogą zostać opublikowane w tygodniku POLITYKA, chyba że Państwo zastrzegli ich nieujawnianie (art. 15 ust. 2 pkt 1 ustawy Prawo prasowe).

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6
02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA

tel. 22 451-61-33, 451-61-34;
tel./faks 22 451-61-35

ADRES INTERNETOWY www.polityka.pl

POCZTA ELEKTRONICZNA polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY

Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00, tel./faks 22 451-60-10

CZŁONKOWIE ZARZĄDU

Joanna Solska, Mariusz Janicki,
Wiesław Władysław

Z-cy REDAKTORA NACZELNEGO

Mariusz Janicki (Pierwszy Zastępca),
Witold Pawłowski, tel. 22 451-60-03
Łukasz Lipiński (wydania cyfrowe)

BIURO REKLAMY

tel. 22 451-61-36, tel./faks 22 451-61-37

e-mail: reklama@polityka.pl

Izabela Kowalczyk-Dudek (dyr.),
Julian Sobiech (reklama cyfrowa)

PROJEKTY SPECJALNE tel. 22 451-61-93

Za treść ogłoszeń redakcja ponosi

odpowiedzialność w granicach wskazanych

w ust. 2 art. 42 Ustawy Prawo Prasowe

PRENUMERATA PAPIEROWA

www.sklep.polityka.pl

Infolinia: tel. 67 210 86 30,

e-mail: infolinia@polityka.pl

Monika Grabowska,

tel. 22 451-61-00, 451-61-15

e-mail: prenumerata@polityka.pl

PRENUMERATA CYFROWA

www.polityka.pl/cyfrowa

Infolinia: tel. 22 336-79-16,

e-mail: cyfrowa@polityka.pl

Konto: POLITYKA, Spółka z o.o. SKA

BGZ BNP Paribas S.A.

18 1750 0009 0000 0000 1004 2763

SWIFT: RCBWPLPW

Sprzedż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona, nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów, w tym artykułów na aktualne tematy polityczne, gospodarcze i religijne opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki po uzyskaniu zgody Wydawcy.
Kontakt: Maciej Domagała,
tel. 22 451-61-25,
e-mail: m.domagala@polityka.pl

DRUK Quad

www.izbaprasylp.pl

PBC

lepa

PRINTED IN POLAND





Masz wiadomość, ale oddychaj

Jak się okazało, gdy tylko dostajemy powiadomienie o nowym e-mailu, wstrzymujemy oddech. Może to prowadzić do bezdechu ekranowego.

W filmach i serialach to jeden z ulubionych gestów dramaturgicznych. Nabranie powietrza w płuca i zatrzymanie go działa świetnie w thrillerach i horrorach, gdy bohaterka się boi, w komediach, gdy coś jej imponuje, a w dramatach – właściwie z każdego powodu. Jeśli z bohaterką wstrzyma oddech też widownia, czekając na rezultat sceny, to odetchnąć z ulgą mogą z kolei filmowcy. A potem odtrąbić sukces.

Do kin wszedł nastawiony właśnie na zatrzymanie powietrza dreszczowiec „Ukryta sieć” Piotra Adamskiego z Magdaleną Kolesnik w roli dziennikarki z tabloidu. Dla niej e-maile, esemesy i innego rodzaju powiadomienia mają kluczowe znaczenie. Zatrzymuje ona oddech wielokrotnie, przez co jest sparaliżowana jak łania złapana na trasie przez reflektory samochodu. Instynktowna reakcja – otwarcie załącznika z e-maila od nieznanego nadawcy ma więc poważne konsekwencje. Być może tego, co następuje



Ola Salwa
– absolwentka psychologii, dziennikarka z 20-letnim stażem. Píše o filmie, modzie i zjawiskach społecznych, konsultuje scenariusze, jest członkinią Europejskiej Akademii Filmowej.

dalej, dałoby się uniknąć, gdyby bohaterka miała trochę więcej tlenu.

Jak zbadali amerykańscy naukowcy, prawie każda z osób siedzących przed ekranami – i to wcale nie tymi kinowymi – też traci dech, gdy dostaje nową wiadomość. I nie, nie musi ona dotyczyć spraw życia i śmierci, wygranej w totka albo być nieprzyjemnym w swojej formie zerwaniem przyjaźni lub związku. Większość z nas dostaje tysiące mało istotnych powiadomień z komputera lub telefonu o sprawach błahych, a każda z nich jest traktowana przez system nerwowy jako potencjalne zagrożenie. Zebranie zespołu o 11.00? Stop, alarm. Ktoś oznaczył cię w relacji? Stop, alarm. Zniżka na awokado przy zakupie 10 sztuk? Alarm, alarm, alarm. Jak wyjaśnia w „The New York Times” prof. Stephen Porges, każdy jeden nowy bodziec to potencjalne zagrożenie i zanim mózg oceni, czy np. przed promocją na awokado trzeba uciekać gdzie pieprz rośnie, czy nie, wstrzymujemy oddech. Najgorsze są te wiadomości, które dostajemy z zaskoczenia – i mowa tutaj po prostu o wyskakujących na telefonie lub ekranie laptopa powiadomieniach. Prof. Porges zaznacza, że cały dzień na bezdechach może sprawić, że czujemy się wykończeni nawet po obiektywnie spokojnym czasie. Zupełnie jak bohaterowie filmu akcji, zresztą Adele nie bez powodu w piosence „Skyfall”, która ozdabia 23. rozdział przygód Jamesa Bonda, śpiewa tak: „Wstrzymaj oddech i policz do dziesięciu”.

Jak walczyć o oddech, siedząc przed ekranem? Można zwiększyć jego rozmiar – według przypuszczeń amerykańskiego profesora im mniejszy ekran, tym intensywniejszy stres, bo wymaga nie tylko zamarcia, ale i napięcia mięśni. Wiecznie zmęczone kciuki i nadgarstki od pisania wiadomości to przy tym drobiazg. Co jeszcze można zrobić, żeby nie wstawać sprzed biurka z poczuciem, że niczym Tom Cruise wykonaliśmy niemożliwą do wykonania misję? Tutaj większość naukowców, lekarzy i specjalistów od dobrego życia jest zgodna – ruszać się ze stanowiska pracy. Im więcej, tym lepiej. Przy okazji – jest też świetna wiadomość dla wszystkich, którzy czuli się sterroryzowani koniecznością zrobienia minimum 10 tys. kroków dziennie. Według międzynarodowych badań przeprowadzonych pod okiem prof. Macieja Banacha z Uniwersytetu Medycznego w Łodzi, już przejście niecałych 4 tys. kroków ma wielkie korzyści dla zdrowia. Są to informacje o tyle pocieszające, że według statystyk przeciętny Polak stawia jedną nogę przed drugą średnio 5 tys. razy dziennie.

Dane były zbierane przez zespół prof. Banacha przez siedem lat w krajach leżących w różnych strefach klimatycznych od ponad 200 tys. osób. Wynika z nich, że najbardziej efektywną różnicę w zmniejszeniu ryzyka chorób i przedwczesnej śmierci zanotowano u tych, którzy robili od 7 do 13 tys. kroków dziennie (i mieli mniej niż 60 lat) lub między 6 a 10 tys. kroków (i byli po sześćdziesiątce). Żadne to w sumie zaskoczenie, że im więcej się ruszamy, tym lepiej. Po prostu musimy pamiętać o tym, żeby nie wstrzymywać oddechu, gdy nasz telefon lub smartwatch przysyła powiadomienie o tym, ile kroków dziś przeszliśmy. ■

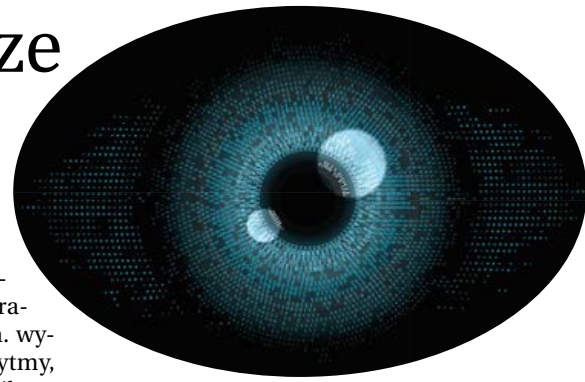
Platformy będą grzeczniejsze

TECHNO

VLOP! – tak nazywa się nowa platforma społecznościowa, której reklama pojawiła się niedawno w przestrzeni publicznej. Niezwykle wciągająca, „bez ograniczeń, cenzury czy moderacji”. Nigdy o niej nie słyszeście? Nic dziwnego, bo tak naprawdę nie istnieje. To akcja fundacji Panoptykon, próbującej zwrócić uwagę na zagrożenia płynące ze strony serwisów społecznościowych, które budują zysk dzięki naszemu zaangażowaniu, a przy okazji nas szpiegują, uzależniają, prowokują czy wpędzają w depresję.

Choć platforma Panoptykonu nie istnieje, to jej nazwa i moment rozpoczęcia kampanii nie są przypadkowe. Pod koniec sierpnia w Unii Europejskiej największe serwisy społecznościowe i wyszukiwarki (angielskie skróty to VLOP i VLOSE, polskie się nie przyjęły) zostały objęte nowymi zasadami, zawartymi w DSA, czyli

tzw. akcie o usługach cyfrowych. Co się zmienia? W dużym skrócie: największe platformy będą musiały być grzeczniejsze i bardziej transparentne, lepiej chronić użytkowników i współpracować z organami administracji. W praktyce oznacza to m.in. wyjaśnianie, jak działają ich algorytmy, a także udostępnianie użytkownikom możliwości korzystania z mechanizmu wyświetlania postów nieopartego na śledzeniu ich przez sztuczną inteligencję. Nie mogą także wykorzystywać danych wrażliwych (np. o chorobach) ani danych dzieci do targetowania reklam. Mają też przykładać większą wagę do moderacji i umożliwiać użytkownikom skuteczne odwoływanie się od decyzji moderatorów. A o swoich działaniach są zobowiązane opowiadać Komisji Europejskiej w regularnych raportach.



A jeśli ktoś z platform złamie nowe zasady? Może zboleć. Reprezentanci Komisji Europejskiej – zwłaszcza przy okazji straszenia Elona Muska – wysyłał jasne sygnały, że są gotowi skorzystać z wszelkich narzędzi, by docisnąć big techy. A że wśród tych narzędzi jest kara sięgająca nawet 6 proc. globalnego rocznego obrotu... Cóż, pewnie lepiej odpuścić trochę śledzenie ludzi i pokazać, co algorytmy mają w środku.

RYSZARD ŁUCZYN

Na czym przycebulić?

SŁOWO

Z tym pojęciem jest jak z warstwami cebuli. Pierwsza to „przycebulić”, czyli „zaoszczędzić” – to bardzo popularny dziś czasownik. Znajdziemy go w setkach konsumenckich porad dotyczących tropienia „niesamowitych promocji” („Jak przycebulić na diecie pudełkowej”). Zaoszczędzić można w ten sposób „cebuliony”, czyli – jak podpowiada słownik Miejski.pl – pieniądze. Wszystko to w ramach „cebula deal”, wyjątkowej promocji. To już kolejne warstwy tego słowa, ale nie ostatnie. Ważna z nich jest cecha stereotypowo przypisywana Polakom przez nich samych, czyli zaradność. A może raczej swoisty spryt graniczący z cwaniactwem. To on sprawia, że „cebula” stała się ostatnio jednostką miary odległości, jaką można pokonać na rowerze miejskim bez płacenia, podobno równa – jak znów podpowiada Miejski.pl – „około 3 km, w zależności od planu miasta i rozmieszczenia punktów z rowerami”. Bo kolejna warstwa tego pojęcia to pojawiający się w języku od lat pejoratywny wizerunek „Polaka-cebulaka” albo po prostu „cebulaka”, którego Dobryślownik.pl definiuje jako „osobę nieumiejącą się zachować”, a także „patrzącą z zazdrością na innych i niezyczącą im dobrze, robiącą wiele, by wyjść na swoje” (popularne



„Niemiec płakał, jak sprzedawał” w kontekście kontaktu z cebulą zyskuje dodatkową głębię).

Już samo słowo „cebulak” kojarzy się z pewną szczególną dyscypliną finansową. I to różnym pokoleniom.

„Ja byłem w szoku sam, ale z nas cebulaki/Najlepiej nam smakuje wszystko, co los daje gratis” – można usłyszeć w utworze „0 PLN” raperów Solara i Białasa sprzed siedmiu lat. Wszystko stanie się jasne, gdy dojdziemy do najgłębszej warstwy, czyli „bulić” – śląskiego regionalizmu oznaczającego m.in. płacenie, dziś rozpowszechnionego w całym kraju. I wprawdzie cebula należy do najtańszych warzyw, ale jej ceny wzrosły w ciągu ostatniego roku nawet o 100 proc., więc i tu jest już na czym przycebulić.

BARTEK CHACIŃSKI

MÓWIĄ RYMY

Landlord – wynajmuję moje mieszkania fankom
Możesz bulić gotówką, możesz kartą
Otschodzi, **Oki, Young Igi & schafter,**
Landlord, 2023 r.
Landlord = wynajmujący, popularny anglicyzm, tu niedosłownie użyty

Jak to robią herosi?

Są takie psychologiczne kompetencje, które Polakom szczególnie by się w tym momencie dziejowym przydały.

Słowo „kapitał” kojarzy się przede wszystkim z zasobami materialnymi, jednak nauka, a w szczególności psychologia, poszerzyły jego znaczenie. Mówi się więc o kapitale ekonomicznym, społecznym, ludzkim, kulturowym, a od niedawna także o psychologicznym, który, jak się okazuje, rzutuje na wszystkie pozostałe.

Koncepcja powstała w Stanach Zjednoczonych, a najsilniejszym impulsem, by ją rozwijać i wdrażać, był kryzys finansowy z lat 2007–09. U jej podstaw stoi solidna teoria o dobrostanie psychicznym i charakterystycznych dla tego stanu cechach. Podwaliny dla konceptu stworzyli specjaliści od psychologii pracy: oni pierwsi zwrócili uwagę na fakt, że w sytuacjach kryzysowych niektórzy ludzie są bardziej kreatywni, lepiej radzą sobie z rozwiązywaniem problemów, rzadziej się wypalają i są bardziej zadowoleni z życia od innych. Jak oni to robią?

Ustalono, że takie osoby wyróżniają następujące przymioty: nadzieja na sukces, wysokie poczucie skuteczności, „sprężystość” psychiczna (szybko wracają do równowagi po stresujących wydarzeniach) i optymistyczne nastawienie do życia. Angielskie terminy: *hope, efficacy, resilience, optimism* na określenie tych cech nieprzypadkowo układają się w wyraz *hero* – bohater. Tak oto „superbohaterowie” z najwyższym kapitałem psychologicznym stali się dla badaczy punktem odniesienia do stworzenia narzędzi szkoleniowych (i terapeutycznych).

Jak to wygląda w Polsce? „Nadzieja matką głupich”. „Nie mów hop, zanim nie przeskoczysz”. „Jakoś to będzie”. „Ludzie się nie zmieniają”. „Czego Jaś się nie nauczył, tego Jan nie będzie umiał”. – *To pesymistyczne i szkodliwe przekonania, w które część z nas wierzy, choć nie ma ku temu podstaw* – tłumaczy Anna Agata Nowak, psycholożka pracy, trenerka biznesu, członkini Polskiego Towarzystwa Psychologii Pozytywnej.

RELACJE



Grażyna Murek

– dziennikarka prasowa, przez lata szefowa działu Zdrowie w miesięczniku „Twój Styl”, zajmuje się problematyką zdrowotną, psychospołeczną, pisze o zmianach stylu życia Polaków.

Są takie psychologiczne kompetencje, które nam Polakom szczególnie by się w tym momencie dziejowym przydały – jak optymizm czy wiara we własne siły. Mniej narzekania, plotkowania, oceniania i obwiniania innych, więcej wyrozumiałości – od dawna radzą eksperci. Co robimy, gdy ktoś nagle zajeżdża nam drogę? Trąbimy, wciskamy hamulec, przeklinamy pod nosem i jeszcze długo potem odczuwamy złość. A gdyby tak pochwalić samego siebie za refleks? Zamiast: „Co za idiota, kto go uczył jeździć”, pomyśleć: „Ale dobrze wyhamowałam”?

Można jeszcze inaczej: „Dziwi mnie, że można jechać tak nieostrożnie”. „Dziwi mnie, że ten człowiek ryzykuje wypadek”. „Dziwi mnie, że wybrał tę trasę, skoro tu zawsze są korki”. W środowisku pracy podobnie: „Dziwi mnie, że dał słowo, a teraz nie jest punktualny”. „Dziwi mnie, że szef traci szansę na dobrą komunikację, podnosząc na nas głos”. Sprawdzono, że dziwienie się uspokaja emocje (a gdy są one pozytywne, funkcjonujemy sprawniej) i ułatwia nabranie dystansu.

W myśl koncepcji kapitału psychologicznego szukanie nietypowych rozwiązań buduje wewnętrzne poczucie skuteczności, które to nie jest w Polsce sprawą oczywistą, przyznaje Anna Agata Nowak: – *W obliczu trudnego zadania warto sobie powtarzać: tak, dam radę, przecież już kiedyś to robiłem/am. Albo: zapytam kompetentną osobę. Kolejna kwestia: jakie są nasze mocne strony? Polacy myślą o nich głównie wtedy, kiedy szukają pracy – za rzadko*. W niepewnej sytuacji życiowej trzeba wiedzieć, co jest naszą mocną stroną. Wytrwałość? To, że jestem dokładna? Na tym warto się skupić. A co z nadzieją? Sprawdzono, że buduje ją m.in. przewidywanie przeszkód oraz obmyślanie sposobów ich pokonywania, i to wcale nie jest przejaw nadmiernej ostrożności. Człowiek, który wie, że ma plan awaryjny, łatwiej sobie poradzi w kryzysie. ■





Krzyk mody

Gianni Versace uczynił luksus głośnym i ostentacyjnym. Zrewolucjonizował modę i zapoczątkował kult supermodelek. Stroje z jego kolekcji można oglądać na otwartej właśnie wystawie w poznańskim Starym Browarze.

Dla nabywczych znawców stylu stroje Versacego zawsze były wyzwaniem. Za dużo tu się działo. Za dużo połysku, detali, barw. Co gorsza, projektant nie stronił od wycięć obnażających ciało, materiałów typu lurex czy guma i ogólnej estetyki fetyszystów. Swoją przełomową kolekcję na jesień i zimę 1992 r. wprost nazwał „Miss S&M”, panna sado maso. „Połowa Nowego Jorku chodzą teraz w uprzężach”, cieszył się.

Szok u pruderyjnych tonizowała jakoś szcica i konstrukcji. – *Do dziś pamiętam szcice sukni wieczorowej spiętej złotymi agrafkami z kultowej kolekcji „Punk”, która przeszła do historii jako „sukienka Liz Hurley”, założona przez aktorkę na premierę filmu „Cztery wesela i pogrzeb”. Godzinami testowaliśmy położenie każdej agrafki, by kreacje były bezpieczne* – wspomina Rossella Catapano, niegdyś współpracownica Versacego, obecnie kolekcjonerka i właścicielka części strojów pokazywanych w Poznaniu.

Słynął też z innowacyjnych materiałów: skóry zdobionej aksamitem, pikowanej satyny czy orotonu – siatki przypominającej płynny metal. Do tego bardziej już klasyczne inspiracje barokiem, motywami z antycznych łaźni (w tym słynna meduza, znak firmowy marki) czy pop-artem. Do historii przeszła jego sukienka w sitodruki Andy’ego Warhola, przedstawiająca m.in. Marilyn Monroe – jaskrawa, przerysowana. Ale Versacemu wszystko pasowało do wszystkiego, a kicz był pojęciem relatywnym. Dziś taki pogląd to norma, bo domy mody prześcigają się w tworzeniu przedmiotów celowo niedorzecznych czy „brzydkich”. Wówczas jednak zakrawało to na rewolucję.

Krytyczka Alexandra Shulman zauważała, że dzięki Versacemu moda z hobby garstki elit stała się przedmiotem fascynacji mas. Projektant dopomógł temu, tworząc kult supermodelek. „Super” nawet nie z powodu ich niebotycznego wyglądu (choć to też), ale dlatego, że niebotycznie im płacił. Nawet 50 tys. dol. za wejście na wybieg. Dziś tyle, nie uwzględniając nawet inflacji, „przeciętna” modelka w Londynie zarabia w rok.



MODA

Zdaniem jego siostry Donatelli, która po śmierci projektanta z rąk seryjnego zabójcy w 1997 r. przejęła firmę, Versace „pozwolił im mieć osobowość”. Wcześniej były, cóż, wieszakami na ubrania. Tymczasem Gianni uczynił Naomi Campbell, Lindę Evangelistę czy Cindy Crawford bóstwami. Fotografowane na potrzeby dwudziestostronicowych sesji reklamowych przez – to też nowość – największych, jak Richard Avedon czy Helmut Newton, stały się gwiazdami nowego firmamentu. I świecił na nim do dziś.

Nie znaczy to, że Versace odpuścił sobie gwiazdy „tradycyjne”. Był pierwszym, który usadził je na pokazach, i bodaj pierwszym, który zatrudnił je do reklam. A mowa o Madonnie, księżnej Dianie czy Jonie Bon Jovim. Elton John w jego kostiumach wyjechał w jedną z tras koncertowych, Prince skomponował utwory specjalnie na potrzeby pokazu, Sylvester Stallone zapożyczył mu nago. Był prorokiem, bo dziś bez angażu celebrytów marki się nie pociągnie. Dość wspomnieć, że najnowszy pokaz męskiej kolekcji Louis Vuitton – której projektantem został nie kto inny tylko Pharrell Williams – uświetnili Rihanna, Beyoncé, A\$AP Rocky i Leonardo DiCaprio.



Michał Zaczynski
– dziennikarz
lifestylowy, ekspert
branży mody,
autor popularnych
podkastów i bloga
michalzaczynski.com,
wykładowca ASP
w Łodzi.

Wprzeciwieństwie do stonowanej, natchnionej konkurencji, jak Giorgio Armani czy Valentino, urodzony w 1946 r. w Kalabrii Versace identyfikował się nie tylko ze światem sztuki, ale i z młodymi przedsiębiorcami, bankierami, pracownikami rodzącej się branży IT. Reprezentanci „nowych pieniędzy” modą manifestowali samodzielnie zdobyty status, władzę i majątek. Versace, zapraszając do swych rezydencji w Miami, Nowym Jorku czy nad Como, nie żałował go innym. Oszołomiona Madonna wspominała w „Time”: „Czułam się jak w filmach Antonioniego. O zachodzie słońca sączyliśmy świeże Bellini pod ogromną magnolią nad krawędzią jeziora. Służba usługiwała nam w białych rękawiczkach. Brudne ubrania nie czekały na zabranie dłużej niż kilka sekund i cały czas przynoszono nam nowe, piękne suknie. Powtarzaliśmy jak mantra: Versace naprawdę wie, jak żyć”.

Nie zostawiaj po sobie śladu

Polskie lasy urodą nie ustępują tym estońskim, ale jeśli chodzi o korzystanie z ich piękna i możliwości, wiele moglibyśmy się od Estończyków nauczyć.

Drogi turysto, jesteś w lesie państwowym, na terenach rekreacyjnych, gdzie czekają na ciebie miejsca do wypoczynku i rozpalenia ogniska przygotowane przez Centrum Zarządzania Lasami Państwowymi (RMK) – wita tablica informacyjna nad małym jeziorkiem Ödri na południu Estonii. Oprócz wiaty i obłożonego kamieniami paleniska na miejscu można znaleźć żelazny, zabudowany grill, a także suchą toaletę z zapasem mięciutkiego papieru toaletowego. Jest też drewno w zadaszonym składziku, na którego ścianie przyklejono kartkę informującą, że w sezonie zapotrzebowanie na drewno jest bardzo duże, więc aby uniknąć rozczarowania, warto przyjechać z własnym, kupionym na stacji benzynowej lub w sklepie z narzędziami. Na wyposażeniu punktów RMK jest też ręczna łuparka, coś w rodzaju odwróconego toporka, z instrukcją, jak jej używać.

„A teraz, drogi turysto, to od ciebie zależy, czy otaczająca przyroda, starannie przygotowana do wypoczynku, pozostanie atrakcyjna na kolejne wizyty” – można przeczytać na następnej tablicy. Bo że jest atrakcyjna, nie ma żadnych wątpliwości. Gęsty, pachnący żywicą las, intensywna zieleń i przejrzyste jezioro uwodzą od pierwszego wejrzenia. Nie słychać żadnych odgłosów cywilizacji. Nic dziwnego: żeby się tu dostać, trzeba pokonać parę kilometrów ubitą drogą poprowadzoną przez las. W Polsce grozi za to mandat: od kilku lat obowiązuje zakaz wjazdu do lasu. A w Estonii na miejsce biwakowe prowadzi

PODRÓŻE



Ola Wysocka
– miłośniczka podróży, zwłaszcza tych bez planu. Autorka bloga osiemstop.pl i profilu @8.stop na Instagramie.

turystów mapka w aplikacji RMK. „Estońska przyroda jest naszym narodowym skarbem i każdy ma prawo korzystać z jej bogactwa” – czytamy dalej.

Lasy zajmują około połowy powierzchni Estonii, a Estończycy chętnie w nich odpoczywają. W badaniu przeprowadzonym przez RMK w 2022 r. 97 proc. ankietowanych zadeklarowało, że znają możliwości rekreacji oferowane przez RMK, a także, że te możliwości są dla nich ważne. Aż 61 proc. respondentów odwiedziło zarządzane przez RMK punkty w ostatnim roku. Samo RMK zarejestrowało w tym czasie 2,96 mln wizyt (Estończyków jest 1,3 mln).

A jest co wizytować: 3,1 tys. km szlaków, 59 kempingów i 738 miejsc na biwak i ognisko. Wiele z nich pięknie położonych, w środku lasu, nad brzegiem jeziora czy tuż przy bałtyckiej plaży. Zadbano nie tylko o czyste toalety czy ogniskowe grille, ale też o miejsca do schronienia przed złą pogodą – domki z ławami i grillem. Wszystko oczywiście za darmo.

Na kemping nad jeziorem Ödri, gdzie przyjechałam z rodziną, wjeżdżają dwa samochody. Wsiada z nich grupka młodych ludzi, otwierają bagażnik, wyciągają torby z jedzeniem i butelki. Zamieramy z niepokojem, wspominając niedawny pobyt na Mazurach. Ostatnie, czego nam potrzeba, to impreza po sąsiedzku. Tymczasem nasi nowi sąsiedzi rozpalają grilla, siadają wokół niego i rozmawiają cichymi głosami. Po kilku godzinach sprzątają, pakują śmieci i odjeżdżają, nie zostawiając po sobie śladu.

„Rocznie RMK usuwa około 250 ton śmieci pozostawionych w lasach państwowych” – można przeczytać na plakacie wiszącym w informacji turystycznej. „Wywiezienie ich kosztuje około 186 tys. euro. Te pieniądze moglibyśmy wykorzystać na wybudowanie kilometra kładki nad mokradłami w parku narodowym albo na wypłacenie 120 pensji w wysokości przeciętnego estońskiego wynagrodzenia”. To przesłanie najwyraźniej do Estończyków trafia, bo rzeczywiście śmieci w lasach nie widać. A o ile toalety są w znakomitej większości punktów RMK, o tyle śmietniki zdarzają się dość rzadko (za to jeśli już się je spotyka, to są duże, zakryte i regularnie opróżniane), czyli najwyraźniej zasada „nie zostawiaj po sobie śladu” przyjęła się tu powszechnie.

W drodze do domu, już w Polsce, zatrzymaliśmy się na parkingu leśnym. Z jedynej, niewielkiej śmietnika wylewały się plastikowe butelki i puszki. Idziemy na krótki spacer, z którego szybko wracamy. Okazuje się, że za drewnianym ogrodzeniem co kilka kroków straszą „papierzaki” – kupki papieru toaletowego. Łatwo nam osądzać bliźnich, my mamy toaletę w kempie... I tylko trochę żal, bo nasze lasy urodą nie ustępują tym estońskim, ale wiele moglibyśmy się od Estończyków nauczyć. ■



Buraczane kopytka z sosem z jarmużu i oliwkową granolą

4 ugotowane lub upieczone buraki
 3 ugotowane średnie ziemniaczki
 ½ szklanki mąki ziemniaczanej
 ½ szklanki mąki pszennej + do podsypywania blatu
 sól

200 g jarmużu lub szpinaku
 1 mała cebulka
 1 ząbek czosnku
 3 łyżki oliwy
 sok z ½ cytryny
 1 puszka białej fasoli
 3 łyżki nieaktywnych płatków drożdżowych
 sól

150 g czarnych lub zielonych oliwek
 3 łyżki słonecznika
 4 łyżki płatków owsianych
 3 łyżki dyni
 2 łyżki sezamu
 2 łyżki lnu
 2 łyżki oliwy
 1 łyżka słodkiego syropu, np. z agawy
 szczypta soli
 1 łyżeczka słodkiej papryki
 1 łyżeczka oregano

Sposób przygotowania:

■ Na początek przygotuj oliwkową granolę.

Do miski odmierz słonecznik, len, pestki dyni, sezam i płatki owsiane.

Oliwki posiekaj bardzo drobno. Dodaj do nasion.

Wlej oliwę, słodki syrop i dodaj przyprawy. Wymieszaj. Blachę do pieczenia wyłóż papierem, wysyp zawartość miski i lekko rozprosz. Piecz w 180 st. przez 10 minut, przemieszaj i piecz jeszcze 5–10 minut, niech granola się zarumieni. Gotową przenieś do stoika.

■ Listki jarmużu lub szpinaku włóż na 30 sekund do garnka z gotującą się wodą. Potem lekko osusz. Przenieś do pojemnika. Dodaj puszkę białej fasoli, sok z ½ cytryny oraz płatki drożdżowe.

Cebulkę posiekaj drobno. Przenieś na rozgrzaną patelnię z oliwą. Smaż chwilę. Dodaj posiekany ząbek czosnku.

Przenieś wszystko do pojemnika z zielonymi listkami. Zblenduj na gładki sos. Jeśli jest potrzeba, dodaj odrobinę wody, by lepiej się blendowało. Dopraw solą do smaku.

■ Ziemniaki i buraki zmiel. Dodaj do masy sól, mąkę ziemniaczaną, wymieszaj. Stopniowo dodawaj mąkę pszennej, aż powstanie nielejąca się masa. Oprósz blat mąką. Podziel ciasto na dwie części. Każdą uformuj w długi rulon o szerokości 2 cm. Nożem potnij na 1–2-centymetrowe kluski. Posól gotującą się wodę. Gotuj kluski 2 minuty od wypłynięcia.

Na talerzu rozprosz sos. Ułóż porcję kopytek i posyp granolą.

KUCHNIA

**Alicja Rokicka**

– autorka bloga Wegan Nerd i książek kulinarnych, entuzjastka słonecznej Italii i smaków śródziemnomorskich w wersji roślinnej. Z wykształcenia graficzka.

Buraczane kopytka na bure dni

Na smak potrawy wpływa wiele czynników. Także wygląd, zapach, otoczenie, czas, nasze samopoczucie. To ostatnie, gdy zbliża się jesień, mogą poprawić kolorowe kopytka.

Podstawową cechą jedzenia powinien być smak. A jednak zwracamy uwagę także na jego wygląd. Sama kocham jedzenie domowe, tzw. *comfort food* – kojące i dające komfort. Ale jestem też wzrokowcem, wychowaną Akademii Sztuk Pięknych, lubię na talerzu układać barwne kompozycje i bawić się fakturami. Znam takie techniki gotowania, które sprawiają, że warzywa nie tracą szybko koloru, lubię przystrajać je ziołami, świeżą zielenią, wszelkiego rodzaju pestkami. Zwłaszcza w bure dni zwracam uwagę, by także to, co na talerzu, poprawiało humor i dawało radość. Bo że jemy też oczami, to fakt. Na smak potrawy wpływa wiele czynników. Wygląd, zapach, otoczenie, czas, nasze samopoczucie...

Kopytka to polskie danie, rodzaj grubych klusek. Nazwa wzięła się od ich kształtu. Mają swoje zagraniczne odpowiedniki: we Włoszech z ziemniaków i mąki przygotowuje się mniejsze *gnocchi*, natomiast w Niemczech podobne kluski to *schupfnudeln* – są podłużne, podawane najczęściej w postaci podsmażanej. W Polsce kopytka serwuje się zwykle z sosami jako dodatek do dania głównego.

Z biegiem lat tradycyjne kopytka przeszły ewolucję. Dziś przygotowuje się je nie tylko z ziemniaków, ale i z dyni czy buraków. Zachwycają kolorami, a nadal są łatwe do wykonania i można je podawać tak, jak tylko sobie wymarzymy.

Zielony sos ze szpinaku i jarmużu to hit! Nie dość, że ma piękną barwę, to jeszcze sporo białka i żelazo. Wytrawna granola z oliwkami to świetny dodatek do wszystkiego. Można sypać nią kanapki, sałatki, kolorowe zdrowe miski, właściwie każde danie. Jest świetnym chrupiącym elementem pomiędzy jedwabistym sosem i miękkimi kluskami.

Kiedy jesień już rozgości się na dobre, dobrze umilić ją sobie dobrą herbatą, ciepłym kocem i właśnie kolorowym obiadem. ■

Wopublikowanym w „Rzeczpospolitej” liście otwartym do posłów i posłanek o. Ludwik Wiśniewski pisze: „Jeszcze dziesięć lat temu zdecydowana większość Polaków była za tym, aby ludzi uciekających przed wojną, klęską, nieszczęściem (...) wspierać i przyjmować. Wystarczyło jednak kilka miesięcy rządów Zjednoczonej Prawicy, (...) aby zdecydowana większość Polaków opowiedziała się przeciw przyjmowaniu uchodźców. (...) Przywódcy partii obecnie rządzącej głosili i dotąd głoszą, że imigranci przyniosą nam straszne choroby, będą gwałcić, zabijać i demolować nasze miasta, i to do tego stopnia, że Polacy, jak powiedział pan Kaczyński, »przestaną być gospodarzami we własnym kraju«. (...) Kropkę nad »i« postanowili rządzący postawić w zapowiadany referendum. Demoralizacja Narodu ma być dokończona i niejako skodyfikowana – bo »suweren ma prawo wypowiedzieć się«. O hipokryzjo! Tak czynią ludzie uważający się za chrześcijan i w trosce – podobno – o chrześcijańską Polskę”. Trzeba jasniej?

Michał Karnowski zachwyca się tym, że „ostatnie tygodnie przynoszą zmianę nastrojów społecznych na korzyść Prawa i Sprawiedliwości”, niemniej pozwala sobie pouczać prezesa: „To dotychczas najbardziej niebezpieczny moment kampanii PiS. Musi wytrzymać tę presję, musi iść swoją drogą, musi grać według własnych reguł. I musi to robić wszyscy w tym obozie, bo dziś nadal jest jakby klika kampanii jednocześnie, wbrew temu, co niedawno mówił na łamach »Sieci« Jarosław Kaczyński o dokonanym już rozstrzygnięciu”. Gdyby Michał Karnowski był szefem PiS, zwycięstwo byłoby gwarantowane.

Zupełnie inny świat opisuje w „Najwyższym Czasie!” Jan Piński: „Prawdziwe sondaże wskazują, że PiS został przegoniony o kilka punktów procentowych przez Koalicję Obywatelską. Większym problemem PiS jest to, że partia nie ma żadnego pomysłu na kampanię wyborczą. Kaczyński buja się od przysłowiowej ściany do ściany. (...) Widać, że PiS się kończy, a politycy tej partii nie wierzą w zwycięstwo i utrzymanie władzy”. Ktoś tu chyba wierzy w zaklęcia.

Wolę nie odpowiadać na to pytanie, bo uważam je za prowokacyjne. A poza tym czuję się źle, jak mi się zadaje pytania dotyczące rozmów z tego rodzaju osobami – Jarosław Kaczyński zapytany przez „GW” o debatę z Giertychem.

Prof. Marcin Matczak („Wolna Sobota”) przestrzega: „I lewicowcy, i konserwatywni symetryści igrają z ogniem. Stosują najbardziej niebezpieczną zasadę świata: cel uświęca środki. A te środki łatwo wymykają się spod kontroli, stają się coraz bardziej brutalne i potem nie ma już nikogo, kto by się przyznał, że je usprawiedliwiał”.

Piotr Zaremba (rp.pl) nazywa siebie „konserwatywnym symetrystą” i choć przekonuje, że „Kaczyński nie zafundował nam autorytaryzmu ani dyktatury”, to coś go uwiera: „Nie może nie razić w tej kampanii wykorzystywanie wojskowego tła na tzw. piknikach do wygłaszania najostrzejszych politycznych tyrad. Przecież dla tych żołnierzy może to oznaczać konflikt sumienia. Oni mają służyć państwu, całej wspólnocie, a nie obsługiwać partyjny interes. Trudno też akceptować prawdziwy wylew rządowych imprez będących w istocie partyjną kryptoreklamą”. Krytyka władzy zaliczona.

Zrelacji portalu naTemat.pl dowiadujemy się, jaki poziom kunsztu oratorskiego osiągnął premier Morawiecki podczas spotkania z wyborcami w Kolbuszowej: „[PO to] Sekta nienawiści, sekta hejtu, bez oparcia się o fakty. A jak [Tusk] tylko zobaczy, że fakty przeczą jego opowieści, to tym gorzej dla faktów. Od razu przeskakuje na inny temat. Buduje zamkniętą sektę. Dlatego my potrzebujemy wielkiego otwartego ruchu, ruchu z miłości do Polski, ruchu patriotycznego, wielkiego ruchu prawa i sprawiedliwości, wolności i solidarności”. Człowiek zachłyśnięty słowami.

Felietonista „Sieci” Aleksander Nalaskowski – zapewne „z miłości do Polski” – ubolewa: „Każde kolejne wybory zwiększają podział wśród Polaków. Każde następne wybory stają się większą jatką medialną”. Ale najpierw pisze: „To w rzeczy samej wojna buców z opozycji z bezradnymi wobec takich ataków konserwatystami. (...) W moim rodzinnym, uniwersyteckim, średniowiecznym Toruniu PO wystawia Kidawę-Błońską. To Petru w spódnicy. Lotna jak ołów i błyskotliwa jak zamsz kandydatka, której tak blisko do Torunia, jak mi do Saturna. (...) Widać wyraźnie, że Tusk nie cofnie się przed niczym, niczym się nie brzydzi i byłby nawet gotów publicznie zjeść własne wydaliny byle wygrać”. Profesor. Pedagog. Konserwatysta. A jednak zwykły cham.

Medioznawca prof. UJ Jacek Dąbała wyjaśnia czytelnikom „Angory”: „Co może zrobić [wyborca], gdy nie podobają mu się żadna partia ani kandydat? Zagłosować na tych, którzy dają więcej wolności. (...) Pamiętaj, że zawsze wybierasz mniejsze polityczne zło i szansę na większe dobro, bo świata idealnego nie ma. Oczywiście masz też prawo nie głosować i być królikiem w szponach drapieżnego ptaka. Na tym polega piękno demokracji, że możemy przez naiwność zgłupieć i stracić prawo wyboru, budząc się w dyktaturze. Dlatego, gdy możemy głosować, róbmy to”. Popieramy.



CENTRUM MEDYCyny SPORTOWEJ

Klinika ortopedyczna

Szpital

operacje ortopedyczne ✦

Poradnia Medycyny Sportowej

dla dzieci, młodzieży i dorosłych:

Badania wstępne, okresowe i kontrolne ✦

Orzeczenia sportowo-lekarskie ✦

Pracownia prób wysiłkowych i wydolnościowych ✦

Poradnia Leczenia Bólu

Zabiegi interwencyjne:

blokady / nerolizy współczulne ✦

blokady / nerolizy nerwów obwodowych ✦

termolezja ✦

Poradnia Podologiczna

Konsultacje i zabiegi podologiczne ✦

Dietetyka

Dietetyka kliniczna ✦

Dietetyka sportowa ✦

Porady dla dzieci i dorosłych ✦

Rehabilitacja

✦ Rehabilitacja ortopedyczna:

✦ stawów rzepkowo-udowych

✦ stawów barkowych

✦ kręgosłupa

✦ stawów kolanowych

✦ kontuzji sportowych

✦ po zwichnięciach stawów

✦ urazów mięśni

✦ więzadeł

✦ po złamaniach

✦ Fizykoterapia

✦ Masaż leczniczy

✦ Diagnostyka funkcjonalna

✦ Rehabilitacja w uroginekologii

✦ Terapia przeciwobrzękowa

Rezonans Magnetyczny 3T

✦ Dwa aparaty przystosowane do badań sportowców
w zakresie ortopedii, neurologii i kardiologii

Tomografia Komputerowa

✦ Pełny zakres badań

Diagnostyka

✦ RTG, USG, EEG, EMG

CMS i Wracasz do gry!

Centrum Medycyny Sportowej to ośrodek leczniczo-rehabilitacyjny, specjalizujący się w leczeniu urazów ortopedycznych.
CMS wykorzystuje najnowocześniejsze technologie w diagnostyce, leczeniu i rehabilitacji.

CENTRUM MEDYCyny SPORTOWEJ - WARSZAWA ul. Wawelska 5

tel. 22 592 93 05 do 10

www.cms.waw.pl



STIHL

JESIENNE PORZĄDKI

CAŁY ASORTYMENT NA 10 RAT RRSO 0%

Promocja obowiązuje od 2.09. do 30.11.2023 r. RRSO to Rzeczywista Roczna Stopa Oprocentowania.

WIĘCEJ INFORMACJI U AUTORYZOWANYCH
DEALERÓW STIHL ORAZ NA WWW.STIHL.PL



/ STIHL.POLSKA



/ STIHL_POLSKA